

CZY PREZYDENT DUDA JĄ UŁASKAWI?

Marika M. w przejmującej rozmowie
– o swoim czynie i roku w więzieniu



TYGODNIK LISICKIEGO

NR 31/538 31 LIPCA–6 SIERPNIA 2023
CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

DO RZECZY

Śladem archiwów
Powstania Warszawskiego

„MAG Z KREMLA” – POWIEŚĆ
O TAJNIKACH SZTUKI RZĄDZENIA ROSJĄ



Queerowy Bóg? – jak gender
wdziera się do Stolicy Apostolskiej



PEŁKAJĄCA PRZYJAŹŃ

Współpraca polsko-ukraińska przechodzi próbę

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
9 772299 185000
Nakład: 52 000 egzemplarzy

Bezpieczeństwo na mistrzowskim poziomie



Dumny sponsor strategiczny
mistrza Polski Rakowa Częstochowa

zondacrypto 



zondacrypto 

Trade tomorrow, today

eprasa.pl ed9685df9d

zondacrypto.com



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Poza wojną plemion

Gdyby nie nagły przypływ poparcia politycznego dla Konfederacji, obecna kampania wyborcza byłaby nudna jak flaki z olejem. Byłoby to, co zawsze, tylko jeszcze bardziej.

Hipotezę tę potwierdzają dotychczasowe przejawy polskiej demokratycznej debaty z udziałem PiS i anti-PiS. Nic lepiej nie obrazuje jej poziomu niż starcie Donalda Tuska i Mateusza Morawieckiego (z udziałem przybocznych akolitów) na temat tego, kiedy to Polska bardziej śmierdziała lub cuchnęła – jak kto woli.

To słowa byłego polskiego premiera, przywódcy opozycji: „Smród płonących odpadów w Zielonej Górze. Smród setek bezkarnych nielegalnych składowisk. Smród pisowskiej korupcji w całej Polsce. Kaczyński i Sasin na pikniku”. A to wdzięczna odpowiedź obecnego premiera i twarży kampanii PiS: „Obrzydliwe. Kuglarz z PO – Partii Oszustów nawet pożar chce wykorzystać do swego czarnego PR. Wykorzystają każde nieszczęście, żeby skłócić Polaków. Smród kłamstwa powrócił do Polski razem z Tuskiem”.

Skądinąd zabawne, że mówiąc o kuglarzu z PO i smrodzie kłamstwa, premier nie wspomniał, że jako prezes Banku Zachodniego WBK zasiadał w Radzie Gospodarczej przy premierze i doradzał Donaldowi Tuskowi w latach 2010–2012. Jeszcze wyraziściej na słowa kuglarza zareagowała inna polityk, jakby nie było minister środowiska, Anna Moskwa: „Śmierdzą śmieci sprowadzane masowo za Pana rządów Panie @donaldtusk”.

Można być pewnym, że dokładnie tak będzie to zresztą wyglądało przez najbliższych kilka miesięcy. Tusk będzie „ryżym” i „największym zagrożeniem dla

narodu”, Kaczyński zaś stoi na czele władzy reprezentującej „seryjnych zabójców kobiet”. Nie mniej istotny będzie pewnie inny wątek plemiennej kampanii, a mianowicie udowadnianie, kto i jak bardzo służy interesom Rosji.

Ajednak rosnące notowania Konfederacji sprawiły, że przygotowane w magazynach pociski propagandowe muszą zostać unowocześnione. Owszem, Platforma od początku powtarza, że Sławomir Mentzen, Krzysztof Bosak i Grzegorz Braun et consortes to jeszcze gorsza wersja PiS, bo to mizogini, faszysty i radykałowie, ale na razie efekty tego ostrzału są dość ograniczone. Używanie cały czas wyświechtanych frazesów, którymi posługiwano się, żeby zdezwauować PiS w stosunku do Konfederacji, nie działa. Po pierwsze dlatego, że jeśli osiem lat mówi się o partii Kaczyńskiego jako o złu absolutnym, to trudno teraz nagle opowiadać, że istnieje zło jeszcze bardziej absolutne. A po drugie, jakkolwiek Tusk by się zarzekał, wszystko, co ma do zaoferowania, to to, co już dał wyborcom PiS plus rewolucja seksualna. Mizernie.

Jednak również PiS ma powody do obaw. Nie stosuje na razie równie brutalnych metod retorycznych co anti-PiS, ale to wynika z tego, że wciąż nie ma masowego odpływu elektoratu do ugrupowania Mentzena i Bosaka. Na razie więc zamiast frontalnego natarcia jest pohukiwanie. Prezes PiS szydzi z propozycji Mentzena i Bosaka: „To pomysły szaleńców i dzieciaków. Ten program doprowadzi do nędzy”. Czy na tym się skończy, trudno powiedzieć. Zarzucanie konfederatom, że są „dzieciakami”, to retorycznie miecz obosieczny, szczególnie w ustach tak długo obecnego na scenie politycznej prezesa.

Poza tym w rozprawie z Konfederacją PiS-owi nie pomagają okoliczności zewnętrzne. Po pierwsze, wraz z odejściem ze Zjednoczonej Prawicy Anny Marii Siarkowskiej partia straciła najbardziej rozpoznawalnego polityka, który krytykował sanitaryzm i uległość wobec pandemicznej hysterii. Po drugie, PiS został zmuszony do znaczącej rewizji swojej postawy wobec Ukrainy – szczególnie w związku ze sporem o tranzyt ukraińskiego zboża. Nagle po kilkunastu miesiącach politycy rządowi przypomnieli sobie o polskim interesie i zaczęli nieśmiało przebąkiwać, że pomoc Kijowowi nie może pociągać za sobą szkody dla polskich rolników. Trudno powiedzieć, czy uda im się utrzymać tę linię, bo naciski z zewnątrz na jej zmianę na pewno będą silne. Można się spodziewać presji z USA, a także z Unii. Tu akurat PiS sam zagonił się w pułapkę: sprowadzając politykę do jednego celu – szkodenia Rosji i występowania w roli Kacjona, który upominał wszystkich, że nie dość pomagają i nie dość się angażują – nagle musiał połączyć własny język. Na tym polu zatem – relacji z Ukrainą i obrony polskiego interesu narodowego – Konfederacja ma silne atuty.

Nie znaczy to jednak, że sukces Konfederacji jest zagwarantowany. Do tej pory zyskiwała ona na tym, że była „świeża, nowa i nieskażona”. W chwili, kiedy może zyskać realny wpływ na władzę, wielu jej zwolenników, tzw. wyborców antyestablishmentowych, może poczuć się rozczarowanych. Oni zawsze głosowali przeciw, a nie za.

Tak czy inaczej można mieć nadzieję, że dzięki trzeciej sile w debacie politycznej pojawi się więcej racjonalności. Mobilizowanie emocji przez propagandystów to za mało. ©



TEMAT TYGODNIA

12 ŁUKASZ WARZECHA
UKRAIŃSKIE OTRZEŻWIENIE?
Gdzie jest interes Polski

15 TOMASZ CUKIERNIK
WOJNA ZBOŻOWA

KRAJ

18 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
WIELKA ŚMIECIOWA OBŁUDA
Bezskuteczna walka z mafią śmieciowymi

21 ROZMOWA Z ANNĄ MARIĄ SIARKOWSKĄ
CHCEMY WYGRAĆ TE WYBORY

24 PIOTR SEMKA
WIELKA WOJNA
PROF. TRABY O „SZUBIENICE”

28 ROZMOWA Z MARIKĄ M.
CZUJĘ SIĘ NAJZWYCZAJNIEJ W ŚWIECIE
SKRZYWDZONA PRZEZ SĄD

32 TOMASZ ROWIŃSKI
PANI JOANNA OD ABORCJI

34 ŁUKASZ ZBORALSKI
EGZAMIN Z ZAMOŻNOŚCI

KULTURA

36 PIOTR GOCIEK
CZŁOWIEK I JEGO WYSPY
Pierwsza w Polsce
biografia Aldousa Huxleya

NIE PRZEGAP

38 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

44 JAN PARYS
JAK BIDEN TRACI EUROPE
Niemcy chcą rządzić UE

48 WOJCIECH GOŁONKA
PODSZEPTUJĄCY PUTINOWI

52 PAWEŁ CHMIELEWSKI
QUEEROWY BÓG?

HISTORIA

54 MACIEJ KLEDZIK
ŚLADEM ARCHIWÓW
POWSTANIA WARSZAWSKIEGO
Powstańcze dokumenty

ŚWIAT

66 MACIEJ PIECZYŃSKI
ZDRAJCY I DEZERTERZY
Nie wszyscy Ukraińcy chcą walczyć

69 DOMINIKA ĆOŚIĆ
BAŁKAŃSKIE PUZZLE

72 PIOTR WŁOCZYK
ZATRZYMAĆ ŁODZIE

EKONOMIA

78 JACEK PRZYBYLSKI
UPAŁ NA RYNKU MIESZKAŃ
Ceny nieruchomości znów idą w górę

O ZDROWIU

80 KATARZYNA PINKOSZ
TO MOŻE BYĆ PRZEWLEKŁA CHOROBA
Zaawansowany rak jelita grubego



**„DO
RZECZY”
NA
WAKACJE**
82 RADOŚLAŃ
WOJTAS
SAMURAJ
NIEPOKALANEJ
Polskie ślady
na świecie

FELIETONY: SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (7), KOWALCZUK (8), GMYZ, GOCIEK (9), ŻEBROWSKI, KOPER (65), PRZYBYLSKI (74), GABRYEL, WARZECHA (75), KOMUDA (86), POSPIESZAŁSKI, KARWELIS (87), JĄSTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (88), KUCHARCZYK (89), CEJROWSKI (90)

ADRES: Tygodnik DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:

Cezary Gmyz, Piotr Godiek, Krzysztof Masłowski, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:

Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowski, Wojciech Cejrowski,
Wiesław Chelminiak, Dominika Ćosić (Bruselo),
Tomasz Cukierlik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarniecki,
Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek,
Jerzy Karwelski, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalcuk (Rzym),
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyński,
Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Błażej Torzański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromejczyk,
Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapart

PORTAL DORZECZY.PL redaguje: Karol Gac z zespołem: Zuzanna Dąbrowska,
Kamila Gala, Zofia Magdziak, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj,
Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sienkowski,
Łukasz Żygadlo.

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedziółko** (kierownik studia),
Marta Michałowska, **Jakub Tański** (skład),
Jacek Nadarowski (dobrać zdjęć)
Fotoredycja: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczak**
Korekta: **Anna Zalewska**, **Magda Zubrycka-Wernerowska**,
Agata Błaszczak-Stefaniak

RYSUJĄCY: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krzysztopa**
Okładka: **Piotr Mołęcki/East news**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, **Agnieszka Jabłońska**,
Jolanta Kłoc

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl; tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek**, tel.: 508 040 664,
pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500

Nr indeksu 288 829, Nakład 52 000 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adjustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy,

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Pan Samochodzik wypatroszony”, Piotr Semka, „DRz” nr 29/2023

Szanowny Panie Redaktorze,
zgadzam się z Pańską gorzką oceną netfliksowego „Pana Samochodzika”, niestety dziś logo Netlixa nie jest znakiem jakości, jak było kiedyś. Spokojnie można by je zastąpić tęczaową flagą. No bo proszę tylko spojrzeć, co zrobili z polskim „Wiedźminem”, którego za sprawą gier zdobywających popularność na całym świecie, a w ślad za nimi odkrywanych przez zagranicznych odbiorców książek pana Sapkowskiego zaczęto szlachetnie nazywać najlepszym towarem eksportowym polskiej popkultury. Śmiałem twierdzić, że oderwany od książek serial Netflixa jej się nie przysłuży. Nie mówiąc już o koszmaru pt. „Blood Origin”, który jest tak zły, że polski „Wiedźmin”

z 2001 r. z Żebrowskim, Zamachowskim i smokami z tektury wydaje się być dziś niezłym kinem.

Z pozdrowieniami, Przemysław Mazur

„Jak Franciszek mebluje Kościół w Polsce”, Piotr Semka, „DRz” nr 30/2023

Dzień dobry!

Szanowna Redakcjo,
w artykule „Jak Franciszek mebluje Kościół w Polsce” red. Piotra Semki wkradł się błąd. Metropolita warszawski został kreowany kardynałem w 2010 r. przez papieża Benedykta XVI, natomiast pan redaktor Piotr Semka pisze o roku 2005. W 2005 r. Kazimierz Nycz był biskupem koszalińsko-kołobrzeskim, metropolitą stolicy był wówczas prymas Józef Glemp (do 2007 r.).

Pozdrawiam! Wojciech Malinowski

Od autora

Za pomyłkę przepraszam.

Piotr Semka

- dokąd na wakacje?
- do któregoś z krajów,
z którymi nie mamy
umowy o ekstradycji...



ce z e r y k r y s t o n a



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Pani Joanna rządzi

Wsztabie PiS wszyscy pukają się w czoło – grzmi Jarosław Kurski w „Gazecie Wyborczej”. „Przy trzech listach opozycji, matematycznie rzecz biorąc, tych wyborów nie da się wygrać. Nawet jeśli KO zdobędzie najwięcej głosów. Prawo Newtona. Nikt przecież nie dyskutuje z prawem grawitacji”. „Wyborcza”, już nie wiadomo po raz który, wraca do postulatu jednej listy opozycji, więc widocznie w sondażach nic nie drgnęło. Mimo entuzjastycznych badań firmy Kantar: Całkiem niedawno odbył się marsz 4 czerwca i wtedy „Gazeta” głosiła, że ruszy meksykańska fala, która ponieść miała kampanię Tuska w górę. Ale nie poniosła. Równie niewielkim impulsem stały się wiece na wolnym powietrzu, które miały przynieść kampanii nowy impet. Te wiece spowszedniały i tylko dają okazję złośliwcom z PiS do komentowania, ile autokarów z przywiezioną publicznością stoi na parkingach nieopodal miejsc spotkań z ambitnym gdańszczaninem.

Na gwałt testowane są nowe sposoby docierania do wyborców. Donald Tusk osobiście dzwoni

z podziękowaniami do donatorów, którzy wyasygnowali więcej niż 20 zł. Media protuskowe cytują zachwycone głosy szczęśliwców, do których dodzwonił się niegdysiejszy król Europy, i zwierają się, jak wielkim zaszczytem dla nich było rozmawianie z samym Donaldem T. Dosyć zabawne jest przyglądanie się, jak „Gazeta” po raz kolejny podkreśla, że tylko jedna lista może uratować kampanię lidera PO przy absolutnej ślepotce na to, że Donald Tusk sam zaplątuje się we własne nogi, angażując swój autorytet w tak wątpliwe historie jak epopeja pani Joanny, która przedstawia się jako ofiara policji mającej antyaborcyjne obsesje. Zamiast któregoś już nawrotu do żądania pełnego zjednoczenia list pod wodzą Tuska „Wyborcza” mogłaby się zastanowić, dlaczego w sztabie PO nikt nie zadał sobie trudu, aby zajrzeć na media społecznościowe i obejrzyć dziwaczne zdjęcia, które robi sobie bohaterka całej tej awantury.

Dzisiaj z prestiżu pani Joanny pozostało już niewiele, ale przecież w pierwszej reakcji Donald Tusk tak bardzo przejął się jej przygotowaniem, że zwołał na 1 października

marsz miliona Polaków. Tymczasem każdy występ na żywo pani Joanny pokazuje, że jest to osoba, która ma problemy ze sobą i która do placówki lekarskiej trafiła z bardzo wysokim poziomem alkoholu we krwi. Nie jestem w stanie wyobrazić sobie spotkania w sztabie Donalda Tuska, na którym zapadła decyzja o uczynieniu dość dętej sprawy pani Joanny jednym z głównych motywów kampanii. Czy nikt z otoczenia wielkiego Donalda nie potrafił wskazać, że nie można udzielać tak daleko posuniętego poparcia osobie, o której wtedy nie było specjalnie wiele wiadomo, że warto wcześniej zrobić jakiś research?

To takie postaci jak pani Joanna obciążają jak ołowiana kula wyborczy szlak przewodniczącego PO. A „Wyborcza” tej prawdy nie napisze – bo sama zaangażowała się w nadmuchiwanie męczeństwa pani Joanny. I to właśnie dlatego czytamy znów na czołówkach „GW” wezwania do stworzenia jednej listy. Jak to ciężko być więźniem własnej manipulacji... ©©

CZYTAJ TAKŻE „PANI JOANNA OD ABORCJI” NA STRONIE 32

„Do Rzeczy” najbardziej opiniotwórczym tygodnikiem w Polsce

Z rankingu Instytutu Monitorowania Mediów wynika, że w maju tego roku tygodnik „Do Rzeczy” znalazł się na pierwszym miejscu wśród najczęściej cytowanych tygodników i dwutygodników w kraju. Nasz tygodnik był cytowany w innych mediach blisko 600 razy.

„Analizę częstotliwości 43 609 cytaowań poszczególnych mediów przez inne media przeprowadzono na podstawie przekazów pochodzących z monitoringu prasy, radia i telewizji oraz portali

internetowych, w których pojawiały się cytowania ze wskazaniem nazwy mediów prasowych, serwisów internetowych, stacji radiowych i telewizyjnych lub tytułu ich programów. Badanie dotyczy okresu 1–31 maja 2023 r.” – czytamy w komunikacie IMM.

W rankingu „Najbardziej opiniotwórcze media maja 2023” tygodnik „Do Rzeczy” awansował na pierwszą pozycję – w kwietniu był na drugim miejscu z liczbą cytowań wynoszącą 345. W maju na naszych łamach ukazał

się m.in. szeroko komentowany wywiad z ministrem sprawiedliwości Zbigniewem Ziobrą, który krytykował politykę premiera Mateusza Morawieckiego wobec Unii Europejskiej.

IMM analizuje wyniki w zakresie zleconych zagadnień ze wszystkich mediów: Internetu, prasy, radia, telewizji i mediów społecznościowych. Monitoring obejmuje 1100 tytułów prasowych i 220 stacji radiowych, a także portali internetowych, kanałów społecznościowych, podcastów oraz kanałów wideo. (luz) ©©



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Abofoliariastwo

Wygłąda na to, że patronem kampanii wyborczej PO będzie jednak Tadeusz Boy-Żeleński, twórca hasła „piekło kobiet”. Piszę „jednak”, bo to dowód kompletnego odklejenia lewicowo-liberalnych elit od nastrojów społecznych, które akurat w tej kwestii nie zmieniają się od lat. Większość Polaków uważa aborcję za zło, uważa też, że w pewnych określonych sytuacjach jest to zło usprawiedliwione, ale przede wszystkim nie chce, żeby była ona przedmiotem polityki. Ludzie podzielający zdanie lewicowych mediów, że „abo” (jak nazywa się tam zabicie dziecka) jest OK, że to fajna sprawa i „prawo kobiety”, to wąski margines, którego poparcia PO i tak może być pewna.

Skoro jednak temat wraca do debaty politycznej, to warto przypomnieć rzecz podstawową, o której także pro-liferzy, przeważnie działający z motywacji religijnych i niepotrzebujący innej, zapominają. Otóż to, że płód w łonie matki nie jest częścią jej organizmu – na czym opiera się cała argumentacja aborcjonistów – tylko innym człowiekiem, nie jest dogmatem religijnym ani opinią filozoficzną, tylko naukową oczywistością. W chwili, gdy dwie komórki haploidalne (plemnik i jajo) łączą się w jedną – zarodek, już z pełnym genomem – powstaje nowe DNA. Unikalne, jedyne, inne od DNA matki, ojca i miliardów innych ludzi. To jest naukowy fakt, równie oczywisty jak to, że Ziemia nie jest płaska.

Czy prawo może pozwalać zabijać ludzi? Tak, czasem przecież pozwala: policjant ma prawo zabić w obronie prawa przestępcę, żołnierz w obronie ojczyzny, sąd powinien mieć prawo powiesić zbrodniarza w obronie społeczeństwa. Jednak czy można się zgodzić, jak chcą zwolennicy „abo”, by prawo pozwalało zabić człowieka dla wygody innego człowieka? Tego, który go spłodził, a nie chce się nim opiekować, czy tego, w którego organizmie ten człowiek na mocy praw natury czasowo się znajduje – bo mu się nie chce rodzić i wychowywać?

„O tym będą te wybory” – jak to zwykli mawiać, skądinąd na bakier z poprawną polszczyzną, liderzy partii, która postanowiła umieścić „abo” na swoich sztandarach. ©©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Wakacje nad otchłanią

Sławomir Sierakowski, ideolog złowieszczy, acz socjolog ciekawy, w podsumowaniu swych najnowszych badań ubolewa, że „lewica nie pasuje dziś po prostu do struktury społecznej Polski”. „Klasa ludowa” (którą lewica chciałaby podburzać) nie ufa tym, którzy dążą do „sekularyzacji” (czyli po prostu – dechrystianizacji). Swoją drogą to bardzo smutne, że owa „lewica” tak bardzo czuje się obca polskiemu ludowi, większości skromniej żyjących Polaków, że aby o nich mówić, musi wywołać mutację językową i sam lud z marksistowska przezwąć „klasą ludową”.

Z faktu, że lewica „nie pasuje” do dzisiejszej Polski, Sierakow-

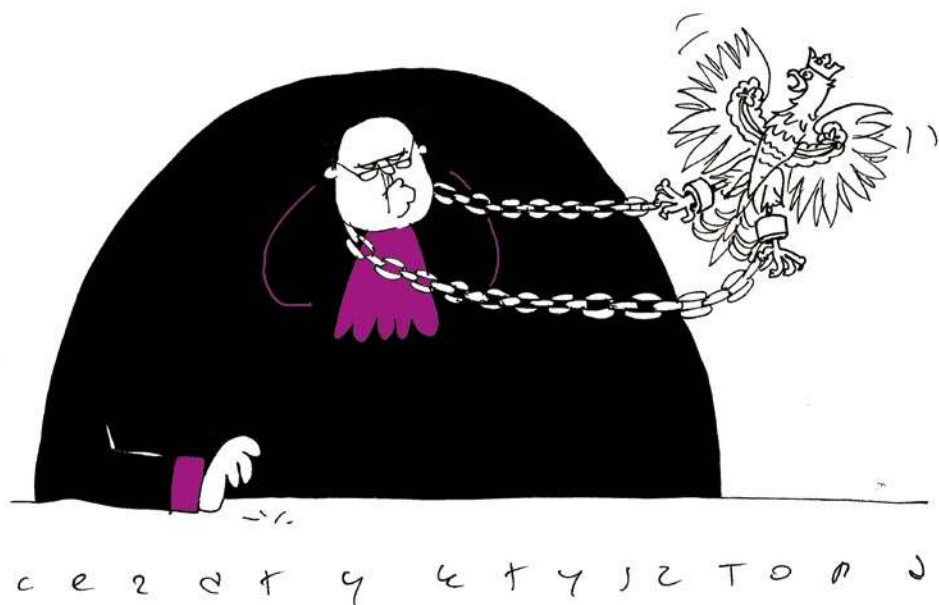
ski wyciąga wniosek pozornie zaskakujący, a w istocie oczywisty: lewica musi zaakceptować swą rolę reprezentacji mniejszości. Nie tylko rozmaitych „mniejszości”, lecz także po prostu mniejszości społeczeństwa, która odrzuca Polskę, jaka była i jest. I dzięki temu – jak konstatuje – „lewica pcha fundamentalne kwestie naprzód kosztem skuteczności politycznej; jej rola jest kulturowa, nie polityczna”.

Niestety, trudno zaprzeczyć skuteczności tej realizowanej „kosztem skuteczności” strategii. Jej miarą są zmiany świadomościowe w młodym pokoleniu. A przy tym lewica pozostaje koniecznym składnikiem

każdej hipotetycznej większości, sformowanej przeciw prawicy.

I błędem byłoby założenie, że nie trzeba tych płaszczyzn (polityki i świadomości społecznej) łączyć. Gdyby bez politycznego wsparcia i rezonansu pozostały ataki na zamknięcie imigracyjnego korytarza Putina-Lukaszenki, otwarte zaangażowanie na rzecz politycznego ruchu homoseksualnego i w końcu rewolucja aborcyjna – wszystko to nadal byłoby jedynie zajęciem kręcących się w kółko NGO’ów. Najnowsza odsłona to systematyczna dehumanizacja nienarodzonych. Rewolucja „pcha swe fundamentalne kwestie naprzód”. Władza milczy. Konfederacja – tak samo. Otchłań coraz bliżej. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O czarnej zideologizowanej niewdzięczności

Egipcjanin Patrick Zaki studiował w Bolonii literaturę. W 2020 r. poleciał do Kairu, gdzie został aresztowany, bo jako działacz obrońców praw człowieka napisał tekst o prześladowaniach Koptów w Egipcie. Przesiedział 22 miesiące w areszcie. Na skutek licznych protestów Włochów i PE został zwolniony. Otrzymał zakaz opuszczania kraju i czekał na wyrok sądu za „wywrotową propagandę”. Napisał wtedy i obronił zdalnie pracę magisterską. 18 lipca został skazany na trzy lata więzienia. Włoska lewica dostała szału. Oskarżyła rząd Meloni o bezczynność w sprawie Zakiego.

Tymczasem nazajutrz prezydent Al-Sisi Zakiego ułaskawił. Okazało

się, że włoski rząd pracował nad uwolnieniem Zakiego wiele miesięcy. Z dyskrecją, wykorzystaniem dyplomacji i służb specjalnych. Znalezione wyjście, które pozwoliło Al-Sisiemu zachować twarz. Z ciemieży przepoczwarzył się w łaskawcę. Przynajmniej w swoich oczach.

Sukces Meloni zabolął lewicę. Puściły hamulce moralne. Postępowcy ustami swoich polityków i mediów rozpuścili haniebną plotkę: rząd wynegocjował ułaskawienie Zakiego w zamian za puszczenie w niepamięć głośnej zbrodni egipskich służb specjalnych, które zamordowały w Kairze w 2016 r. włoskiego studenta Giulia Regeniego, biorąc go za szpiega.

Włoski rząd oferował Zakiemu swój samolot. Odmówił. Powiedział, że jako działacz społeczny nie chce korzystać z żadnych przywilejów ze strony żadnego rządu. Wiadomo jednak, że chciał uniknąć spotkania z premier w Rzymie, bo nie podziela jej poglądów politycznych i społecznych. Przyleciał na własny koszt do Mediolanu, a zaraz potem w Bolonii spotkał się z szefową lewicowej Partii Demokratycznej Elly Schlein. Postępowcy cieszyli się jak dzieci, że Giorgię Meloni spotkał afront.

Gdyby włoska premier rozumowała kategoriami Zakiego i włoskich postępowych elit, Egipcjanin siedziałby teraz w więzieniu – Bóg wie jak długo. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

Upały, upały, upały. Dały się we znaki pracownikom pałacu prezydenta Andrzeja Sebastiana. Do tego stopnia, że wyzłopali cały zapas zamówionej wody. A ponieważ upały trwały i trwały, pracowników zaczęło suszyć do tego stopnia, że zaczęli żłopać kranówkę, nazywając ją z przekąsem Bandychówką. A to na cześć szefowej Kancelarii Grażyny Ignaczak-Bandych. Oj, nie spodobało się to jej – i to bardzo. Nowe zapasy wody zamówiono przedterminowo. Bo kto chciałby przejść do historii w taki sposób? My osobiście przeciw kranówce nie mamy nic przeciw. Problem w tym, że z kranu nie leci gazowana.

PiS jest tymczasem poirytowany, że osoba głowy państwa wciąż nie ogłosiła terminu wyborów. Niby wszyscy wiedzą, że to 15 października, ale skoro brak ogłoszenia, to nie można oficjalnie rozpocząć kampanii, czyli uruchomić budżetów wyborczych. Andrzej Sebastian daje jednak do zrozumienia, że jeśli przez Sejm nie przejdzie jego projekt ustawy kompetencyjnej, to na ogłoszenie terminu trzeba będzie poczekać. Nas to nie dziwi, gdybyśmy mieli okazję zwiększenia swojej władzy, też byśmy walczyli. Inna sprawa, że ustawa kompetencyjna w gruncie rzeczy jest też potrzebna PiS na wypadek przegranych wyborów. Skutecznie związałyby bowiem ręce dzisiejszej opozycji, gdyby ta przejęła władzę.

Skoro idą wybory, to trwa kombinowanie przy listach. Wązą się losy kandydowania Piotra Glińskiego. A konkretnie wąż się jego losy jako posła z miasta Łodzi. Otóż miasto ma silną reprezentację w postaci jeszcze dwóch ministrów, tzn. Zbigniewa Raua i Waldemara Budy. W tej sytuacji Gliński zastanawia się nad kandydowaniem z Wrocławia. Jak mawiał Juliusz Cezar – lepiej być pierwszym na prowincji niż drugim czy trzecim w Łodzi. Czy jakoś tak.

Przeniesienie prof. Glińskiego na jedynkę do Wrocławia oznacza, że nieaktualny jest już plan z wystawieniem tam naczelnego kukisty Pawła Kukiza. Ten więc ma być jedynką w Opolu. Co w takim razie z Bortniczkiem – zapytają zaniepokojeni opolanie. Cóż, słyszeliśmy, że będzie kandydował

z emigracji, zdaje się z Tarnowa, choć parę miejsc jest jeszcze wciąż rozważanych.

Tymczasem Radek podobno nie chce startować w polskich wyborach parlamentarnych. Bo podobno obraził się na Tuska, gdyż ten nie chce mu dać stanowiska marszałka Senatu. Tak, akurat! Gdybyśmy nie wiedzieli, że pensja eurodeputowanego i możliwości dorabiania z nią związane są wielokrotnie wyższe niż marszałka Senatu, to może byśmy uwierzyli. Na razie wierzymy, że Radek Sknerus umie liczyć.

Słyszeliśmy natomiast, że z tymi pretensjami Radka do Tuska to prawda. Ale z innego powodu. Radek podobno nie może wybaczyć Złemu Donaldowi z Sopotu, że ten nie broni go w sprawie serialu „Reset”. A przecież to taka dobra okazja, by przypomnieć, że Radek to najlepszy orędownik spraw polskich za granicą od czasów prymasa Mikołaja Trąby.

Jak zwykle przy okazji układania list bardzo ciekawe są transfery. Oraz związane z tym urojenia. Na przykład posłanka Anna Maria Siarkowska, dawniej Suwerena Polska, dawniej Partia Republikańska, dawniej Kukiz'15, dawniej LPR, ogłosiła: „Nie planowałam startować z list PiS. Każdy, kto się trochę orientuje w sytuacji, wie, że Jarosław Kaczyński na dźwięk mojego nazwiska dostaje białej gorączki”. Zapewniamy, że jedyna reakcja osoby naczelnika na tę wiadomość to westchnienie ulgi.

Natomiast w kwestii białej gorączki i lęków – czasem bywają prawdziwe. Słyszeliśmy, że kochani

postowie Szczërba, Joński i reszta miglanców z Koalicji Łobywatełskiej tropiących tłuste koty z PiS miała odwołać swoje występy gościnne pod PKO BP. Przyczyna? Lęk, że wparuje tam Janusz Kowalski z SuwPolu (dawniej SolPol) i rozbije imprezę.

Tymczasem do polityki powraca Przemek Wipler. Kiedyś, gdy zbył wiceprezesa partii KORWiN, nazywaliśmy go Przemysław Korwin-Wipler. Dwa lata temu odnotowaliśmy, że to gościu, o którym nie pamięta już nawet facet, który przychodzi z gazowni sprawdzać liczniki. Teraz Przemkowi należy się nowa ksywa: Mentzen-Wipler. Na jego miejscu nie bylibyśmy z niej zadowoleni.

Nie wiemy, czy wiecie, ale sport to polityka. Jeden z panów G. nałogowo ogląda futbol oraz czyta nie tylko portale sportowe, lecz także obfite komentarze. Wynika z nich, że Polskę w eliminacjach europejskich pucharów reprezentują zdrajcy. Otóż Lech Poznań zdradził, bo skumał się ze spółką Skarbu Państwa ENEA i podziękował ministrowi Sasinowi. Legia Warszawa zdradziła, bo się kuma m.in. z Mariuszem Chłopikiem. Jeden z komentarzy o Rakowie natomiast zacytujemy w całości: „Oczywiście jestem za Karabachem. Częstochowa gościła ostatnio wrogów ojczyzny i zdrajców narodu z PiS, więc powinni być wykluczeni z Ligi Mistrzów”. Wychodzi na to, że jedyna siła opozycyjna w pucharach to Pogoń Szczecin. Ale czy o tym wie?

Na koniec dyplomacja. Prezydent Andrzej Sebastian kontynuuje ofensywę ambasadorską, czyli lokowania zaufanych ludzi na placówkach. Kumoch do Chin, Soloch do Rumunii, a teraz jeszcze Bogna Janke do Brazylii. Ta ostatnia jest w trakcie kursów portugalskiego. Ale nie będzie miała łatwo, bo jej poprzednik opuścił placówkę przedwcześnie w dość dziwnych okolicznościach. A na dodatek do Brazylii wybiera się na ambasadora osławiony Andrij Melnyk. Z Ukrainy. To ten, który zachwalał Stefana Bandere. Dziwne, że nie wysłano go do Kanady. Jak mawia bowiem Ziemiakiewicz – Ukrainiec z Kanady to jak Niemiec z Argentyny. ©©



FOT. ROBERT CARZINSKI



ZUZANNA
DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

JAGODOWY SZCZYT BEZCZELNOŚCI

Sezon ogórkowy w pełni. Tak jak nieco mniej niż zwykle dzieje się w polityce, tak świat gwiazdobzdur maści wszelakiej jakby zapadł w letnią, leniwą drzemkę. Porozjeżdżali się na wakacje do tych Turcji czy innych Hiszpanii i spuścili nieco z tonu. Na szczęście nie wszyscy! Sezon letni oznacza jagodzianki, a to z kolei powracającą w rytmie wyznaczanym przez święta i pory roku dyskusję na temat cen słodkości w cukierni Magdy Gessler. Przy okazji świąt tabloidy rytualnie oburzają się, ile to restauratorka liczy sobie za mazurki i makowce. Thusty czwartek to obowiązkowa inba o absurdalnie wysokie ceny pączków. Lato oznacza aferę o jagodzianki – w tym roku przysmak ten w cukierni Gessler to wydatek rzędu 28 zł. Dużo? Dużo. Inflacja inflacją, ale jeszcze dwa lata temu słodka bułka z jagodami u gwiazdy TVN kosztowała znacznie mniej (choć wciąż dużo!) – 18 zł. Podwyżka nie umknęła uwadze celebrytów. Na „tasting” jagodzianek od Gessler wybrała się m.in. pisarka Blanka Lipińska. – Ciasto jest takie, jakby było nieupieczone. To nie jest zakalec. To takie

ma być mokrutkie takie – kręciła nosem autorka wiekopomnego dzieła, czyli czytała „365 dni”. Ostatecznie uznała, że jagodzianka jest „niezła”. Na taką ocenę wpływ miała też satysfakcjonująca Błanię ilość „kruszoneczki”. Innego zdania na temat jagodzianek od restauratorki jest Klaudia Halejcio. Tutaj nie ma zmiłuj. – To szaleństwo. Jak można wydawać tyle kasy, naprawdę! To przesada, to już jest szczyt bezczelności, serio. Magda, oszalałaś?! Trzydzieści złotych kosztuje. Ja ostatnio mówię: Whaaat? Serio – trzy dychy jagodzianka? – nie kryje oburzenia aktorkoinfluencerka. Autorka rubryki dołącza się do Klaudziniego oburzu, jednak ma z tyłu głowy, że pani Halejcio mieszka – jak skrupulatnie wyliczyły portale plotkarskie – w willi za 9 mln zł. Czyli za tę willę mogłaby kupić 321 tys. 428 jagodzianek. Sezon ogórkowy, ostrzegalam.

WYSOKOWIBRACY- NA REWOLUCJA

Na bezrybiu i rak ryba, a więc poświęćmy parę zdań nowemu biznesowi Filipa Chajzera. Prezenter, który ma niespotykany wręcz talent do wywołania swoim zachowaniem medialnych aferek, chce chyba konkurować z Magdą Gessler, bo otwiera knajpę. Nie ma to być jednak knajpa jak każda inna, ale wyjątkowa – można by rzec – z zachodnim sznytem. „Stało się! Jestem najszcześniejszy na świecie. Otwieram restaurację ze śniadaniem non stop. Przejmuję ten lokal z licencją na sprzedaż alkoholu, z której świadomie i pełną odpowiedzialnością rezygnuję. O to, to! To będzie MOCKTAIL BAR. Ten trend oparował już NYC, a teraz czas na rewolucję w Polsce, której samozwańczo stanę się twarzą w Polsce” – pochwalił się Chajzer w mediach społecznościowych. Prezenter zapewnia, że będzie to miejsce „wysokowibracyjne”, które zapewni wszystkim lepszy „lifestyle”. „Chcę, żeby to miejsce miało najlepszą energię, było wysokowibracyjne, a sprzedaż alkoholu temu nie sprzyja. Alkohol to trucizna. Coś, co odbiera ci pieniądze, miłość, rodzinę

i życie. I ja nie chcę do tego przykładać ręki. Naszym lifestyle'em nie musi być bełkot, żenada i kac. Przyjedziesz do mnie na rewelacyjne śniadanie serwowane do 22.00. Wypijesz prosecco z kija i pojedziesz dalej samochodem. Prosecco będzie bezalkoholowe, tak jak selekcja najlepszych win, piw oraz drinków, czyli mocktaili” – deklaruje Chajzer. Ograniczenie alkoholu – zająca idea. Wysokie wibracje itp. – bzdury, choć do zniesienia. Ale te śniadania do godz. 22? Ludzie w Nju Jorku serio tak żyją?!

TROCHĘ TAK, A TROCHĘ INACZEJ

„Przedwyborcze odmetry szaleństwa”. Tym razem nie odmetry, może takie odmetryki. Ale to też wymuszone bardziej przez dziennikarza niż samoistne, jednak przypomnijmy, że przecież trwa sezon ogórkowy, więc proszę nie marudzić. Ale do rzeczy. W rozmowie z Onetem Jan Frycz był pytany, dlaczego, w przeciwieństwie do wielu polskich aktorów, nie angażuje się w kampanie na rzecz ochrony środowiska i generalnie w dyskurs dotyczący ważnych spraw społeczno-politycznych (jako wzór postawiono aktorkę Joannę Szczepkowską, która powodzenie czerwcowego marszu Donalda Tuska potraktowała jako osobistą misję). „Czuję się wobec tego bezsilny. Nie chcę i nie potrafię nikogo pouczać, zawstydzam mnie to, śmiesz i denerwuje, tak jak często rozczarowuję mnie »nasi« i ich postawa. Oczywiście są wyjątki, jak wspaniały marsz 4 czerwca” – zastrzegł artysta. Właściwie to koledzy po fachu mogliby się od pana Jana uczyć wstrzeźliwości. Frycz zauważył bowiem słusznie, że dziś „od razu żąda się deklaracji, każdy musi się określić, by nie być pośladczym o złe intencje”. Nieco bardziej kontrowersyjnie robi się, gdy aktor mówi o Kościele. Pytany wprost, czy do niego uczęszcza, odparł, że nie. Powody są ciekawe. „Nie cierpię, kiedy ktoś się zgrywa. Powtarzam sobie: bez uniesień” – mówi aktor, uskarżając się też na upolitycznienie Kościoła. Odmęćki. ©



FOT. MATEUSZ GROCHOCKI/ODTV/NEST NEWS



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, z wielkim bólem serca czytamy najnowsze informacje o rekrutacji do liceów i innych szkół średnich. Młodzież jest w nich dzielona ze względu na wiedzę, a pamiętajmy, że szkoła powinna przede wszystkim łączyć, a nie dzielić.

Jak to jest możliwe, że w XXI w. w środku Europy nadal istnieją klasy w szkołach, do których mogą się zakwalifikować tylko ci uczniowie, którzy zdobywają określoną liczbę punktów na jakichś subiektywnych egzaminach? A co z pozostałymi – z tymi, którzy się nie dostali? Już teraz chcemy budować w nich poczucie, iż są gorsi?

Musimy pomyśleć nad jakimś systemowym egalitarnym rozwiązaniem, które nie dzieliłoby 15-latków na lepszych i gorszych tylko ze względu na deficyty w wiedzy lub zasobność w wiedzę. A już najlepiej byłoby przyjąć wszystkich dokładnie tam, gdzie chcieliby pójść, wtedy każdy byłby zadowolony i nie byłoby rywalizacji będącej fundamentem patriarchy i fashysmu.

Straszny wstyd. Nawet nie wiemy, jak o tym pisać, spróbujmy więc wprost: Polska złożyła skargę na Niemcy do Unii Europejskiej, konkretnie do Komisji Europejskiej, że niby Niemcy nielegalnie wywożą do nas śmieci.

Wiecie, co nam to przypomina? Tego dzieciaka w klasie w szkole podsta-

wowej, który ciągle dokucza innym, zabiera śniadania, robi awantury, nie chce stosować się do zasad, a kiedy jemu ktoś coś zrobi, to od razu leci na skargi i płacze.

Of kors nie sugerujemy, iż Niemcy nam coś zrobili, co to to nie. Zwracamy tylko uwagę na pewien znany schemat.



No bo pomyślcie sami: Co Niemcy mieliby z tymi śmieciami zrobić? U siebie je trzymać – a niby gdzie? A Polsce to z kolei korona z głowy by spadła, gdyby po prostu się dogadała i te odpady przyjął bez robienia scen i hysterii?

Politykę historyczną mamy historyczną, jak widać, politykę zagraniczną również. A potem zdziwienie, iż nikt nas nie lubi. Tylko tak dalej :/.

Pewien znany aktor, który spowodował kolizję drogową, mając 0,7 promila, ogłosił w wywiadzie, iż czuje się niewinny i w sumie nic takiego nie zrobił, więc nie rozumie hejtu, z którym się spotkał. Skłoniło nas to do pewnej refleksji.

Otóż sądy zazwyczaj wydają wyroki, bazując na swojej własnej opinii i nie za bardzo licząc się z odczuciami osoby oskarżonej.

Może więc zaufać sumieniom osób, oczywiście tylko niektórych – prawidłowo uformowanych, które mają głębokie poczucie swojej niewinności? Możemy bowiem zakładać, iż opresyjne państwo będzie ścigało jeszcze niejednego autorytet moralny i stawiało go w stan oskarżenia. Takich przypadków będzie tylko więcej.

Wówczas sądy mogłyby zadawać jedno pytanie: Czy osoba czuje się winna? I w przypadku odpowiedzi „nie” zwolnić do domu i dać świecki spokój. W ten sposób wymiar sprawiedliwości okazałby też trochę zaufania swoim obywatelom i zaprosił ich do współtworzenia trzeciej władzy poprzez przełomowe podejście polegające na byciu sędzią we własnej sprawie. A któż zna siebie samego lepiej niż on sam? ☺☺



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: [FB.COM/MWIZWO](https://www.facebook.com/mwizwo)

PODSŁUCHANE

Bo każdy blondyn to ryż

Jarku, skąd właściwie ten „Ryż”?
A co, Jacku, nagle się o Donalda martwisz?

Nie, ja tak czysto poznałwco.
Bo ty mówisz „Ryż”, przekaz taki

na telefon też dostałem, że mamy w miarę możliwości tego używać, a ja się mu przyglądałem i on wcale rudy nie jest.
Jak nie jest, jak jest?

Ja nie zauważyłem.
A patrzyłeś tak pod światło trochę?

No wiesz, nie mogłem go sobie ustawić, jak chciałem. Normalnie patrzyłem.

To weź pod światło spójrz. W zasadzie każdy blondyn jest trochę ryży.

Jak uważasz.
A poza tym jest czy nie jest dosłownie ryż – to ryż jest mentalnie. W głowie.

Aha. Wiesz, może ja włosy na ciemno ufarbuję? ☺☺

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„PiS stworzył kulturę polowania na obywateli, której służby państwowe zbyt łatwo się poddały”.

RADOSŁAW SIKORSKI, europoseł KO,
na Twitterze

Prezydent RP Andrzej Duda i prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski podczas spotkania w Łucku na Ukrainie, 9 lipca 2023 r. FOT. ABACA/EAST NEWS

Ukraińskie otrzeźwienie?



Łukasz Warzecha

Polska polityka w relacjach z Ukrainą utknęła w dziwnym zawieszeniu. Niektórzy polscy politycy wciąż zachowują się tak, jak na początku agresji, tymczasem Ukraińcy przekierowują punkt ciężkości swej polityki na Niemcy

Liderem wśród polskich polityków, zaczadzonych wciąż wizją wielkiej polsko-ukraińskiej miłości, pozostaje bez wątpienia prezydent Andrzej Duda. Nie licząc osób z drugiego szeregu, takich jak Paweł Kowal, które sprawiają wrażenie, jakby pilnowały głównie interesu Kijowa, a nie Warszawy.

Obaj nie mają już jednak swoich odpowiedników po stronie ukraińskiej. Tam trudno dziś znaleźć szczególnie przyjazne wobec Polski gesty. Jest raczej wprost konfrontacyjne, takie jak premiera Denysa Szmyhala czy szefa MSZ, Dmytra Kułebę, w odpowiedzi na polskie ruchy w sprawie zboża. Polska strona, zwłaszcza rząd, także coraz bardziej zaostrza retorykę.

CZAS WSTRZEMIĘLIWOŚCI

Pan prezydent wydaje się jednak niemal całkowicie odporny na rzeczywistość. 9 lipca napisał na Twitterze o „ofiarach Wołynia”, które nie miały narodowości. Następnie znalazł się na szczycie NATO w Wilnie. Tam – jak zadeklarował przed rozpoczęciem spotkania – nie załatwiał nic dla Polski, ale załatwiał dla Ukrainy. Warto na tamten fragment wypowiedzi pana prezydenta szczególnie zwrócić uwagę. Najpierw

bowiem mówi on, że „Polska nie załatwia nic dla siebie”, żeby kilka sekund później oznajmić, iż Polska dba o interes swojego ukraińskiego sąsiada. Czyli gra o polski interes jest zła, ale już gra o interes Ukrainy jest dobra.

A jednak nawet pan prezydent spuścił z tonu w stosunku do swoich poprzednich wypowiedzi. Jeszcze jakieś dwa miesiące temu można było odnieść wrażenie, że Polska będzie jednym z głównych zwolenników objęcia Ukrainy jakąś formą gwarancji bezpieczeństwa przez cały sojusz. Tymczasem w Wilnie nie tylko nic takiego nie nastąpiło, lecz także nie było o tym mowy, również ze strony głowy polskiego państwa. Ukraina, jak wiadomo, otrzymała jedynie mglistą obietnicę, że zostanie do NATO przyjęta po spełnieniu warunków i za zgodą wszystkich członków. W dodatku w końcowym komunikacie wspomniano, że konieczne są najpierw w tym kraju „demokratyczne reformy”.

Taka wstrzemięźliwa postawa może wynikać m.in. z braku sukcesów Ukrainy na froncie. To, co miało być drugą błyskotliwą kontrofensywą, okazuje się raczej pojedynczymi, mało znaczącymi uderzeniami i sprowadza się do ruchów w gruncie rzeczy nieistotnych. Już kilka miesięcy temu analitycy zaczęli zwracać uwagę na znacznie lepsze przygotowanie Rosjan do odpierania ukraińskich ataków, niż to miało miejsce podczas pierwszej kontrofensywy. Cytowany w połowie czerwca przez Associated Press emerytowany brytyjski generał sir Richard Barrons, były szef brytyjskiego sztabu generalnego, wskazywał na bardzo dobrze przygotowane przez Rosjan umocnienia, odsunięcie stanowisk dowodzenia czy składów amunicji poza zasięg ukraińskiej artylerii oraz nabycie przez Rosjan zdolności do zakłócania pracy ukraińskich dronów. „Ludzie wciąż uznają za punkt odniesienia zeszłoroczne sukcesy Ukrainy spod Charkowa i Chersonia, co w tym momencie nie jest już uzasadnione” – wyjaśniał Barrons.

Inny analityk, tym razem ukraiński, Ołeh Zdanow, również w rozmowie z agencją AP stwierdzał, że co prawda Rosja stosuje stare czołgi, ale ich wiek nie ma znaczenia, bo po prostu okazują się skuteczne, także jako stacjonarna „artyleria”.

BEZ WDZIĘCZNOŚCI

Wizja ukraińskiego zwycięstwa, rozumianego jako wyparcie Rosji ze wszystkich należących do Ukrainy terytoriów, coraz wyraźniej okazuje się iluzją, choć w Polsce uparcie wydaje się jej trzymać przede wszystkim Andrzej Duda. Jednocześnie Ukraina zaczęła wyraźnie zmieniać swój polityczny kurs. Może to być zaskoczenie jedynie dla tych, którzy nie dostrzegali wcześniej daleko posuniętego pragmatyzmu ukraińskiej polityki. Kijów od początku wojny przyjął bowiem zasadę „brać i nie kwitować”. Pomoc była nie tylko chętnie brana, lecz także niemal wymuszana na wszystkich mogących jej udzielić, natomiast nie szły za tym ani jakiegokolwiek zobowiązania, ani żadnego rodzaju wzajemność – oczywiście na miarę państwa, które toczy wojnę. W polskim przypadku było to szczególnie widoczne, zwłaszcza że we wzajemnych stosunkach tkwi zdraza wołyńskiego

ludobójstwa. Wychodząc tu naprzeciw polskim oczekiwaniom, Ukraina mogła symbolicznym jedynie kosztem okazać wzajemność za dostarczone wsparcie. Tak się, jak wiadomo, nie stało.

Pomoc, której udzieliliśmy swojemu sąsiadowi, ambasador Ukrainy w Polsce Wasyl Zwarycz ocenił ostatnio na raptem ok. 14 mld zł. To zadziwiające szacunki. Według Kilońskiego Instytutu Gospodarki Światowej, regularnie podliczającego pomoc poszczególnych państw dla Ukrainy, Polska od początku wojny do końca maja tego roku w sumie pomogła Ukrainie na sumę 4,267 mld euro, czyli blisko 19 mld zł. Jednak szacunki instytutu dotyczą tylko pomocy bilateralnej, a więc tego, co zostało Ukrainie w różnej postaci bezpośrednio przekazane. Nie obejmują natomiast m.in. kosztu wynikającego z objęcia ukraińskich uchodźców polskim systemem świadczeń socjalnych – do czego, trzeba przypomnieć, Polska w żaden sposób nie była zobowiązana i była to wyłącznie decyzja polskich władz. Tymczasem, zgodnie z informacjami z połowy lipca, „500+” pobiera 200 tys. uchodźców z Ukrainy, a ze świadczenia „Dobry start” skorzystało 150 tys. Ukraińców. Dodatkowo ponad 1,2 mln otrzymało jednorazową pomoc w wysokości 300 zł. Ponad 29 tys. osób pobierało świadczenie „Rodzinny kapitał opiekuńczy”. W sumie wszystkie te socjalne korzyści – według Ministerstwa Rodziny i Polityki Społecznej – kosztowały Polskę 2,56 mld zł. Te sumy w raportach kilońskiego instytutu nie są uwzględniane, a już z całą pewnością nie uwzględnił ich pan ambasador Zwarycz w swojej zadziwiającej wypowiedzi. Podobnie jak wszelkich innych kosztów wynikających np. z przyjęcia do polskich szkół dobrze ponad 100 tys. dzieci z Ukrainy.

Kilka miesięcy temu, podczas wizyty w USA, minister finansów Magdalena Rzeczkowska wymieniła sumę 50 mld zł jako całościowy koszt pomocy udzielanej przez Polskę Ukrainie w ciągu pierwszego roku wojny. To liczba z pewnością bliższa prawdzie, ale może być zaniżona. Kompletnego podsumowania kosztów z ich wyszczególnieniem – a także z uwzględnieniem sum wydanych prywatnie przez polskich obywateli w ramach pomocy dla Ukraińców – polski rząd nigdy nie przedstawił.

Wasyl Zwarycz ma na swoim koncie więcej wypowiedzi mogących wzbudzić zdziwienie. 11 lipca pisał na Twitterze: „11 lipca solidarnie z narodem polskim dziś oddaję hołd wszystkim cywilnym ofiarom – obywatelom II RP pomordowanym na okupowanych przez III Rzeszę terenach w latach drugiej wojny światowej”, co było dość prymitywną próbą maskowania ukraińskiej odpowiedzialności za zbrodnie ludobójstwa na Wołyniu, Lubelszczyźnie i w Małopolsce Wschodniej.

W opublikowanej w ubiegłym tygodniu rozmowie w cyklu „UkrAlina” (cykl prowadzi pracująca i mieszkająca w Polsce od lat ukraińska dziennikarka Alina Makarczuk) Zwarycz tłumaczył, że emocjonalne słowa odnoszące się do zapowiedzi blokady importu – nie transferu – ukraińskiego zboża do Polski wynikają z tego, że z przychodów pochodzących ze sprzedaży produktów rolnych pochodzi znaczna część ukraińskiego budżetu, który z kolei służy finansowaniu walki z agresorem.

„Każdy rolnik ukraiński marzy o tym, żeby być w podobnych warunkach jak rolnik polski” – wywodził Zwarycz, pomijając jednak kwestię uniijnych standardów produkcji obowiązujących polskich rolników, ale nie rolników ukraińskich. Następnie użył typowego dla ukraińskiej polityki prowadzonej po 24 lutego moralnego szantażu, mówiąc o sporze o ukraińskie produkty rolne: „Chcemy, żeby wybrzmiało bardzo jasno w Polsce, że problemem jest nie zboże ukraińskie, a problemem jest agresja rosyjska przeciwko Ukrainie. Więc cały ten potencjał protestacyjny trzeba skierowywać na Rosję [...]”. Rolnik ukraiński jest karany podwójnie: pierwszy raz – przez agresję rosyjską, a drugi raz – przez uniemożliwienie mu wyeksportowania swojej produkcji”. Pan ambasador nie wspominał już jednak o tym, że zdecydowana większość gospodarstw rolnych na Ukrainie – o przeciętnej ogromnej powierzchni – jest w rękach oligarchów, więc mówienie w kontekście sporu o ukraińskie zboże o jakichś indywidualnych ukraińskich rolnikach jest sporym nadużyciem. W tej chwili na Ukrainie istnieją 22 podmioty gospodarcze dzierżawiące areale powyżej 50 tys. ha, a 10 z nich ma ponad 100 tys. ha. 73 proc. udziału w ukraińskim rynku rolnym

■ mają agrofirmy, nie indywidualni rolnicy. Polski spór o import ukraińskiego zboża nie jest zatem sporem z pokrzywdzonymi ukraińskimi rolnikami, ale z ogromnymi holdingami rolnymi będącymi własnością wielkiego biznesu, który w ukraińskich warunkach jest też na ogół źródłem pleniącej się w tym kraju na ogromną skalę korupcji.

Jak podawał portal InfoSecurity24, dziennikarze śledczy – m.in. z samej Ukrainy – ustalili, że w tym kraju funkcjonuje kilkaset fasadowych firm eksportujących zboże do Polski, Bułgarii, Rumunii i Węgier. Wiele z nich powstało już po wybuchu wojny tylko po to, żeby zarabiać na powstałej sytuacji. Tak więc żądania ukraińskich polityków to de facto w dużej mierze występowanie w imieniu mafii.

Ambasador odnosił się także do ukraińskiej kontrofensywy, mówiąc, że Zachód nie powinien „oczekiwać za dużo, ale dużo nas wspierać”.

Pan Zwarycz starał się przy tym brzmieć pojednawczo, podkreślał wspólny polsko-ukraiński interes na poziomie strategicznym, ale znacznie mniej dyplomatyczny był minister spraw zagranicznych Ukrainy Dmytro Kułeba. 19 lipca premier Mateusz Morawiecki oznajmił: „Albo po 15 września zostaną wypracowane w Komisji Europejskiej mechanizmy i regulacje, które uniemożliwią destabilizację polskiego rynku, albo rząd RP zrealizuje to jednostronnie”. Kułeba odpowiedział wtedy, że polska blokada jest bezzasadna oraz „naraża na niebezpieczeństwo bezpieczeństwo żywnościowe milionów ludzi na całym świecie”, Kijów zaś w odpowiedzi zwrócił się o interwencję do Komisji Europejskiej. W identyczny sposób wyraził się Denys Szmyhał, premier Ukrainy, który napisał na Twitterze o ruchu „populistycznym i nieprzyjaznym”.

RÓŻNICA INTERESÓW

Wobec tak otwarcie konfrontacyjnej postawy kapitulować zaczęli nawet najbardziej zagorzali rzecznicy proukraińskiego kursu. Ten sam wiceminister spraw zagranicznych, Paweł Jabłoński, który na prawo i lewo rzucał oskarżeniami o wspieranie rosyjskiej propagandy oraz gromił „politykę transakcyjną” w stosunkach z Ukrainą, nagle oznajmił:

„Uważam, że to nie jest zbyt dyplomatyczna wypowiedź, nie jest to zbyt rozsądna wypowiedź. Polska Ukrainie pomaga w ogromnym stopniu [...]. Ale zawsze wspieramy Ukrainę w takim stopniu, jak jest to korzystne dla Polski. Jeżeli mamy tematy, w których się nie zgadzamy – tych tematów trochę jest – to też nie wahamy się jasno o tym mówić”.

Import zboża – a także innych ukraińskich produktów spożywczych, o których znacznie mniej się mówi, a które również zalewają polski rynek, co uderza w polskich producentów – jest najwyraźniejszym polem różnicy interesów pomiędzy Polską a Kijowem. W tej sprawie, jak się wydaje, nastąpiło już otrzeźwienie osób z różnych stron (poza Andrzejem Dudą), ponieważ trudno dzisiaj znaleźć

Specjalne przywileje dla uchodźców z Ukrainy w Polsce powinny być już stopniowo wygaszane

w naszym kraju polityka, który uważałby, że w tej sprawie nie powinniśmy bronić naszego interesu.

Wyjątkiem są osoby tak głęboko zaangażowane w obronę ukraińskiego interesu, jak Cezary Kaźmierczak, szef Związku Przedsiębiorców i Pracodawców, który w niedawnej rozmowie z „Wprost” oznajmił: „Żeby dużo zarobić na Ukrainie, musimy skończyć z absurdalną polityką rządu. Chodzi mi o zakaz importu ukraińskich produktów rolnych w imię interesu jakiejś bardzo niewielkiej grupy małych rolników. Tylko oni na tym korzystają, a to jest grupa, której niedługo w ogóle nie będzie. Za 10 lat całkowicie znikną z rynku. Traci na tym państwo ukraińskie, państwo polskie i społeczeństwo [...]. Ci drobni rolnicy, których próbuje się tym zakazem chronić, i tak stracą, bo w końcu zderzą się z tymi tańszymi ukraińskimi produktami na rynkach docelowych”.

Kaźmierczak, od początku wojny intensywnie lobbujący na rzecz ukraińskiego interesu, zapomniał dodać, że o prawdziwej konkurencji mogłaby być mowa, gdyby ukraińskie rolnictwo musiało przestrzegać identycznych

norm produkcyjnych, jakich przestrzega rolnictwo polskie czy w ogóle unijne. Tak jednak nie jest, a samo rozporządzenie liberalizujące zasady importu ukraińskich towarów do UE ma charakter tymczasowy.

W tej chwili polska polityka, jeśli idzie o relacje z Ukrainą, jest w dziwnym zawieszaniu. Z jednej strony, na zasadzie zadziwiającej inercji lub zbyt głębokiego osobistego zaangażowania, niektórzy wciąż zachowują się tak, jakbyśmy mieli kwiecień ubiegłego roku. Tak z pewnością postępują pan prezydent czy minister spraw wewnętrznych Mariusz Kamiński. Z drugiej – wyraźnie widać, że punkt ciężkości ukraińskiej polityki oddala się od Polski przede wszystkim na rzecz Berlina. A trzeba pamiętać, że Niemcy historycznie były w Kijowie uważane za najbardziej wpływowego i najcenniejszego sojusznika Ukrainy. To podejście wywodzące się nie tylko z okresu lat 90., lecz także od czasów dużo wcześniejszych, od Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, nawet jeszcze przed wybuchem drugiej wojny światowej, potem zaś w jej trakcie. Zarówno internowany przez Niemców Stepan Bandera, jak i rywalizujący z nim o przywództwo w organizacji Andrij Melnyk próbowali przekonać Hitlera, że Ukraina mogłaby być dla niego cennym sojusznikiem.

Za tą reorientacją ukraińskiej polityki i jej brutalizacją w relacjach z Polską nie idzie zmiana, która wydawałaby się logiczną konsekwencją, a powinna polegać na przejściu od naiwnych złudzeń o wielkim partnerstwie i pieczętującym je nowym pakcie do realistycznego opisanie rozbieżnych interesów. Specjalne przywileje dla uchodźców powinny być stopniowo wygaszane. Wojna trwa już 15 miesięcy, obejmuje tylko mniejszą część ukraińskiego terytorium i do prawdy trudno znaleźć uzasadnienie dla podtrzymywania bez daty granicznej socjalnego statusu Ukraińców w Polsce identycznego ze statusem Polaków. O ile jednak w sprawie zboża nadchodzące wybory wymusiły pewną stanowczość polskich władz, o tyle w sprawie socjału czy dalszej pomocy sprzętowej – w tym przekazania samolotów F-16, o czym coraz częściej jest mowa – trwa wciąż proukraiński stupor. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Na początku wojny na Ukrainie Rosja zablokowała porty na Morzu Czarnym, w rezultacie czego eksport produktów rolnych tamtą trasą spadł do zera. Dopiero w lipcu 2022 r. doszło do porozumienia pomiędzy Rosją, Ukrainą, Turcją i ONZ. Na mocy Czarnomorskiej Inicjatywy Zbożowej kontynuowano eksport. Jednak stopniowo zmniejszały się wysyłane ilości produktów rolnych. Działo się tak dlatego, że przepisy utrudniają statkom szybkie przepłynięcie trasy, która na dodatek jest dość ryzykowna z powodu przebiegania przez strefę wojny. Aby pomóc Ukrainie w wojnie z Rosją, Unia Europejska otworzyła swoje granice dla ukraińskich towarów. Miało to fatalne konsekwencje dla niektórych rynków rolnych.

KRYZYS ZBOŻOWY

W kwietniu rozpętała się polityczna burza w sprawie eksportu ukraińskiego zboża (chodziło głównie o kukurydzę i pszenicę) do Polski, na Słowację, Węgry, do Rumunii i Bułgarii. Okazało się bowiem, że wysyłane tranzytem lądowym zboże, które miało być reeksportowane do pierwotnych odbiorców w Afryce czy na Bliskim Wschodzie, po zaniżonych cenach było sprzedawane w Polsce i w pozostałych krajach regionu. Okazało się przy tym, że jest to tzw. zboże techniczne, które nie nadaje się do spożycia, a mimo to było sprzedawane m.in. do młynów. Polskie władze zareagowały za późno, ale stanowczo, i zamknęły granice dla niektórych produktów rolnych z Ukrainy. Wtedy odezwali się eurokraci, stwierdzając, że polityka handlowa jest domeną Brukseli i Warszawa nie może sobie wprowadzać takich zakazów.

Na początku maja Komisja Europejska przyjęła tymczasowe środki zakazujące importu z Ukrainy pszenicy, kukurydzy, nasion rzepaku i słonecznika.

– Państwo polskie nie poradziło sobie z zalewem polskiego rynku ukraińskim zbożem. Ministerstwo Rolnictwa, które jest w tej kwestii kluczowe, przez ponad rok udawało, że problemu nie ma – mówi poseł Konfederacji Michał Urbaniak, członek sejmowej Komisji Rolnictwa i Rozwoju Wsi. – Konfederacja jako jedyna od samego początku wspierała polskich rolników wszelkimi możliwymi sposobami. W 2022 r. interweniowaliśmy u ministra Kowalczyka,

Wojna zbożowa



Tomasz Cukiernik

W wyniku zerwania przez Rosję umowy zbożowej nad polskim rolnictwem znowu zawisło niebezpieczeństwo nadmiernego importu ukraińskiego zboża

aby złożył wniosek do Komisji Europejskiej o uruchomienie klauzuli ochronnej. Ostatecznie ekipa rządząca wynegocjowała zaledwie zakaz na import czterech produktów rolno-spożywczych, obowiązujący do 15 września, który prawdopodobnie nie zostanie przedłużony.

– Zakaz unijny powstał tylko dlatego, że Polsce udało się zbudować koalicję państw, które razem nie wyrażały zgody na zalewanie poszczególnych rynków – przypomina dr Jarosław Sachajko, poseł Kukiz'15, zastępca przewodniczącego sejmowej Komisji Rolnictwa i Rozwoju Wsi. 5 czerwca zostało wydane rozporządzenie wykonawcze Komisji Europejskiej, którym wprowadzono środki zapobiegawcze dotyczące przywozu do Unii pochodzących z Ukrainy czterech wymienionych produktów rolnych. Potem zakaz przedłużono do 15 września.

Czy te zakazy działają? – Według informacji, które docierają do mnie od rolników, proceder wwozu zboża z Ukrainy nadal trwa – twierdzi poseł Urbaniak. Z kolei zdaniem posła Sachajki ukraińskie zboże nadal przez Polskę

przejeżdżało, ale tranzytem, i już w niej nie zostawało. – Zboże nie zostawało w Polsce, bo był system SENT. Każdy samochód na granicy otrzymywał GPS i musiał dotrzeć do miejsca przeznaczenia. Część zboża docierała do firm, które już wcześniej podpisały umowy – mówi poseł Sachajko.

ZERWANIE UMOWY PRZEZ ROSJĘ

W ciągu ostatniego roku dzięki temu porozumieniu wyeksportowano z Ukrainy ok. 33 mln ton zboża i nasion oleistych. Z jednej strony uratowało to finanse ukraińskich oligarchów z branży rolnej, a z drugiej – dostarczyło żywność krajom Afryki i Bliskiego Wschodu. Jednak już w połowie lipca Rosja wypowiedziała Czarnomorską Inicjatywę Zbożową.

– Porozumienia czarnomorskie faktycznie przestały dziś obowiązywać, część umowy zbożowej dotyczącej Rosji nie została wypełniona – powiedział Dmitrij Pieskow, rzecznik prezydenta Rosji. Jednocześnie Władimir Putin, prezydent Federacji Rosyjskiej, przedstawił

warunki, które muszą zostać spełnione, aby Moskwa powróciła do realizacji umowy zbożowej. Tych warunków jest pięć. Po pierwsze, zniesienie sankcji na eksport rosyjskiej żywności i nawozów. Po drugie, umożliwienie importu do Rosji maszyn rolniczych i części zamien-nych. Po trzecie, przywrócenie dostępu Rosselkhozbanku, obsługującego transakcje produktów rolno-spożywczych, do systemu płatności SWIFT. Po czwar-te, udostępnienie rosyjskim statkom zagranicznych portów. Po piąte wreszcie, przywrócenie działania gazociągu To-gliatti-Odessa, którym Rosja eksportowa-ła amoniak.

Jednocześnie rosyjska armia zbom-bardowała porty w Odessie, Mikołowie i Czarnomorsku, w rezultacie czego ukraińska infrastruktura umożliwiająca eksport została poważnie uszkodzona. Przywrócenie do normalnego funkcyj-nowania tylko portu w Czarnomorsku zajmie co najmniej rok.

Pierwszym skutkiem zerwania przez Rosję Czarnomorskiej Inicjatywy Zbo-żowej i zbombardowania portów jest zwyżka światowych cen zbóż. Jednak ten poziom cen nadal jest nieakceptowalny ekonomicznie z punktu widzenia polskie-go rolnika. – Ta cena może się opłacać dla rolnictwa ukraińskiego, które jest zupeł-nie inne: wielkoobszarowe, na bardzo dobrych glebach i przy niskich kosztach produkcji – tłumaczy dr Sachajko.

UKRAIŃSKIE PLANY AWARYJNE

Oczywiście nadal realizowany jest eksport ukraińskich produktów rolno-spożywczych przez lądowe tzw. korytar-ze solidarnościowe, w tym przez Polskę. Tą drogą wywieziono ponad 45 mln ton zbóż, nasion oleistych i innych produk-tów. Ukraina rozważa natomiast kilka planów awaryjnych, które jednak nie mogą zostać zrealizowane lub przy sprzyjających warunkach mogłyby być jedynie połowicznym rozwiązaniem.

Władze w Kijowie myślą o eskorcie statków ze zbożem przez turecką ma-rynarke wojenną, eksporcie przez port w rumuńskiej Konstancy czy zwiększe-niu wywozu Dunajem. – Pakt pozwolił ukraińskim rolnikom na usunięcie nad-miernych zapasów w 2022 r. i uratował sezon 2023 r., a także dał krajowi czas na zainwestowanie w inne trasy. Koniec

umowy zbożowej z Morzem Czarnym po 17 lipca nie oznacza powrotu do sytuacji z marca 2022 r., kiedy ukraiński eksport zboża spadł prawie do zera – stwierdził w rozmowie z serwisem Politico Michael Magdowicz, starszy analityk rynku towa-rowego w Rabobank.

Czy w takim razie polscy rolnicy nie muszą się obawiać, że po 15 września ukraińskie zboże po tegorocznych zbiorach całkowicie zaleje Polskę? Zdaniem posła Konfederacji Michała Urbaniaka uchylenie unijnego zakazu połączone z napływem płodów rolnych, prze-rzuconych ze szlaku morskiego, może doprowadzić do trwałej destabilizacji polskiego rynku. – Oczywiście zwiększy się presja na Polskę i kraje regionu na to, by te płody rolne z Ukrainy przyjmować. Wiele państw, które importowały zboże z Ukrainy wypracowało sobie nowe kanały handlowe, co widać też na rynkach, które zareagowały spokojnie na decyzje Rosji. Dla Polski najważniejszy powinien być interes polskich rolników, musi-my wykazać się asertywnością wobec presji z Ukrainy – mówi poseł Urbaniak.

– W związku z tym, że umowa została zerwana, a port w Odessie ostrzelany, jestem przekonany, że Polska zostanie zalana artykułami rolno-spożywczymi z Ukrainy, a komisarz Janusz Wojcie-chowski poinformował, że UE (odpowie-dzialna za umowę liberalizującą handel z Ukrainą) nie zamierza pomóc w tran-zycie. Polska nie jest przygotowana na tak duży transport z Ukrainy i nie mamy informacji, jakie kroki zamierza podjąć rząd. Zaznaczam, że otwarciem się na taki tranzyt nie pomagamy zwykłemu ukraińskiemu rolnikowi, ale wielkim międzynarodowym agroholdingom z glo-balnym kapitałem, których interes został zagrożony. Chcąc uchronić polskich rolni-ków, Polska powinna zamknąć granice na ten tranzyt – podkreśla.

TWARDE STANOWISKO RZĄDU

Polskie władze zapewniają jednak, że rolnicy nie mają się czego obawiać. Premier Mateusz Morawiecki zapo-wiadał, że jeżeli Unia Europejska nie przedłuży zakazu importu zbóż z Ukrainy po 15 września, to zostanie on

FOT. ADAM STOK





33 mln ton

TYLE ZBOŻA WYEKSPORTOWANO Z UKRAINY
W 2022 R. DZIĘKI POROZUMIENIU Z ROSJĄ

wprowadzony jednostronnie. – Chcę wyraźnie powiedzieć tutaj z Ministerstwa Rolnictwa Rzeczypospolitej Polskiej: nie otworzymy tej granicy. Albo Komisja Europejska zgodzi się na wypracowanie wspólnie regulacji, które przedłużą ten zakaz, albo zrobimy to sami – powiedział jednoznacznie premier. Jednak czy po tych wszystkich sytuacjach, kiedy rząd wycofywał się ze swoich obietnic, a nawet decyzji, które weszły w życie, można jeszcze wierzyć w nowe? Tym bardziej że w zakresie handlu międzynarodowego oddaliśmy kompetencje Brukseli.

Do gmachu resortu rolnictwa minister rolnictwa Robert Telus zaprosił swoich odpowiedników ze Słowacji, z Węgier, Rumunii i Bułgarii. Pięć krajów przygotowało i podpisało wspólne stanowisko dotyczące przedłużenia przez Unię przynajmniej do końca roku zakazu wwozu czterech zbóż.

Takiemu podejściu ostro sprzeciwiają się władze Ukrainy, które już zapowiedziały podjęcie działań odwetowych. „W tym krytycznym czasie Polska zamierza nadal blokować eksport zboża UA

do UE. To nieprzyjazne i populistyczne posunięcie, które poważnie wpłynie na globalne bezpieczeństwo żywnościowe i gospodarkę Ukrainy” – napisał na Twitterze premier Ukrainy Denys Szmyhal, domagając się interwencji Komisji Europejskiej. Poseł Konfederacji Stanisław Tyszcza skomentował, że „to jest prosta konsekwencja naiwności PiS w stosunkach z Ukrainą. Rząd PiS od początku wojny przekazywał gigantyczną pomoc, nie oczekując nic w zamian, i wychował takiego właśnie partnera. To bardzo źle wróży na przyszłość, bo np. w rolnictwie mamy z Ukrainą sprzeczne interesy”.

Zresztą Ukraina już nie jest lojalnym partnerem. 1 lipca jednostronnie przywróciła poprzednio obowiązujące, a zawieszone po wybuchu wojny cła na wszystkie towary z Unii Europejskiej, czyli również z Polski. Jakby tego było mało, władze w Kijowie, wykorzystując pojawienie się zjawiska rzekomego pomoru drobiu w Polsce, podjęły decyzję o zablokowaniu importu jaj wylęgowych oraz żywych ptaków. Procedury w takim przypadku powinny obejmować zakaz

eksportu z danego powiatu, a strona ukraińska wstrzymała przywóz z całego kraju. – Ukraina nałożyła embargo na produkty drobiowe i żywe kurczęta z Polski, argumentując to mało wiarygodnie – podkreśla poseł Urbaniak.

Takie twarde stanowisko strony polskiej może wywołać kolejny konflikt z Komisją Europejską. – To stanowisko jest do utrzymania i powinno być utrzymane do wyborów, ponieważ w mojej subiektywnej ocenie to jest próba wpłynięcia na wynik wyborów w Polsce. Niestety, Komisja Europejska wychodzi poza swoje kompetencje i zakładam, że po wyborach nastąpi jakiś rozsądek po drugiej stronie. Na razie musimy postępować tak, jak KE podaje karty, czyli jesteśmy przy stoliku z szulerami i musimy grać ostro – mówi poseł Sachajko, który uważa, że unijny rząd nie będzie chciał przedłużyć zakazu, ale być może to jasne stanowisko po spotkaniu ministrów rolnictwa pięciu krajów jako Komisję otrzeźwi. – Z drugiej strony wybory w Polsce są dla nich kluczowe, bo chcą tu widzieć bardziej spolegliwy rząd i mogą iść na konfrontację – dodaje.

– Unia Europejska w ogóle nie działała w interesie Polski, tylko w interesie międzynarodowych agroholdingów. Stąd otwarcie rynków unijnych na produkty z Ukrainy, które nie muszą spełniać tych samych wyśrubowanych norm jakościowych. Również inne branże rolno-spożywcze, w tym branża spirytusowa, drobiowa, owoców miękkich, są dotknięte konsekwencjami nieuczciwej konkurencji z Ukrainy – podkreśla poseł Urbaniak.

Tymczasem w grze może pojawić się jeszcze jeden przeciwnik decyzji podejmowanych przez polski rząd. I to dość niespodziewany. W artykule opublikowanym w serwisie wPolityce.pl Marek Budzisz, publicysta, ekspert ds. Rosji i post-sowieckiego Wschodu, zasugerował, że to, co robi polska strona wraz z czterema innymi krajami naszego regionu, może się nie spodobać administracji USA, która może naciskać w tej sprawie, „ponieważ zablokowanie eksportu ukraińskiego zboża to de facto olbrzymie osłabienie Ukrainy walczącej z Rosją. A USA nie chcą, by Ukraina przegrała tę wojnę – a już na pewno, by Rosja ją wygrała”.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Podobnie jak kilkadziesiąt podobnych pożarów wcześniej, i jak inne bulwersujące zdarzenia, sprawa pozostanie przez kilka dni obiektem oburzenia, które rychło przekierowane zostanie przez media na jakiś inny obiekt. Być może tym razem potrwa to nieco dłużej, zważywszy na to, że trwa kampania wyborcza i przerywanie się wzajemnymi oskarżeniami, kto „zasmradza Polskę”, za których rządów śmieci wjeżdżały bez przeszkód, a za których też wjeżdżają, oraz zapewnienia, że to my, a nie wy, wypowiedzieliśmy mafii śmieciowej wojnę, mogą PR-owcy uznać za dobry sposób generowania emocji. Jednak trudno wierzyć, że cokolwiek to na dłuższą metę zmieni.

DZIAŁANIA POZOROWANE

Wykorzystajmy jednak moment, by, abstrahując od tego konkretnego przypadku, wyjaśnić, dlaczego walka kolejnych polskich rządów z mafiami śmieciowymi nic nie dała i nic dać nie mogła, nawet jeśli założyć, że były one szczerze zdeterminowane, aby powstrzymać czynienie z Polski niemieckiego (głównie – śmieci płyną do nas z wielu krajów, niekiedy bardzo odległych) wysypiska. Wbrew stereotypowi, który zawsze każe Polakom szukać winy w sobie i we własnym państwie, tym razem istotą problemu nie jest to, że „państwo polskie istnieje tylko teoretycznie”, choć, oczywiście, nasza strukturalna słabość i niemożność potęgują kłopoty. Jednak prawdziwym winnym jest polityka unijna – i niewiele będzie przesady w stwierdzeniu, że centralą mafii śmieciowych, a już na pewno ich sponsorem, jest Unia Europejska.

Polityka unijna z kolei, jak w wielu innych sprawach, podyktowana jest interesami wielkich koncernów, które są głównym globalnym producentem odpadów i nie chcą słyszeć o żadnych działaniach mogących umniejszyć ich zyski czy bodaj tylko komplikować im działalność. Nie ma nic prostszego i korzystniejszego dla producenta niż opakowania jednorazowe. Plastik, wszelkiego rodzaju folie, są po prostu tanie, podobnie jak wyrzucanie ich po użyciu.

Skoro problem istnieje i istnieje społeczny nacisk, by coś z nim zrobić, a nie można naruszyć interesów koncernów – ktoś przecież musi sponsorować

Wielka śmieciowa obłuda



Rafał A. Ziemkiewicz

Nie łudźmy się, że pożar nielegalnego składowiska odpadów w Przylepie w Zielonogórskim, wskutek którego do atmosfery poszło kilka ton trucizn, przyczyni się do rozwiązania problemu kilkuset podobnych składowisk rozrzuconych po Polsce



Lipcowa akcja gaszenia pożaru hali, w której składowane były substancje niebezpieczne w zielonogórskim Przylepie. FOT. LECH MUSZYŃSKI/PAP

kampanie wyborcze polityków, partie, propagandę urabiającą demokratyczne społeczeństwa – trzeba obmyślić sposób pozorowania działań. Urzędnicy i politycy unijni wypracowali w tej kwestii wiele rozwiązań, które wszystkie są zastosowaniami jednego, prostego chwytu: po pierwsze, wskaż źródło problemu nie tam, gdzie ono rzeczywiście jest, tylko gdzie indziej, i tam wielkimi, kosztownymi kampaniami kieruj uwagę i emocje społeczne.

Tak jest np. z imigracją: rozwiązaniem problemu imigracyjnego byłoby niewpuszczanie imigrantów. Ponieważ jednak tego eurokracja nie chce, czego dowodem żałosny stan Fronteksu i wręcz zakaz powstrzymywania napływu „uchodźców” na granicach, skupia się na wymuszaniu „relokacji”, równego (w teorii) obciążania skutkami napływu wszystkich krajów. Przy całkowitej pogardzie dla zdrowego rozsądku, który podpowiada, że choćby nawet relokowano nie wiedzieć jak sprawnie i sprawiedliwie, dopóty, dopóki granice są rozgrodzone, a potencjalnych migrantów dziesiątki milionów, nie prowadzi to do niczego.

W wypadku śmieci źródłem problemu jest ich wytwarzanie, i to w iście gargantuicznych ilościach – z roku na rok więcej i więcej. Gdyby ktoś chciał naprawdę „ratować planetę” przed zalewem odpadów, skupiono by się na zniechęcaniu producentów do szafowania jednorazowymi opakowaniami i nadużywania materiałów wygodnych i tanich, ale nadających się po użyciu tylko do wyrzucenia. Jeśli ktoś nie wierzy, że istnieją tutaj znaczne możliwości, to polecam wywiad Grzegorza Sroczyńskiego z Michałem Pacą, dostępny na gazeta.pl i w dużym stopniu poświęcony przykładom tego, co można i powinno się w tej kwestii robić.

FIKcja „RECYKLINGU”

Tego właśnie jednak producenci nie chcą. Stworzono więc i kosztem ogromnych starań wtłoczono do głów fikcję „recyklingu”, a następnie skupiono uwagę na kwestii „segregowania” śmieci i ich przygotowywania do rzekomego ponownego wykorzystania. Jest to podobny mechanizm, jak „walka” z globalnym ociepleniem, w której zamiast skupiać się na zmniejszaniu emisji – co jest możliwe tylko dzięki rozwijaniu energetyki jądrowej – wytworzono ogromny nacisk

na promowanie nowych technologii, niszczących środowisko i powodujących zwiększanie globalnej emisji CO₂ w stopniu znacznie większym niż spalanie paliw kopalnych.

Otóż recykling na masową skalę jest niemożliwy, a sortowanie odpadów nie ma sensu. „Plastik do plastiku, metal do metalu”... Bzdura – tylko dla laika istnieje „plastik” czy „folia metalowa”. Z fachowego punktu widzenia ten np. „plastik” to kilkadziesiąt zupełnie różnych substancji chemicznych, każda o odmiennych właściwościach. Nawet gdyby cała Europa, przejęta kampaniami propagandowymi o zaśmieconych oceanach, pracowicie poukładała wszystkie zużyte plastiki osobno, to i tak, choćby tylko z tego jednego powodu, nie można ich razem przetwarzać. Nawet gdyby w ogóle można je było przetwarzać.

A nie można – z tej samej przyczyny, dla której nie można zbudować perpetuum mobile. Nie da się z zużytej butelki wyprodukować drugiej takiej samej, nowej ani z zużytej folii – nowej identycznej folii. Dlatego w oficjalnych definicjach „recyklingu” uznano za takowy proces przetwarzania odpadów w „coś”. To oczywiście da się zrobić i to właśnie robią koncerny, wykorzystując „przetwarzalne” odpady do produkcji różnych mniej lub bardziej przydatnych gadżetów i zgłaszając się do stosownych organów po premie za wzorowy, zgodny z dyrektywami procent „recyklingu”. Tak jak w wielu innych sprawach UE idzie tu po śladach państw „realnego socjalizmu”. Moje pokolenie pamięta jeszcze z dzieciństwa gierkowskie „zagospodarowywanie surowców wtórnych” poprzez np. ogradzanie skwerów i klombów pomalowanymi farbą olejną zużytymi oponami czy przetwarzanie na szkolnych zajęciach „wychowania technicznego” butelek po oleju silnikowym na śliczne i praktyczne koszyczki, które miały zdobić nasze socjalistyczne mieszkania (mojego nie ozdobiły, bo mama od razu wzięła paskudztwo w dwa palce i spuściła do kosza – mam dziwną pewność, że tak samo jak mamy kolegów i koleżanek).

Jeśli nawet z przetwarzania odpadów uda się uzyskać coś użytecznego – co w takim razie zaraz ponownie stanie się odpadem – to jest to nic w skali produkcji śmieci, która, proszę zerknąć w statystyki,

rośnie z roku na rok niepowstrzymanie. Jakże zresztą może nie rosnąć, skoro, pomijając już żądzę zysku producentów, wymuszają to kolejne unijne dyrektywy? Trudno o lepszy symbol monstrualnego, biurokratycznego nonsensu Unii Europejskiej niż jej „walka” z plastikiem, polegająca na zakazywaniu plastikowych słomek do napojów i jednorazowych widelczyków, przy jednoczesnym nakazywaniu pod wysokimi karami owijania każdego produktu tonami folii – nawet owych „ekologicznych”, papierowych rurek czy drewnianych widelczyków. Zaopatrywałem się kiedyś w sklepiku przy masarni i nawet tam każda wędlina, choć wyprodukowana została kilkaset metrów obok, musiała być zgodnie z unijnymi normami pozawijana przed dostarczeniem do sklepu (formalnie znajdującego się na innej posesji) w plastik, który chwilę potem lądował na śmietniku.

Skoro wspominałem o owych nieszczęsnych, groteskowych „ekologicznych” słomkach i widelczykach, to odnotujmy też drugą ślepą uliczkę „rozwiązywania” problemu odpadów: „biodegradowalność”. Trudno uznać za troskę o środowisko niszczenie drzewostanów (oczywiście nie w Europie – importuje się na ten cel drewno i papier z biednych krajów), żeby przerabiać je na jednorazowe sztuczce; na szczęście ceny drewna czy włókien roślinnych, jak również ich właściwości mechaniczne, sprawiają, że skala tego „eko” jest znikoma i ogranicza się do zaspokajania potrzeb emocjonalnych przejętych eko-propagandą modnisiów. Przyczyniło się to do kompletnego pozbawienia sensu słowa „ekologia” i przyrostka „eko” – co jest zrobione z drewna, jest eko, bo nie jest z plastiku, co jest z plastiku, jest eko, bo do produkcji nie wycięto drzewa; jeśli „ekologicznym” można nazwać sztuczne futro, uwalniające w produkcji rekordowe ilości trucizn i całkowicie nieprzetwarzalne ani nierozkładalne, a mianem „ekolog”, przysługującym naukowcom, nazywać świra przykuwającego się do drzew, to znaczy, że sukces propagandowego i popkulturowego robienia mieszkańcom Zachodu wody z mózgu w kwestii środowiska przekroczył wszelkie granice, co oczywiście jest jak najbardziej w interesie dyrygentów „recyklingowego” interesu.

Pierwszym wskazaniem unijnej polityki pozorowania, że rozwiązuje się problem, jest wskazanie innej niż rzeczywista przyczyny i skupienie się na niej – ale to tylko połowa eurokratycznego (jak również, żeby nie być niesprawiedliwym, „oenzetowskiego” i właściwego wielu innym organizacjom międzynarodowym) „modus operandi”. Istota sprawy we wskazaniu takich przyczyn problemu, na których „likwidowaniu” można zarobić fortuny. Podobnie jak „walka z globalnym ociepleniem” poprzez promowanie „odnawialnych źródeł energii” czy elektrycznych samochodów, także „recykling” stwarza ogromne ilości – mówiąc językiem ekonomii marksistowskiej – „wartości dodatkowej” do przechwylenia. I tym właśnie zajmują się mafie śmieciowe.

Nie byłoby ich, gdyby nie miliardy euro przekazywane na „recykling” przez sto-

Polscy gangusi są niewiele drożsi od afrykańskich czy azjatyckich

sowne agendy unijne i rządy. Miliardy, na których wyrosły najpierw mafie lokalne, upychające odpady w różnych zakątkach własnego kraju (w książce „Gomorra” Roberto Saviano dokładnie opisał, jak ten „recykling” na skalę Włoch stworzył potęgę camorry), a później wielkie, globalne mafie odbierające góry odpadów z krajów rozwiniętych i... I nie pytajcie, co robiące z tymi odpadami dalej. W każdym razie dysponenci funduszy na „ratowanie planety” wiedzą, że o to pytać nie należy. Ważne, że śmieci znikają.

Faktu, że potem pojawiają się w oceanach, stopniowo tworząc tam siódmy, śmieciowy kontynent, i że w 90 proc. dostają się tam z siedmiu rzek afrykańskich i azjatyckich, które bynajmniej nie przepływają przez tereny zdolne wytworzyć takie ilości odpadów, nikt z niczym nie kojarzy. „Nasze” śmieci zniknęły, na wszystko są papiery, proszę bardzo – odpady i dotacje wzięła firma A, która zleciła firmie B czy C, ta kolejnej i tak dalej, aż do firmy X gdzieś w Indiach,

Pakistanie czy Bangladeszu, która może przedstawić wszelkie zaświadczenia, że wszystko to zostało przetworzone. Po co drażnić temat – zresztą „pan wiesz, a ja się domyślał”.

Po pandemii COVID karierę w ekonomicznym dyskursie robi pojęcie „near-shoring” – chodzi o „skracanie łańcuchów dostaw”, zastępowanie Chin i innych krajów odległych, biednych i tanich, partnerami bliższymi. Polska stała się miejscem swoistego, śmieciowego „near-shoringu” na wiele lat przed wymysleniem tego słowa. Zamiast wywozić hałdy śmieci, a szczególnie beczki odpadów toksycznych, szczególnie kłopotliwych, gdzieś daleko – łatwiej i taniej zrzucić je w bratniej Polsce. Miejscowi gangusi są niewiele drożsi od afrykańskich czy azjatyckich, a stopień bezkarności niewiele mniejszy – kiedy już nawet trzeba zapchanie składowisko „przypadkowo” spalić, żeby uwolnić miejsce pod kolejną dostawę, grzywny są symboliczne, biurokracja państwowa i samorządowa na tyle niesprawna i nieodporna na korupcję, że proste triki z bankrutowaniem spółek i zakładaniem kolejnych praktycznie wystarczają, a – co najważniejsze – Polska jest w UE. To znaczy, że po pierwsze, musi wypełniać europejskie dyrektywy dotyczące „recyklingu”, a po drugie, wytwarzając w porównaniu z zachodnimi członkami Unii wciąż jeszcze stosunkowo niewiele śmieci, ma znaczne „luzy” w różnych normach, które można zapełnić zachodnim importem.

Oczywiście państwo polskie powinno... Wszyscy to wiemy i może nawet zdążyć się, że jego sprawność w zwalczaniu śmieciowego procederu uda się zwiększyć. Jednak miejmy świadomość, że mamy do czynienia ze zjawiskiem podobnym do handlu narkotykami: „przebiecia” są w tym biznesie tak ogromne, że nawet wysokie prawdopodobieństwo schwymania i poniesienia kary, nawet surowej, nie odstrasza (a z surowością kar też UE walczy, chyba że za „zstępstwa z nienawiści”). I dopóki trwa obłudna fikcja masowego recyklingu, dopóty to się nie zmieni. Jedynym skutecznym sposobem byłoby po prostu zamknięcie granic dla sprowadzanych do „przetworzenia” odpadów. A to nie jest możliwe dopóty, dopóki jesteśmy posłusznym członkiem wspólnoty europejskiej.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

RYSZARD GROMADZKI: Kilka dni temu ogłosiła pani, że ostatecznie opuszcza szeregi Zjednoczonej Prawicy i przechodzi do Konfederacji. Pani drogi z ugrupowaniem prezesa Kaczyńskiego rozchodziły się od dłuższego czasu. Jednak czy zaszło coś, co przepełniło czarę goryczy?

ANNA MARIA SIARKOWSKA: To nie było spowodowane jakimś nagłym zdarzeniem. Moja ocena koncepcji Zjednoczonej Prawicy, przede wszystkim polityki prowadzonej przez partię Prawo i Sprawiedliwość, od dłuższego czasu była bardzo sceptyczna. Wszystko zaczęło się w 2020 r., kiedy rząd premiera Morawieckiego wprowadzał restrykcje związane z przeciwdziałaniem pandemii, które zamknęły polską gospodarkę, szkoły i przedszkola, wprowadziły konieczność nauczania zdalnego naszych dzieci, a przede wszystkim dezorganizowały naszą służbę zdrowia, pozbawiając wielu ludzi możliwości skorzystania z opieki zdrowotnej.

Co doprowadziło dziesiątki tysięcy z nich do przedwczesnej śmierci...

Tak. Mieliśmy z tego powodu w Polsce ok. 200 tys. nadmiarowych zgonów. Jeśli dokładnie prześledzimy statystyki z tamtego okresu, to widać, że śmiertelność w domach zwiększyła się o kilkadziesiąt procent. Ludzie nie umierali w szpitalach, tylko w domach. To był czas, kiedy protestowałam przeciw tej polityce. Sprzeciwiałam się także próbie wprowadzania przepisów, które miały uzależnić korzystanie przez obywateli z ich konstytucyjnie gwarantowanych, wręcz przyrodzonych praw i wolności obywatelskich, od spełnienia wymogu, którym miało być przyjęcie szczepienia przeciw COVID-19. Te przepisy udało się zablokować, budując na tyle mocny sprzeciw w samym klubie PiS, że ostatecznie żadna z tych regulacji nie została wprowadzona w życie. Myślę, że moja działalność w tamtym okresie była bardzo potrzebna, choć nie było to łatwe.

Jeśli chodzi o sprzeciw wobec sanitaryzmu, to można powiedzieć, że była pani jedyną sprawiedliwą w sejmowym klubie Prawa i Sprawiedliwości... Za swoją postawę zapłaciła pani polityczną cenę...

Na początku zostałam odcięta od mediów.

Ta „kwarantanna” nie dotyczyła tygodnika „Do Rzeczy”...

To prawda. Państwa tygodnik nigdy nie wprowadzał cenzury i zawsze stawał na wysokości zadania. Zostałam odsunięta od mediów, ale dla mnie najważniejsze było to, że te krzywdzące i niesprawiedliwe przepisy udało się zatrzymać. Cieszę się też, że tacy posłowie Prawa i Sprawiedliwości, jak Teresa Hałas, Marysia Kurowska, Sławek Zawisłak, Janusz Kowalski i inni zdecydowali się bardzo

prawkę, która pozwalała także zamrozić majątek obywateli polskich, jeśli zostali wpisani na listę osób zagrażających bezpieczeństwu narodowemu. A znaleźć się na tej liście można było nie tylko poprzez wskazanie szefów różnych służb, lecz także poprzez wskazanie przez wicepremiera do spraw bezpieczeństwa, a więc wskazanie strictly polityczne. Rozeznałam sytuację i doszłam do wniosku, że są



Z poseł Anną Marią Siarkowską, kandydatką Konfederacji w wyborach do Sejmu rozmawia Ryszard Gromadzki

Chcemy wygrać te wybory

mocno wesprzeć te działania. Dzięki ich postawie zablokowanie tych złych przepisów stało się możliwe. Chcę podkreślić, że w tym obszarze współdziałałam też z posłami Konfederacji. Przypomnę, że to właśnie oni napisali projekt ustawy „Stop segregacji sanitarnej”. Uzbierałam im wówczas brakujące podpisy wśród posłów klubu Prawa i Sprawiedliwości, dzięki czemu Konfederacja mogła złożyć projekt tej ustawy. Jak widać, proces rosnącego sceptycyzmu wobec polityki PiS był mocno rozłożony w czasie. Z kolei już po okresie tzw. pandemii były próby wprowadzenia innych krzywdzących przepisów. Sprzeciwiałam się próbie mrożenia majątków obywateli polskich bez wyroku sądu. Przypomnę, że nominalnie celem tej ustawy była pomoc Ukrainie poprzez zamrożenie majątków rosyjskich oligarchów, jednak kiedy ustawa miała zostać już procedowana, w ostatniej chwili wprowadzono do niej autopo-

to identyczne przepisy jak te, które zastosował w Kanadzie premier Trudeau.

Mówi pani o spacyfikowaniu gigantycznego protestu kierowców ciężarówek, którzy sprzeciwili się zamordyzmowi sanitarnemu wprowadzonemu w Kanadzie przez rząd Trudeau.

Dokładnie tak. Ten największy w historii Kanady protest obywatelski 100 tys. kierowców ciężarówek, którzy blokowali ulice Ottawy, został spacyfikowany przez rząd poprzez wpisanie jego uczestników na listę terrorystów, którzy zagrażają bezpieczeństwu narodowemu. W efekcie zamrożono ich konta firmowe i prywatne, anulowano ubezpieczenia samochodów. Analogiczne przepisy próbowano implementować u nas. W mojej ocenie te działania były nie tylko niezgodne z konstytucją, lecz także skrajnie niedemokratyczne. Uważam, że żadne praworządne państwo nie powinno wprowadzać takich przepisów. Tego

rodzaju decyzje powinny być wydane przez sąd, a nie uznaniowo przez polityków. Te działania prezes Kaczyński bardzo mocno zapamiętał.

Zresztą nie tylko te. Było kilka innych głosowań, np. to związane z bezkarnością urzędniczą, którą też próbowano wprowadzić. Przypomnę, że chodziło o to, żeby urzędnik łamiący prawo mógł się powołać na wyższą konieczność związaną z sytuacją kryzysową w Polsce, np. na obszarze zdrowia publicznego, lub też na to, że w państwie sąsiednim toczy się wojna, aby nie można było go w żaden sposób pociągnąć do odpowiedzialności za złamanie prawa. Te przepisy dzięki m.in. mojemu głosowi upadły, kiedy projekt wrócił z Senatu. Senatorowie wykreślili z niego szkodliwe przepisy, ale PiS próbował je przywrócić. Prawo i Sprawiedliwość przegrało to głosowanie jednym głosem. Wiem, że prezes Kaczyński był mocno niezadowolony z takiego obrotu sytuacji. Ale nie miałam wątpliwości, co należy robić. Podejmując decyzję w sprawach ważnych i słusznych,

**Panu prezesowi Kaczyńskiemu
zwyczajnie puszczają nerwy.
Do tej pory próbował
ignorować Konfederację,
a teraz już wie, że nie może
tego nadal robić**

nie kalkuluję, czy znajdę się na listach wyborczych czy nie. Uważam, że wyborcy wybrali mnie po to, żebym skutecznie występowała w ich interesie i skutecznie broniła ich praw i wolności. To starałam się w Sejmie robić.

W międzyczasie na pani politycznej drodze był jeszcze przystanek Suwerenna Polska. Kiedy rozmawialiśmy kilka miesięcy temu, wydawało mi się, że znalazła pani wspólny język z tym środowiskiem.

Na pewno łączy nas wspólnota wartości, ale poróżnił nas wybór strategii politycznej.

Ma pani na myśli zakotwiczenie Suwerennej Polski na pokładzie Zjednoczonej Prawicy dykto-

wane zapewne interesem wyborczym i związane z tym wyciszenie krytyki premiera i PiS ze strony ugrupowania wicepremiera Ziobry?

Kiedy wstępowałam do Suwerennej Polski, bardzo mocno artykułowana była przez to środowisko krytyka polityki premiera Morawieckiego wobec Unii Europejskiej. Polityki uległej w stosunku do oczekiwań Brukseli. Polityki, która prowadzi do tego, żeby z Unii Europejskiej uczynić jedno państwo poprzez zrzekanie się kolejnych elementów naszej suwerenności. Mam na myśli koncesje na rzecz Unii, na które zgodził się premier Morawiecki w zamian za odblokowanie środków w ramach Krajowego Planu Odbudowy. Ten aspekt był bardzo mocno artykułowany przez ministra Zbigniewa Ziobrę i całe środowisko Suwerennej Polski. Na kanwie krytyki premiera wobec Unii mówiło się głośno o tym, że Suwerenna Polska poważnie bierze pod uwagę opcję wystawienia własnych list wyborczych.

Nic takiego się nie stało. Suwerenna Polska podporządkowała się silniejszemu partnerowi.

Tak, zrezygnowano z próby budowy niezależnej siły politycznej, stawiając na to, by nadal próbować blokować złe pomysły od środka. Jednak w moim przekonaniu strategia Zjednoczonej Prawicy się wypaliła. Nie ma już racji bytu. Prawo i Sprawiedliwość jest partią bezideową, która posługując się pravicowymi hasłami, realizuje politykę niemającą z nimi nic wspólnego. Jednocześnie w obszarze relacji z UE wręcz tożsamą z tym, co robiła Platforma Obywatelska, choć opakowaną w patriotyczne hasła. Dlatego uważam, że należy wesprzeć takie siły polityczne, które będą skutecznie hamować błędną politykę PiS wobec Unii Europejskiej – i nie tylko.

Konfederacja ma taką sprawczość?

Jestem przekonana, że po tych wyborach ją otrzyma. O ile jeszcze kilka lat temu notowania Konfederacji były niskie, o tyle dziś widać, że ta formacja potrafi sobie zaskarbić zaufanie ze strony wyborców. I rzeczywiście jest w stanie wywrócić ten postmagdalenkowy stół. Chcę podkreślić, że głosując inaczej, niż nakazywały to czynić rekomendacje klubu Prawa i Sprawiedliwości, do którego należałam, liczyłam się z tym, że nie znajdę się na listach PiS i w kolejnej kadencji

FOT. RADEK/PETRUSKA/PAP

nie będę posłem. Kiedy takie informacje przedostały się do mediów, Krzysztof Bosak, którego znam już od ponad 20 lat, po konsultacji ze środowiskiem Ruchu Narodowego zaproponował mi start w najbliższych wyborach w moim okręgu z listy Konfederacji. Po rozważeniu przyjąłam tę ofertę. O nic nie prosiłam, ale skorzystałam z tej wyciągniętej ręki i życzliwości, którą okazało mi całe środowisko Ruchu Narodowego. Wywodzę się zresztą z tego środowiska, z Młodzieży Wszechpolskiej.

Pani historia polityczna zatoczyła koło...

Tak. Pewnie dlatego dostałam od znajomych SMS-y: „Witaj w domu” (śmiech).

Jak pani reaguje na wzmożony ostrzał polityczny Konfederacji zarówno ze strony PiS, jak i PO? Występując na jednym z wieców wyborczych na Podlasiu, Jarosław Kaczyński, odnosząc się do programu Konfederacji, powiedział, że pani obecna partia doprowadzi Polaków do nędzy. Czy to, że Konfederacja stała się celem ostrych ataków ze



strony największych partii polskiej sceny politycznej, może świadczyć o tym, iż liderzy PiS i PO też widzą w niej potencjał, który może doprowadzić do wywrócenia owego postmagdalenkowego stolika, jak to pani określiła?

Widać, że panu prezesowi Kaczyńskiemu zwyczajnie puszcza nerwy. Do tej pory próbował ignorować Konfederację, a teraz już wie, że nie może tego nadal robić. Dlatego przystąpił do ataku. Będziemy spokojnie robić swoje. Konfederacja jest ugrupowaniem, które w zasadzie jako jedyne ma merytoryczny program. Z tym merytorycznym programem próbuje dotrzeć do Polaków – i to jej się udaje. Od takich merytorycznych programów odstąpiły zarówno PiS, jak i PO. Dziś polska polityka wygląda zupełnie inaczej niż jeszcze 20 lat temu, kiedy spór, który się wówczas toczył, oparty był na argumentach merytorycznych. Teraz spór pomiędzy PiS a PO sprowadza się do tego, kto znajdzie silniejsze inwektywy i skuteczniej obrazi przeciwnika. To jałowy spór, który de facto prowadzi

do destabilizacji wewnętrznej. Spór dotyczący programu wyborczego pomiędzy dwoma największymi ugrupowaniami politycznymi w zasadzie nie istnieje. W przeciwieństwie do nich Konfederacja prezentuje Polakom poważną ofertę polityczną.

Czy ta oferta nie jest skrojona przede wszystkim pod młody, krytyczny wobec rozdętego socjału elektorat? Liderzy Konfederacji na każdym kroku podkreślają, że wraz z nimi w polskiej polityce „idzie młodość”...

To zdecydowanie program dla wszystkich Polaków, a nie tylko jakiejś określonej grupy. To stereotyp. Przekonałam się o tym osobiście, rozmawiając ze starszymi paniami z Mińska Mazowieckiego, które, jak przyznały, głosowały na mnie w poprzednich wyborach, gdy startowałam z list Prawa i Sprawiedliwości. Teraz, kiedy się dowiedziały, że przeszłam do Konfederacji, powiedziały mi, że bardzo się ucieszyły, bo gdybym startowała z list PiS, nie zagłosowałyby

już na mnie. Tak więc starsze osoby widzą, co się dzieje, i potrafią trafnie ocenić rzeczywistość. Nie da się ich kupić kolejnym socjałem, bo dostrzegają, że niejednokrotnie Prawo i Sprawiedliwość jedno mówi, a drugie robi. Na kontynuację takiej polityki nie możemy na prawicy pozwolić.

Jeśli obecne sondaże potwierdzą się w październikowych wyborach, to Konfederacja stanie się kluczową siłą polityczną. Dziś same Konfederacja, PiS i Platforma na wyścigi odzęgują się od jakichkolwiek koalicji. Jednak po wyborach przyjdzie pewnie, jak zawsze, czas na politykę transakcyjną i lody, które dziś wydają się nie do skruszenia, mogą zacząć pękać...

Konfederacja nie zamierza wchodzić w żadne koalicje, czy to z Platformą czy z PiS. Chcemy wygrać te wybory. Dziś mówimy o 15 proc. poparcia, ale za chwilę może to być 20 proc. A jeśli przekroczymy 20 proc., to wszystko stanie się możliwe.



Wielka wojna

prof. Traby o „szubienice”

Pomnik Wyzwolenia Ziemi Warmińsko-Mazurskiej w Olsztynie, zwany przez mieszkańców miasta szubienicami, ogrodzony jest siatką. Prezydent miasta zaakceptował postulat demontażu pomnika, przy którym w epoce PRL w serwilistyczny sposób wysławiano Armię Czerwoną. Jednak szubienice znalazły swoich obrońców. Na ich czele stanął prof. Robert Traba, były szef Centrum Badań Historycznych PAN w Berlinie. Na jednej z pikiet zgromadził ok. 30 osób z transparentami: „Projekt dla pokoju”, „Historia tak”, „Nienawiść nie”, „Ideologizacja nie”. Demonstranci żądali wstrzymania demontażu, zachowania pomnika i zamienienia go w Centrum



Piotr Semka

Spór o olsztyńskie szubienice trudno odróżnić od wielu innych konfliktów, w których liberalne elity chcą zachować dominację w dziedzinie kształtowania polityki historycznej

Dialogu Historycznego. Zbierane są podpisy w obronie monumentu.

NIESŁAWNE LOSY POMNIKA WYZWOLENIA

Monument sławiący Armię Czerwoną odsłonięto w Olsztynie w 1954 r. Inicjatorem i zleceniodawcą pomnika był sam

Mieczysław Moczar, wówczas wojewoda olsztyński. Oficjalnie jednak cała akcja na rzecz pomnika była pilotowana przez Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, które nawet urządziło zbiórkę na sfinansowanie inicjatywy. Projekt pomnika wykonał Xawery Dunikowski, znany rzeźbiarz i były więzień obozu



Szubienice znalazły swoich obrońców. Na ich czele stanął prof. Robert Traba, były szef Centrum Badań Historycznych PAN w Berlinie. FOT. TOMASZ KURS/GAZETA WYBORCZA

Kształt pomnika w postaci dwóch pylonów olsztyńska ulica od pierwszych lat jego istnienia nazwała szyderczo szubienicami. Była w tym określeniu pamięć o zbrodniach Armii Czerwonej na terenach zajętych w latach 1944 i 1945 i mordowaniu żołnierzy AK, a potem Żołnierzy Wyklętych. Jak wynika z akcji Służby Bezpieczeństwa, w latach 60. XX w. miała miejsce próba zniszczenia pomnika, która jednak nie zakończyła się sukcesem. Sprawców nigdy nie odnaleziono.

Wydawało się, że po 1989 r. pomnik szybko zniknie z centrum Olsztyna, ale w stolicy Warmii i Mazur w latach 90. silne były SLD, PSL i Unia Wolności, które to ugrupowania za dekomunizacją miejsc symboli specjalnie nie tęskniły. Tylko dwóch polityków prawicy – Tomasz Głazewski i Jerzy Szmit – wraz z organizacjami kombatanckimi, sybirakami i Związkiem Więźniów Politycznych okresu stalinowskiego walczyli o usunięcie symbolu dawnej epoki. W 1993 r., gdy postkomuniści wrócili do władzy, pomnik wpisano nawet do rejestru zabytków, a w 2010 r., pod wpływem tendencji, które obecnie dobrze dokumentuje serial „Reset”, rada miasta zleciła nawet wyczyszczenie i renowację pomnika.

W 2018 r. środowiska kombatanckie zgodziły się na kompromis. Przed pomnikiem miały stanąć tablice, które wyjaśniałyby kontekst powstania monumentu i przypominałyby zbrodnie Armii Czerwonej na terenie Warmii i Mazur. Jednak wówczas to kompromisowe rozwiązanie rozbiło się o protesty prof. Roberta Traby. Ten znany historyk stał się liderem bardzo zaangażowanego politycznie środowiska, które w dużej mierze przypominało Komitet Obrony Demokracji. Robert Traba argumentował wówczas, że proponowana przez IPN treść tablicy to przykład manipulowania historią w imię ideologicznych celów rządzącej partii, a postawienie tej tablicy pozbawi olsztyńian szans na dialog o historii.

W odpowiedzi przedstawiciel środowisk niepodległościowych radny Bogdan Bachmura ripostował: „Czy manipulacją nie jest wystawianie Stalinowi dwóch różnych rachunków: wyzwolenczego i zbrodniczego i stawianie ich na dwóch szalach historycznej wagi? Czyli stwierdzenie, że Armia Czerwona »zniewoliła«,

jest (w opinii prof. Traby) manipulacją, ale twierdzenie, że »wyzwoliła« otwiera pole do »dialogiczności«. [...] Bo tak szczerze mówiąc, to moim zdaniem ta cała »dialogiczność« przepracowania najnowszej historii, to hamletyzowanie nad pieczęciami rosyjskiego panowania, to zwykła ściema”.

Od paru lat pomnik formalnie podlega obowiązkowi demontażu w myśl ustawy dekomunizacyjnej przyjętej w kwietniu 2016 r. Pomnik jednak bardzo długo był pod opieką konserwatora zabytków i do momentu uchylecia tego zapisu nie można było go zdemontować. Swoje znaczenie miało też to, że „szubienic” bronił długoletni prezydent Olsztyna Piotr Grzymowicz, który rządzi miastem od 2009 r. Grzymowicz w PRL należał do PZPR, potem flirtował z SLD, by w 2007 r. kandydować na posła z list PSL. Dwa lata później wygrał wybory na prezydenta Olsztyna i rządzi aż do dziś. Przy takim gospodarzu miasta nie było niczym dziwnym, że pomnik wdzięczności armii sowieckiej miał się całkiem nieźle.

Przełom nastąpił dopiero po nowej fazie agresji Putina wobec Ukrainy w 2022 r. Nawet zasłużony w obronie pomnika prezydent Grzymowicz uznał, że już dłużej sowieckiej pamiętki nie ma co utrzymywać w centrum miasta. W specjalnym oświadczeniu napisał: „Ponieważ dzisiejsza, zbrodnicza putinowska Rosja odwołuje się do tradycji Armii Czerwonej, której brutalności mieszkańcy Warmii i Mazur doświadczyli w roku 1945, podjąłem decyzję o wystąpieniu do Generalnego Inspektora Zabytków o zdjęcie ochrony konserwatorskiej z pomnika Wyzwolenia Ziemi Warmińsko-Mazurskiej, [...] zbudowanego pierwotnie w latach 1949–1953 jako pomnik Amii Czerwonej”.

3 marca br. prezydent Olsztyna zapowiedział, że wystąpi do Generalnego Konserwatora Zabytków o zdjęcie ochrony z pomnika Wdzięczności Armii Czerwonej, tak by możliwa była jego rozbiorka.

OBRONA POZYCYJNA

Od blisko roku w obronie postkomunistycznego pomnika występują prof. Robert Traba i jego zwolennicy w Olsztynie. Robert Traba (rocznik 1958) jest niemal rówieśnikiem Donalda Tuska i obaj

Auschwitz-Birkenau. Dunikowski po wojnie starał się zatrzeć pamięć o swoich przedwojennych pomnikach Piłsudskiego i po 1945 r. łączył przedwojenne doświadczenia konstruktywizmu z elementami socjalistycznymi.

Na pomniku reprezentowane są typowe dla ówczesnej epoki symbole Armii Czerwonej. Widzimy tu czołg, mocarną sylwetkę sowieckiego żołnierza, a na drugim pylonie typowe dla socrealizmu motywy pracy na roli, działalności przemysłu. Są także sierp i młot – godło ZSRS. Pomnik jest swego rodzaju mieszańką tego, co w twórczości Dunikowskiego jest cenne z typowymi dla socrealizmu sztampowymi motywami budowy socjalizmu.

panowie mają bardzo wiele wspólnego w swojej wizji historii. Profesor Traba pochodzący z mazurskiego Węgorzewa należał do tej generacji, która z zacięciem odkrywała poniemiecką przeszłość ziem północnych. Traba był założycielem Fundacji Borussia, która badała historię kulturową Polski i Niemiec w XIX i XX w. Lansowany przez niego regionalizm skupiał się na promowaniu szacunku dla niemieckiego dziedzictwa tych ziem i prowadzenia dialogu polsko-niemieckiego z wszystkimi zaletami rozumienia tego pojęcia przez środowiska sympatyzujące z Platformą Obywatelską. Od 1995 do 2003 r. zatrudniony był w Niemieckim Instytucie Historycznym, a potem został profesorem w Instytucie Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk. Wreszcie w 2006 r. został powołany na dyrektora Centrum Badań Historycznych PAN w Berlinie.

Traba należy do tej części środowiska historycznego, którego reprezentantami są też Krzysztof Ruchniewicz czy Paweł Machcewicz. Jest to środowisko krytyczne wobec zbyt daleko idącej dekomunizacji symboliki publicznej i wyczulone raczej na krytycyzm wobec polskiej historii. W stosunku do polityki historycznej za rządów PiS formułuje ono zarzuty ideologizacji i polityzacji, choć samo wielokrotnie chętnie korzystało z poparcia politycznego Platformy Obywatelskiej.

Jednak kluczowy dla sporu o olsztyńskie „szubienice” był fakt zakończenia przez prof. Trabę misji w Centrum Badań Historycznych PAN w Berlinie i powrót do Olsztyna. Traba uczynił z obrony byłego pomnika wdzięczności armii radzieckiej swoją misję, swoistą „cause célèbre”. Z tym większym rozgoryczeniem więc olsztyński naukowiec przyjął kapitulację prezydenta Piotra Grzymowicza, który wcześniej razem z nim dzielnie bronił socrealistycznego monumentu.

KONTROFENSYWA TRABY

Olsztyński naukowiec ogłosił otwarte list do prezydenta miasta. Czytamy w nim: „W obliczu zbrodniczej agresji Rosji na Ukrainę ludzie wolnego świata są zgodni: Musimy zrobić wszystko, by pomóc Ukraińcom! [...] Dyskusyjne są strategie i sposoby oddziaływania. Nad nimi unosi się atmosfera emocji i powrót

Obrońcy pomnika odrzucają fakt, że przez lata był on dla olsztyńskich symbolem zniewolenia

do jednostronnych interpretacji historii. To nie jest dobra droga”. I dalej. „Niechże się pan na chwilę zastanowi. O ile ja pamiętam ten czas, to armia radziecka walczyła w koalicji z Wielką Brytanią i ze Stanami Zjednoczonymi i wspólnie z nimi pokonała morderczą Rzeszę niemiecką. Czyżby pamięć »narodowa« o tym zapomniała?”.

Traba cytował w tym liście słowa historyka prof. Jerzego Jedlickiego do ówczesnego prezesa IPN w 2016 r. Istotą listu było wezwanie prezydenta Olsztyna do odstąpienia od planu usunięcia pomnika i wykorzystania monumentu Dunikowskiego do „założenia komemoratywnego”, w którym opowiedziana zostanie dramatyczna historia zdobycia i włączenia Warmii i Mazur do Polski.

W akcję nagłośnienia listu włączyła się oczywiście lokalna „Gazeta Wyborcza”, która zaczęła zasypywać prezydenta Grzymowicza pytaniami, jak odpowie na apel prof. Trabę. Dziennikarze olsztyńskiej „GW” wydają się być przekonani, że znany z koniunkturalizmu prezydent Olsztyna, gdy wyczuje presję elit, posłusznie wycofa się z pochopnego pomysłu. Jednak swego stanowiska nie zmienia także minister Piotr Gliński, który dalej stoi na stanowisku, że pomnik należy zdemontować. Takie samo zajmuje szef IPN Karol Nawrocki.

PRÓBA SIŁ

Spór o „szubienice” przypomina bardzo inne konflikty, jak niedawna sprawa pani Joanny czy walka z polityką historyczną IPN. Środowisko liberalnej inteligencji mające na czele takich trybunów historycznych jak prof. Traba testuje w takich sporach swoją smart power. Profesor Traba nazywa IPN policją myśli, poucza obecnego prezesa IPN, że ma braki w wiedzy historycznej i korzysta z pomocy innych historyków zaangażowanych w spory o polską politykę historyczną.

Nieprzypadkowo sporym tekstem na łamach „Gazety Wyborczej” wsparła Trabę Anna Machcewicz, stała współpracowniczka dodatku historycznego „Gazety Wyborczej”. Rzuciła ona hasło, by pomnik Dunikowskiego odegrał podobną rolę, co pomnik Zwycięstwa w Bolzano w południowym Tyrolu należącym do Włoch. Monument w Bolzano stworzono w epoce Mussoliniego i był demonstracją dominacji Italii nad tym niegdyś austriackim, w większości zamieszkałym przez Austriaków rejonie Włoch.

Jednak analogia z pomnikiem w południowym Tyrolu, który na drodze żmudnych negocjacji przedstawia zarówno włoskie, jak i austriackie spojrzenie na przeszłość regionu, nijak nie ma się do sytuacji w Olsztynie. W stolicy Warmii i Mazur nie mamy przecież do czynienia z konfliktem pamięci rosyjskiej i polskiej, tylko z wyraźnie połączoną z aktualną polityką odmianą politycznego sporu polsko-polskiego. Obrońcy szubienic odrzucają to, że pomnik Dunikowskiego, mimo doszukiwania się w nim wysokich wartości artystycznych, przez lata był dla olsztyńskich symbolem zniewolenia. Jeśli ktoś nawet uważa, że olsztyński monument ma ogromne zalety artystyczne, choć są krytycy sztuki, którzy mają w tej kwestii wątpliwości, to powinien zaakceptować rozwiązanie, w ramach którego dwa pylony pomnika powinny zostać ostrożnie zdemontowane i zawieszone do Muzeum Dunikowskiego w warszawskiej Królikarni. Pomysł, aby akurat w miejscu wieloletnich obrzędów wierności władz PZPR wobec Moskwy robić muzeum o złożonej historii Warmii i Mazur, jest wymyślony ad hoc, aby tylko uratować niesławny monument. Wcześniej prof. Traba nie wspominał o takim wykorzystaniu okolic pomnika.

Dlatego trudno ten spór odróżnić od wielu innych konfliktów, w których liberalne elity chcą zachować dominację w dziedzinie kształtowania polityki historycznej. Ta polityka lubi przedstawiać się jako walka uciemiężonej mniejszości przeciwko wszechmocnemu państwu. Jednak de facto służy zachowaniu całkowitej dominacji opcji liberalnej nad historyczną symboliką w Polsce.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Komplet do whisky
ROLY-POLY

KOLEKCJA ROLY-POLY

Oryginalny pomysł na prezent dla każdego miłośnika whisky. W skład kompletu do whisky wchodzi stylowa karafka z dopasowanym szklanym korkiem oraz 2 szklanki do whisky. Dzięki specjalnie wyprofilowanej podstawie zarówno karafka, jak i szklanki, bujają się na stole jak kapitański statek na wzburzonych falach, ale nie przewracają. Oryginalny design nie tylko sprawia, że szkło jest stylową ozdobą, ale także pozwala wydobyć z trunku kwintesencję smaku i aromatu. Naczynia uformowano tradycyjną metodą ręczną, z najwyższej jakości szkła Crystalline. Zobacz więcej na krosno.com.pl

krosno.com.pl



100 LAT krosno®



krosno.com.pl

KAROL GAC: Wyrokiem w pani sprawie żyje niemal cały kraj. Jak wyglądał 10 sierpnia 2020 r. z pani perspektywy? Dlaczego zdecydowała się pani pojechać do Poznania na wydarzenie organizowane przez środowiska LGBT?

MARIKA M.: Ten dzień odmienił moje życie. A nic nie zapowiadało tego, że taki będzie. Wybraliśmy się do Poznania odwiedzić znajomych. Nie mieliśmy w planach brać udziału w Marszu Równości. Myśleliśmy, że podczas pandemii takie manifestacje nie mogą się odbywać. Długo chodziliśmy po mieście, rozmawiając, śmiejąc się, w którymś momencie ktoś zauważył dziewczynę z torbą LGBT. Oburzyliśmy się na ten widok i postanowiliśmy zniszczyć tę torbę. Była to chwila, ktoś wpadł na głupi pomysł i nikt nie miał odwagi przeciwstawić się tej zaczepce. Dalej wszystko się zadziało tak szybko. Zaczęliśmy poszarpywać za torebkę, ale gdy zauważyliśmy, że pokrzywdzonej bardzo zależy na tej torbie, postanowiliśmy zrezygnować, ponieważ nikt nie chciał, by komukolwiek stała się krzywda. Wydawało mi się, że nie zrobiłam krzywdy pokrzywdzonej. Nie szarpałam za torbę mocno i – wbrew opinii sądu – nie byłam zawzięta. Dlatego później, jak gdyby nigdy nic, oddaliśmy się. Kilkanaście minut po zdarzeniu ja z Michałem zostaliśmy zatrzymani przez policję.

Czyli nie chodziło o kradzież torby wartej 15 zł, ale o sprzeciw ideologiczny wobec ludzi propagujących hasła LGBT?

Nie chodziło nam o kradzież – ani torby, ani jej zawartości. Sama pokrzywdzona potwierdziła nasze słowa w sądzie. Dlatego w zarzucie od samego początku była tylko wartość torebki, a nie jej zawartość. Celem ataku nie była mniejszość seksualna w Polsce. Nie miałam wówczas informacji, jakiej orientacji seksualnej jest pokrzywdzona. Nie chcieliśmy nikogo skrzywdzić. W tamtym okresie sprzeciwialiśmy się ruchowi LGBT, który naszym zdaniem pod przykryciem wolności, równości i ochrony mniejszości dewastuje symbole polskiej kultury, takie jak pomniki czy kościoły. Aktywiści LGBT demoralizują też dzieci, wychodząc na ulicę w wulgarnych strojach lub w ogóle paradując półnag po mieście. Chcieliśmy zniszczyć



Z Marią M., skazaną na trzy lata więzienia za próbę wyszarpięcia tęczowej torby rozmawia Karol Gac

Czuję się najzwyczajniej w świecie skrzywdzona przez sąd

torebkę z symbolem ideologii LGBT. Zresztą w dniu zdarzenia protest, który przeszedł ulicami Poznania, był wyrazem solidarności aktywistów LGBT z „Margotem”, który trafił do aresztu po ataku na furgonetkę pro-life i jednego z wolontariuszy Fundacji Pro – Prawo do Życia w Warszawie.

W sądzie podkreślała pani, że nie chcieliście używać wtedy przemocy.

W całym zdarzeniu chodziło o szmacianą torbę i barwy na niej widniejące. Czy to możliwe, aby cztery osoby nie wyrwały kobiecie torby, gdyby naprawdę tego pragnęły? Po prostu od samego początku wiedzieliśmy, że nie chcemy używać wobec pokrzywdzonej przemocy, zrobić jej jakiegokolwiek krzywdy. Wydawało mi się, że podczas szarpania za torbę nie wkładałam w to zbyt dużej siły. Gdy tylko zauważyłam łzy w oczach pokrzywdzonej,



Żałuje pani tego, co się wtedy wydarzyło?

Bardzo mocno tego żałuję. Wiem, że złamałam dopuszczalną formę sprzeciwu, i byłam gotowa ponieść za to karę. Jednak nie spodziewałam się, że będzie to aż tak wysoka kara. Trzy lata więzienia to kara, która ma ogromny wpływ na resztę mojego życia

Na sali sądowej przyznaliśmy się do czynu – ale nie zarzutów – i przeprosiliśmy pokrzywdzoną. Zapewniam, że przeprosiny były szczere. Sąd jednak był odmiennego zdania.

Zdaniem sędziego sprawiała pani jednak wrażenie osoby, która „czerpie satysfakcję z tego, że znajduje się na ławie oskarżonych”, ponieważ przez cały czas się pani uśmiechała.

Rozprawa odbyła się w 2021 r. W kolejnym roku pandemii, gdzie w każdym miejscu publicznym był nakaz noszenia maseczek. Również w sądzie. Nie wiem, jak sąd zauważył, że się uśmiecham. Była to nieprawda. Sąd od początku sprawiał wrażenie, jakby wyrok już zapadł, a sprawa to tylko formalność. Bagatelizował okoliczności nam sprzyjające, uwypuklając te, które choć trochę mogły nam zaszkodzić.

Ostatecznie sąd skazał panią na trzy lata bezwzględnego więzienia, ponieważ zakwalifikował to zdarzenie jako rozbój. Co pani wtedy poczuła? Szok?

Tak, był to dla mnie szok, długo nie mogłam w to uwierzyć. Pamiętam, że po rozprawie na policzku pojawiła mi się łza. Byłam przekonana, że za taki czyn sąd nie może wsadzić mnie do więzienia. Trzymałam całą tę sprawę w tajemnicy przed bliskimi – przed rodzicami, przed przyjaciółmi i znajomymi. Nie chciałam ich martwić. Myślałam, że zostanę ukarana grzywną lub inną karą, która pozwoli mi utrzymać całą sprawę w tajemnicy.

zrozumiałam, że bardzo jej zależy na tej torbie, przez co zaprzestałam poszarpywania za przedmiot. Nikt pokrzywdzonej nie przetrzymywał, nikt jej nie szarpał. Całe zdarzenie trwało ok. 30 sekund.

Żałuje pani tego, co się wtedy wydarzyło?

Bardzo mocno tego żałuję. Wiem, że złamałam dopuszczalną formę sprzeciwu, i byłam gotowa ponieść za to karę. Jednak nie spodziewałam się, że będzie to aż

tak wysoka kara. Trzy lata więzienia to kara, która ma ogromny wpływ na resztę mojego życia. Nie czuję, by tak wysoki wyrok był współmierny do czynu, który popełniłam. Czuję się najwyczejniej w świecie skrzywdzona przez sąd.

Jeszcze na sali sądowej przeprosiła pani poszkodowaną. W dodatku w aktach z sądu jest pani opinia, zgodnie z którą ma pani krytyczny stosunek do tego, co pani zrobiła.

Wiele osób się zastanawia, dlaczego nie złożyła pani apelacji od tego wyroku.

Powodów było kilka. Jednym z nich był brak pomocy prawnej, której nie uzyskałam w sądzie. Byłam przekonana, że apelacja drugiego z oskarżonych dotyczy również mojej sprawy i sama nie muszę jej składać. Popełniłam błąd. Zorientowałam się, że wyrok w mojej sprawie uprawomocnił się dopiero, gdy dostałam korespondencję z wezwaniem do stawienia się do więzienia w celu odbycia kary.

Domyślałam się, że muszą to być dla pani trudne przeżycia. A jaki był ostatni rok? Młoda, niekarana wcześniej studentka, która udziela się społecznie, trafia nagle do więzienia...

Ostatni rok był dla mnie niezwykle trudny. Zawsze byłam optymistką, czerpałam radość z pomocy, którą niosłam potrzebującym. Jestem ekstrawertykiem, który uwielbia kontakt z drugim człowiekiem. Więzienie odebrało mi radość z życia. Przez cały ten czas czułam się przytłoczona sytuacją, w której się znalazłam. Myślałam o niesprawiedliwości, jaka mnie dosięgła. Było mi źle, czułam się potwornie.

W tamtym momencie moi bliscy włożyli bardzo dużo pracy, czasu i pieniędzy w to, bym miała jak najwięcej kontaktu ze światem zewnętrznym, ograniczając wpływ innych osadzonych na mnie. Chcieli, bym pozostała sobą. Więzienie nauczyło mnie cieszyć się z małych rzeczy. List od przyjaciela, paczka z jedzeniem czy zajęcia kulturalno-oświatowe były dla mnie na wagę złota. Tuż po wyjściu z zakładu karnego odczułam drastycznie wpływ więzienia na moje życie. Doznałam szoku, gdy wszedłam do supermarketu i mogłam kupić wszystko, co zechcę, a ostatecznie się rozplakałam i nie kupiłam nic. Wolność mnie przerażała. Zdziwiłam się, że zaledwie rok więzienia może doprowadzić mnie do takiego stanu.

Z opinii zakładu karnego wynika, że była pani dziewięć razy nagradzana, a także, że nie zaobserwowano u pani zachowań agresywnych. Była pani także chwalona w miejscu pracy.

Nigdy nie uważałam się za osobę zdemoralizowaną. Oprócz tego jednego incydentu nigdy nie miałam problemów z prawem oraz z życiem w społeczeństwie. Od samego początku zachowaniem zapracowałam na dobrą opinię w zakładzie karnym. Bardzo starałam się być

Chciałabym wesprzeć rodziców, którzy tak wiele dla mnie zrobili, choć sami potrzebują pomocy. Chciałabym zacząć żyć pełnią życia. Na razie jednak czekam z niepokojem na decyzję prezydenta

pomocna dla służby więziennej oraz współosadzonych. Wykazywałam się zaangażowaniem w pracach na oddziale. Brałam aktywny udział w przedsięwzięciach organizowanych dla osadzonych przez służbę więzienną. Umożliwiła mi wykonywanie nieodpłatnej pracy na rzecz zakładu karnego (sprzątałam na oddziale ginekologicznym), co później ułatwiło mi pozyskanie odpłatnej pracy poza zakładem karnym. Dzięki powyższym okolicznościom już po odbyciu jednej czwartej kary uzyskałam pięciogodzinne widzenie bez nadzoru z rodziną na terenie miasta.

Minął prawie rok, zanim pani bliscy poprosili o pomoc Instytut Ordo Iuris. Nie próbowali szukać pomocy wcześniej?

Na początku rodzice starali się o moje ułaskawienie na własną rękę. Napisał list do prezydenta, opisujący moją sytuację, z prośbą o łaskę. Do prośby załączyli opinie osób, które mnie dobrze znają. Opiniodawcami byli m.in. rodzina i przyjaciele, dyrektor szkoły, do której uczęszczałam, były pracodawca, przedstawiciel Ochotniczej Straży Pożarnej. Dołączono także inne dokumenty opisujące moje dotychczasowe życie na wolności. Redagowanie listu i jego rozpatrywanie trwało kilka miesięcy. Dopiero gdy usłyszałam o wyroku w sprawie „Margota” – a sprawę znałam doskonale – poradziłam bliskim, by skontaktowali się z Instytutem Ordo Iuris. Było to tuż przed moją pierwszą rozprawą w sprawie ułaskawienia.

Od czasu kontaktu z Instytutem sprawy potoczyły się błyskawicznie. Pani Iosem udało się zainteresować prokuratora generalnego i ministra

sprawiedliwości Zbigniewa Ziobrę, który zdecydował o zarządzeniu przerwy w wykonywaniu kary na czas rozpoznania przez prezydenta wniosku o ułaskawienie. Wierzyła pani, że taki obrót sprawy jest w ogóle możliwy?

Nie wierzyłam, że jestem w stanie kogokolwiek zainteresować tą sprawą. Miałam również spore wątpliwości, czy słuszne jest upublicznienie sprawy. Bałam się, że skrzywdzę tym rodziców. Strach mnie ogarniał na myśl o tym, że w wypadku braku ułaskawienia zostanie zmuszona do powrotu do więzienia i do przechodzenia całej ścieżki od nowa, zaczynając od zakładu zamkniętego, a nie półotwartego. Myślałam, że sprawa nie osiągnie zasięgów krajowych. A w dniu upublicznienia byłam znowu wolna.

O pani sprawie mówi cały kraj. Pod petycją w sprawie ułaskawienia podpisało się ponad 25 tys. osób. Wiele z nich solidaryzuje się z panią w mediach społecznościowych. Spodziewała się pani tylu wyrazów wsparcia?

Trudno było przewidzieć reakcję ludzi. Nie spodziewałam się tak ogromnego odzewu i wsparcia. Pamiętam, jak się ucieszyłam, że do akcji zgodziły się dołączyć Młodzież Wszechpolska oraz Stowarzyszenie Marsz Niepodległości. A to tylko wierzchołek góry lodowej. Zwykli ludzie, instytucje, politycy... Tyle osób mnie poparło. Wszystkim bardzo mocno dziękuję za wsparcie.

Wniosek o ułaskawienie wsparł ten sam sąd, który panią wcześniej skazał. Teraz wszystko w rękach prezydenta Andrzeja Dudy, który zdecyduje, czy użyć prawa łaski. Tymczasem pani opublikowała apel, w którym opisuje pragnienie powrotu do normalnego życia – chce pani wrócić na studia, założyć rodzinę, pracować, wesprzeć rodziców...

Przez tę sprawę straciłam sporo czasu, a młodość nie trwa wiecznie. Więc to jest ten moment, aby zadbać o swoje wykształcenie i móc nadrobić stracony czas z rodziną. Chciałabym wesprzeć rodziców, którzy tak wiele dla mnie zrobili, choć sami potrzebują pomocy. Mam wspaniałego chłopaka, który bardzo mnie wspierał przez cały ten czas. Jest tyle miejsc, które chciałabym odwiedzić. Chciałabym zacząć żyć pełnią życia. Na razie jednak czekam z niepokojem na decyzję prezydenta.

CPK nową wizytówką Polski.

„Ekscytujące i bliskie sercu”

Spółka CPK pokazała, jak będzie wyglądało nowoczesne lotnisko pod Warszawą



Za koncepcję architektoniczną odpowiada m.in. biuro Foster + Partners, które projektowało lotniska w Londynie czy Pekinie, a także biurowce w Warszawie, w tym Varso Tower – najwyższy budynek w UE. Pierwsi pasażerowie odlecą z CPK w 2028 r. Integralną częścią portu będzie dworzec kolejowy skupiający połączenia Kolei Dużych Prędkości z głównych miast w Polsce.

– Nasza firma realizuje jednocześnie projekty na wielu rynkach w wielu krajach. Te rzadkie momenty pracy w Polsce są wyjątkowo ekscytujące, bo są bliższe mojemu sercu – mówi Krzysztof Górnicki, senior partner i architekt w Foster + Partners.

Podkreśla, że brytyjskie biuro projektowało już lotniska w Anglii, Chinach, Katarze czy Jordani, a niedawno odpowiadało za rozbudowę sieci kolejowej w Arabii Saudyjskiej. Bazując na swoim doświadczeniu, przekonuje, że polska gospodarka i Polacy skorzystają na budowie CPK.

– Wystarczy spojrzeć na skalę naszego kraju i na to, jakie lotniska posiadają Niemcy, Francja, Hiszpania czy Wielka Brytania. Ich główne lotniska są zdecydowanie większe i mają większe możliwości niż Okęcie, które jest lotniskiem małym i mocno ograniczonym. Aby zwiększyć potencjał rozwojowy kraju, inwestycje w infrastrukturę są niezbędne – zaznacza.

Polska pod względem liczby ludności jest siódmym krajem

w Europie, a Lotnisko Chopina to dopiero 30.–35. lotnisko na naszym kontynencie. Dziś większe porty niż my mają dużo mniejsze kraje, tj. Finlandia (5 mln mieszkańców) czy Austria (9 mln). Stąd pomysł budowy CPK.

JASNY, ZIELONY I PONADCZASOWY TERMINAL

Na początku lipca spółka Centralny Port Komunikacyjny zaprezentowała publicznie koncepcję architektoniczną nowego lotniska przesiadkowego.

Centralnym elementem węzła CPK będzie atrium, które pod jednym dachem w kształcie „diamentu” połączy przestrzeń przesiadkową dla pasażerów lotniska, dworca kolejowego i autobusowego. Atrium to swobodny przestronny „przedpokój portu lotniczego”. Spotka się tu

większość pasażerów niezależnie od środka transportu, którym dotrą na lotnisko.

Szymon Kachniarz (senior project manager z Biura Projektowania i Inżynierii Podprogramu Lotniskowego w CPK) podkreśla, że będzie to wizytówka Polski. CPK będzie pierwszą rzeczą, którą zobaczą pasażerowie przylatujący do naszego kraju, a także jedyną, z którą zetkną się miliony turystów i biznesmenów, którzy będą się tu tylko przesiadać.

– Projektowaliśmy tę przestrzeń tak, by zachęcała do przebywania w tym miejscu. Myślmy o programie funkcjonalnym, który sprawi, że hub transportowy będzie żył własnym życiem. Chcemy, by ludzie spotykali się tu na kawę, robili zakupy i załatwiali interesy. Powierzchnia ogólnodo-

stępnego atrium będzie porównywalna do wielkości Rynku Starego Miasta w Warszawie. Pojawi się dużo naturalnego światła i zieleni. Architektura będzie nowoczesna, ale ponadczasowa i nienarzucająca się. Mówimy o projekcie na wiele, wiele lat, więc nie możemy zastosować rozwiązań, które za dekadę uznano by za niemożliwe – wyjaśnia Kachniarz.

2000 KM LINII KOLEJOWYCH

Pierwszy etap lotniska, czyli dwie równoległe drogi startowe i infrastruktura do obsługi 40 mln pasażerów rocznie, ma zostać uruchomiony w 2028 r. W tym samym czasie ruszą pierwsze odcinki Kolei Dużych Prędkości (konkretnie trasa Warszawa – Łódź), których w sumie CPK wybuduje w najbliższych latach prawie 2000 km.

Dworzec kolejowy obsłuży lotnisko, ale będzie też odgrywać rolę ogólnokrajowego węzła transportowego, integrując połączenia kolejowe dużych miast. Ma się składać z sześciu podziemnych peronów (12 torów) obsługujących pociągi regionalne i dalekobieżne.



Datowany na 22 lipca br., a opublikowany przez portal gazeta.pl artykuł, w którego leadzie mogliśmy przeczytać zdanie „Donald Tusk zapowiedział zorganizowanie »marszu miliona serc« w reakcji na śmierć pani Joanny z Krakowa”, jest już tylko schyłkowym epizodem kilkudniowej medialnej afery, która obiegła Polskę. Największe liberalne media próbowały na naszych oczach ogrzać emocje, jakie pamiętamy z jesieni 2020 r., gdy ulicami miast przechodziły marsze przeciwko życiu pod znakiem czerwonego pioruna i hasłem, które w zasadzie nie powinno nadawać się do publikacji. Oczywiście chodzi o protesty wywołane wyrokiem Trybunału Konstytucyjnego, który uznał eugeniczną przesłankę do aborcji z ustawy o ochronie życia za niekonstytucyjną.

Tekst Patryka Rutkowskiego pt.

„»Marsz miliona serc« bez części opozycji? Rzecznik PO: My musimy pokonać PiS, oni Konfederację” jest już poprawiony – widnieje w nim zdanie: „Donald Tusk zapowiedział zorganizowanie »marszu miliona serc« w reakcji na sprawę pani Joanny z Krakowa”. Jednak Internet niczego nie zapomina. Nie chodzi już nawet o krążące w sieci zrzuty ekranu z oryginalnym fragmentem – takie rzeczy dość łatwo da się spreparować – ale o wciąż wyświetlające się w wyszukiwarce usunięte, brzmiące surrealistycznie zdanie o śmierci Joanny z Krakowa. Czy to tylko błąd pracującego w pośpiechu dziennikarza czy coś więcej? Może akcja miała też mieć alternatywne zakończenie? Tego się zapewne nie dowiemy. Jednak ten makabryczny błąd w tekście jest jakiegoś rodzaju symbolem całej sprawy i tego, w jakim oderwaniu od faktów próbowano ją rozgrywać.

ŻEROWANIE NA TRAGEDIACH

Przypadek Joanny z Krakowa miał się stać – wszystko na to wskazuje – kolejnym medialnym przykładem potwierdzającym rzekomą nienawiść obozu rządzącego do kobiet. Poprzednim była tragiczna śmierć Izabeli z Pszczyny, która wydarzyła się w roku 2021. Po tej tragedii opozycja ukuła hasło „Ani jednej więcej”, tak jakby za śmierć młodej matki odpowiedzialne było prawo chroniące w Polsce życie.

Prawie nikomu z opozycji nie przeszkadzało, że fakty były zupełnie inne. To



W czasie specjalnej konferencji prasowej Donald Tusk ogłosił „Marsz miliona serc”

FOT. RADEK PIETRUSZKA/PAP

Pani Joanna od aborcji



Tomasz Rowiński

Politycy z partii opozycyjnych reprezentujących lib-left gotowi są wykorzystać każdą ludzką tragedię i opleść ją własnymi narracjami, byle tylko pozyskać polityczne paliwo w trwającej w Polsce permanentnie kampanii wyborczej. Sprawa Joanny z Krakowa nadawała się do tego znakomicie

nie „restrykcyjne prawo aborcyjne” stało się przyczyną śmierci 30-latk. W końcu przecież prokuratura postawiła zarzuty nieumyślnego spowodowania śmierci i narażenia na bezpośrednie niebezpieczeństwo utraty życia albo ciężkiego uszczerbku na zdrowiu trzem konkretnym lekarzom. Rodzina zmarłej niezmienia nie stoi na stanowisku, że „lekarze zbyt długo zwlekali z zakończeniem ciąży”, czyli – inaczej mówiąc – nie podjęli na czas działań ratunkowych, których efektem – owszem – mogła być nie tylko śmierć

dziecka, lecz także ocalenie życia pani Izabeli. „Jestem daleka od sformułowania, że śmierć tej pacjentki to prosta konsekwencja wyroku Trybunału Konstytucyjnego. Sformułowanie »konsekwencja« oznacza zależność przyczynowo-skutkową, czyli gdyby nie wyrok, to pacjentka by nie zmarła. O takim związku nie możemy tutaj mówić” – mówiła w listopadzie 2021 r. mec. Jolanta Budzowska, pełnomocnik rodziny zmarłej.

Warto wracać do tamtych zdarzeń, ponieważ stanowią one dobrą ilustrację

sposobów działania polityków z partii opozycyjnych reprezentujących lib-left. Ludzie ci gotowi są wykorzystać każdą ludzką tragedię i opleść ją własnymi narracjami, byle tylko pozyskać polityczne paliwo w trwającej w Polsce permanentnie kampanii wyborczej. Sprawa Joanny z Krakowa pasowała znakomicie do scenariusza medialnego montażu na wielu frontach: proaborcyjnym, antypaństwowym, antyprawicowym, a także antypatriarchalnym. Tyle że ostatecznie prawie nic się w tej sprawie nie skleiło. Otrzymaliśmy historię, której spójność przy bliższym oglądzie rozeszła się w palcach. Obejrzelśmy za to festiwal przemilczeń i manipulacji.

Akcja medialna rozprowadzająca temat Joanny z Krakowa rozpoczęła się w „Faktach” z 18 lipca br. na antenie TVN, gdzie opublikowany został reportaż Renaty Kijowskiej na ten temat. „Na szpitalnym oddziale w policyjnej obstawie, w trakcie badania przesłuchanie, rewizja i odebranie telefonu, przestraszona pacjentka potrzebująca pomocy potraktowana jak kryminalistka, bez najmniejszych podstaw” – cytują początek tego materiału autorzy popularnego na Twitterze profilu Takżetego.pl (Tżt). „Mamy sylwetkę pani Joanny, biednej, osaczonej. Łamię się jej głos. Reporterka oczywiście nie zadaje trudnych pytań, nie wysila się o komentarz policji, nie weryfikuje u lekarza twierdzeń o ciąży zagrażającej zdrowiu, tylko przygotowuje przejmujący spot wyborczy, który niemal natychmiast udostępniają działacze partyjni” – komentuje materiał TVN Tżt. O to chodzi – widz już wie, że „państwo PiS” znów prześladuje kobiety za ich „prawo”.

Politycy opozycji reagują natychmiast, informacja podawana jest w mediach społecznościowych. O godz. 20.37 TVN24 publikuje materiał tekstowy o jednoznacznie sugerującym tytule: „Pani Joanna zażyła tabletkę poronną. Do szpitala przyjechali policjanci, zabrali jej laptop i telefon”. Obraz samowoli i okrucieństwa państwa. Wzmocnienia go portal Onet.pl, gdy następnego dnia rano ogłasza tekst „Pani Joanna chciała zażyć tabletkę. Szokująca interwencja policji”. Pojawiające się materiały medialne sugerują jedno – żyjemy w rzeczywistości, w której kobiety poddawane są antyaborcyjnemu terrorowi.

Tego samego ranka Donald Tusk publikuje na Twitterze wpis, który będzie miał prawie milion odsłon, prawie 20 tys. polubień, ok. 5 tys. komentarzy oraz prawie drugie tyle udostępnień. „Atak prokuratury i policji na kobietę szukającą pomocy w szpitalu to dopiero początek. Chcesz głosować na PiS lub Konfederację? Powiedz to, tchórze, w twarz swojej żonie, dziewczynie, córce!”. Już o godz. 14.30, w czasie specjalnej konferencji prasowej, Tusk ogłasza datowany na 1 października br. „Marsz miliona serc”. Reakcja bardzo szybka, jak na tak śmiałe i masowe zamierzenie, termin także doskonale skrojony pod wybory. Pomysł niewątpliwie był wcześniejszy, ale szukano podatnego gruntu, by mógł zakiełkować.

ZAKŁÓCENIA W NARRACJI

Jednak nieco wcześniej pojawiają się pierwsze poważniejsze zakłócenia w narracji rozkręcaniej przez TVN i Tuska. Może dlatego ogłoszenie marszu musiało nastąpić tak szybko, ponieważ na horyzoncie już zbierały się burzowe chmury. Portal Interia.pl opisuje sprawę zgoła inaczej niż TVN. Obecność policji przy Joannie z Krakowa nie wynikała z tzw. antyaborcyjnego terroru państwa PiS, ale ze zgłoszenia, które na numer 112 wpłynęło od psychiatry alarmującego, że jego pacjentka po samodzielnie wykonanej aborcji próbuje popełnić samobójstwo. Drugą ważną informacją, którą podała Interia.pl, była data wydarzenia – 27 kwietnia br. To wtedy miało miejsce opisywane zdarzenie. Dlaczego zatem ktoś odpalił ten temat dopiero w drugiej połowie lipca?

W czasie konferencji prasowej 20 lipca br. policja ujawnia nagranie ze zgłoszenia, które wyjaśnia jej udział w zdarzeniu. Dyspozytor z numeru 112 na wieść od psychiatry, że jego pacjentka zażyła leki, decyduje się poinformować o sprawie także policję. Ta zabezpiecza laptop, który miał być narzędziem ich pozyskania. Niezależnie od tego, jakie to były środki, nieautoryzowany obrót lekami w Polsce jest nielegalny. Informacje te podważają narrację sążoną w mediach m.in. przez pełnomocniczkę Joanny z Krakowa, prawniczkę Kamile Ferenc. Ferenc szybko okazuje się nie tylko często goszczoną w TVN ekspertką w sprawach, które miały nakreślać nastroje przeciwno życiu – jak przypadek pani Izabeli

z Pszczyny – lecz także działaczką feministyczną. Na olsztyńskiej edycji „Campus. Polska przyszłości” Rafała Trzaskowskiego w roku 2023 wystąpiła jako wiceprezes Fundacji na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny FEDERA. Zdjęcia z jej występów szybko obiegają Internet. Wystarczy też wpisać w wyszukiwarce nazwę fundacji FEDERA, by otrzymać wynik – zupełnie niezaskakujący – w postaci specyficznej broszury: „Potrzebuję aborcji – poradnik”.

Niedługo przed konferencją policji wychodzi na jaw więcej szczegółów na temat samej Joanny z Krakowa, która okazuje się proaborcyjną aktywistką, tylko że w wersji artystycznej. Coraz trudniej było uwierzyć w przypadkowość oglądanych zdarzeń i osób. Wieczorem 20 lipca Kamila Ferenc próbowała jeszcze ratować sytuację, publikując orzeczenie sądu z komentarzem, że działania policji wobec Joanny z Krakowa były bezprawne. Sąd jednak orzekł, że zabezpieczenie laptopa było uzasadnione, zakwestionował zaś zabranie przez funkcjonariuszy telefonu niedosłej samobójczyni. Jednym zdaniem – działania policji co do zasady były właściwe.

POLITYCZNY TEATR

„Miała być dramatyczna historia TVN o młodej Polce ściganej przez policję za wzięcie tabletki. Miał być marsz. Miał być przesądzony wynik wyborów. Okazało się, że policję wezwał jej psychiatra, obawiając się, że dokona samobójstwa, a bohaterka reportażu to – delikatnie mówiąc – bardzo specyficzna proaborcyjna aktywistka-performerka związana ze środowiskiem queer i hasłem „Ch.j z wami, aborcja z nami”, która podczas interwencji była pod wpływem alkoholu” – podsumowują sprawę autorzy Tżt.

Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, warto przytoczyć pytanie, które obiegło media społecznościowe 20 lipca, gdy popularność zyskiwał materiał filmowy prezentujący Joannę z Krakowa jako artystkę performatywną – wciąż jest on dostępny w sieci. Czy wszyscy nie wzięliśmy udziału jedynie w jej kolejnym, dość dobrze wyreżyserowanym przedstawieniu? Być może nie całkiem było to przedstawienie, może egzystencjalnie rzeczywiście w kwietniu wydarzył się w życiu Joanny jakiś dramat. Jednak wydarzenia ostatnich dni zdają się być po prostu politycznym teatrem.

Egzamin z zamożności



Łukasz Zboralski

Po raz pierwszy wyniki egzaminów ósmoklasistów z matematyki zaczęły wskazywać, że mamy dużą grupę dzieci słabych i dużą bardzo dobrych. Czy to kolejny dowód na to, że trwa ukryta korepetycyjna prywatyzacja edukacji?

Ósmoklasiści już wiedzą, do jakich szkół średnich pójdą od września. Nie mieli łatwo. Konkurencja była duża, bo skumulowany rocznik spowodował, iż o miejsca w szkołach biło się nie 350 tys. osób, a ponad pół miliona. W tym roku zatem tym większe znaczenie miał każdy punkt z egzaminu kończącego szkołę podstawową. Tym bardziej

zastanawiać powinna nas tegoroczna statystyka uzyskiwanych wyników. Bo ukazała rzecz do tej pory nienotowaną.

O ile rozkład wyników z języka polskiego przypominał nadal krzywą Gaussa – czyli test pokazał, że istnieje duża grupa przeciętnych uczniów i małe grupy tych naprawdę dobrych oraz tych, którzy mocno sobie nie radzą – to rozkład wyników z matematyki pokazał coś zupełnie innego. Wśród ósmoklasistów mamy sporą grupę dzieci, które radzą sobie słabo, sporą przeciętnych i całkiem dużą tych wybitnych.

Taki rozkład zaskoczył wszystkich. Skąd się wziął? – Taki rozkład wyników otrzymuje się, gdy źle się układa testy egzaminacyjne – mówi „Do Rzeczy” dr Maciej Jakubowski, były wiceminister edukacji, szef Evidence Institute. – Gdy nie ma w teście trudnych pytań, dobrzy uczniowie dostają maksymalną liczbę punktów. Nie ma średniej trudności pytań, wtedy nie widać też średnich osiągnięć. To tragicznie ułożony egzamin – wytyka.

Dyrektor Centralnej Komisji Egzaminacyjnej podkreśla, że procedura tworzenia testów czy arkuszy egzaminacyjnych dla ósmoklasistów nie uległa zmianie od 2019 r., czyli od początku wprowadzenia tego egzaminu. – Test układany jest na takich samych zasadach, by sprawdzić wymagania ogólne i szczegółowe podstaw programowych – mówi „Do Rzeczy” dr Marcin Smolik. – Rozkłady wyników z matematyki w latach 2020–2021 były inne niż tegoroczne, nie miały tej dwugarbności. To oczywiście nas zmartwiło.

Dlaczego więc w tym roku tak wyraźnie w wynikach widać podział na dużą grupę uczniów, która słabo rozumie matematykę, oraz na dość duży odsetek tych, którzy są najlepsi? Doktor Smolik uważa, że uprawnionych jest kilka teorii. Po pierwsze, zmieniła się liczba zadań na teście. – Trzeba pamiętać, że minister edukacji podpisał rozporządzenie, które ograniczyło wymagania sprawdzane na egzaminie. Pewne umiejętności, które były sprawdzane w latach ubiegłych,

nie były badane w tym roku i nie będą w 2024 r. – wylicza szef CKE. – To są dosyć trudne zadania, np. zadanie na dowodzenie. I tego rodzaju zadanie w ubiegłych latach obcinało sufit najlepszych wyników.

KOREPETYCJE I PANDEMIA

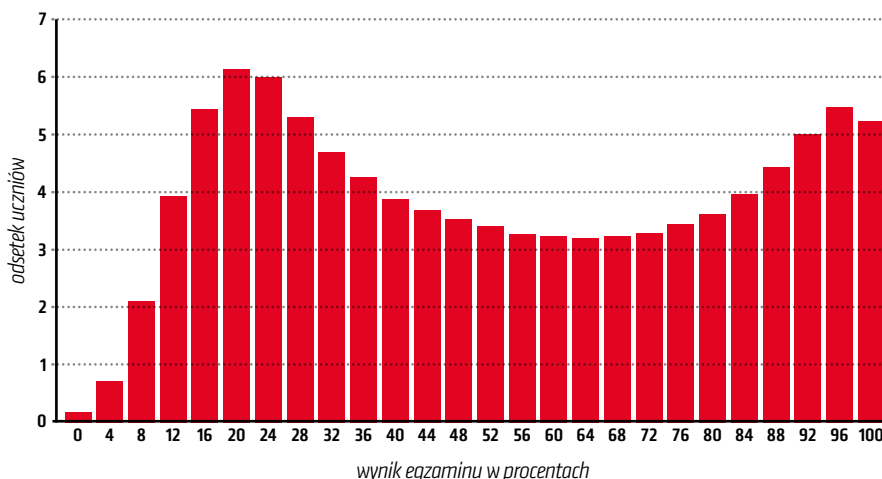
Wydaje się jednak, że obciążenie najtrudniejszych zadań nie w całości odpowiada na pytanie, dlaczego umiejętności uczniów się tak rozwarstwiły. Zwłaszcza że rozkład umiejętności matematycznych zaczął bardzo przypominać rozkład umiejętności z języka angielskiego. A w przypadku języka eksperci edukacyjni od lat wskazują, że stoi za nim najprawdopodobniej ukryty element prywatyzacji oświaty – a więc zamożniejsi rodzice z większych ośrodków, którzy mają zasoby na finansowanie swoim dzieciom dodatkowej nauki języka angielskiego poza szkołą, często już od przedszkola.

– Możemy się spodziewać, że w rzeczywistości zaczynamy mieć dwa edukacyjne światy – potwierdza to przypuszczenie dr Jakubowski. – Jeden to ten, w którym uczniowie korzystają z korepetycji i nie stracili dużo w pandemii. Drugi to ten, który ma gorsze wyniki i nie mógł nadrobić strat. A my wiemy, że w pandemii dzieci traciły naprawdę dużo, pokazały to nasze badania. Moim zdaniem CKE tę stratę mogło próbować ukryć, robiąc łatwiejszy egzamin. Okazał się jednak i tak za trudny dla tych słabych – dodaje.

Szef Evidence Institute uzupełnia, że w analizach wyszło, iż pandemia odebrała umiejętności i wiedzę dzieciom na całym świecie, ale te polskie traciły najwięcej – bo w naszym kraju szkoły były najdłużiej zamknięte spośród wszystkich krajów Unii Europejskiej. – I na pewno były takie dzieci, którym w domu rodzice nie potrafili pomóc, które były bardziej zdemotywowane – zaznacza dr Jakubowski.

Straty edukacyjne w pandemii jako jeden z czynników zauważa też sam dyrektor CKE. – Być może w okresie pandemii, gdy dzieci były w klasach VI–VII, część z nich traciła więcej zajęć, mniej uwagi przykładano do matematyki – zastanawia się dr Marcin Smolik. – Mogło tak być, że potem, po pandemii, drugi semestr VII i VIII klasy nie wystarczyły, by ten materiał nadrobić. To oczywiście tylko gdybanie. Lepiej będziemy to wszystko wiedzieć po roku 2024, gdy zobaczymy, czy np.

Rozkład wyników na egzaminie ósmoklasisty – matematyka



dwugarbność w wynikach z matematyki będzie utrzymana. Gdyby tak się stało, dopiero wówczas poważnie trzeba by się zastanowić nad procedurami układania egzaminów – zapowiada.

Zdaniem dr Jakubowskiego na wyniki matematyczne uczniów mogła zadziałać też reforma systemu edukacji, która zlikwidowała gimnazja. – Duża grupa uczniów nie ma motywacji, by uczyć się matematyki. Rozgrywka o najlepsze szkoły nie jest dla nich ważna. Wracamy więc do systemu z PRL, gdy duża grupa w podstawówce przestaje się uczyć przedmiotów ogólnych – ostrzega.

BOGACI Z LEPSZYM STARTEM OD PODSTAWÓWKI?

Jeśli z matematyką dzieje się to samo, co z językiem angielskim, to zaczyna się niebezpieczne rozwarstwienie społeczne w Polsce. Nasz system oświaty od dawna bowiem najbardziej skupiał się na wyrównywaniu szans edukacyjnych – mniej zajmowano się w niej wybitnymi, za to bardzo dużo energii wkładano w to, by słabsze dzieci, z rodzin, w których rodzice nie mogą im pomóc, osiągały więcej. Jeśli jednak uczniowie z bogatszych domów dostają coraz więcej nauki poza szkołą, to państwowy system nie jest w stanie tego nadrobić. Mając publiczną oświatę, możemy jednocześnie mieć dwa nierówne tory startu w przyszłe życie, jak np. w USA, gdzie młody człowiek z niezamożnej rodziny ma dużo mniejsze szanse na dobrą edukację i potem dobrze płatną pracę.

Tymczasem wyniki prawdziwie prywatnego i najnowocześniejszego modelu edukacyjnego w Polsce przynoszą raczej porażkę niż sukces. Wydawało się, że zdalne nauczanie pozwoli uczniom rozwijać swoje umiejętności lepiej niż sztywny górsz publicznej szkoły. Nic z tych rzeczy. Tomasz Tokarz opublikował na Facebooku wyniki egzaminu ósmoklasisty uczniów Szkoły w Chmurze – największej platformy zdalnej edukacji w kraju, tak dużej, że wzbudziła kontrowersje w samorządach, którym wraz z uczniami odebrała solidne kwoty subwencji oświatowych (to pieniądze z budżetu państwa, które są wypłacane organom prowadzącym szkołę na jednego ucznia – w 2022 r. kwota ta wynosiła 6118 zł).

Okazało się, że uczniowie na zdalnej edukacji osiągnęli słabsze o ok. 10 punktów procentowych wyniki z matematyki i języka polskiego. Lepsi okazywali się w opo- nowaniu języka angielskiego. Zapewne za taki stan odpowiada to, że na zdalną edukację chętniej rodzice przynosili te dzieci, które miały różnego rodzaju kłopoty. Trafiła tam zapewne też spora grupa dzieci po prostu leniwych, z bogatych domów, których rodzice całe zło widzieli tylko w postrzeganych przez nich jako słabe państwowych placówkach. Trudno jednak, by to tłumaczyło wszystko.

Wiele wskazuje więc na to, że model nauczania przed komputerem, przynajmniej na poziomie szkoły podstawowej, ma sporo mankamentów.



Piotr Gociek

Od poezji do antyutopii, od satyry do mistycznego pacyfizmu, od sławy do niezrozumienia – Jake Poller napisał fascynującą biografię autora „Nowego wspaniałego świata”

Pośród poważnych powieściopisarzy Aldous Huxley z pewnością jest najbardziej zuchwały i najbardziej dowcipny – tak redakcja pisma „The Art of Fiction” charakteryzowała autora „Kontrapunktu” w roku 1960, we wstępie do wywiadu, określając go także „jednym z najlepiej wykształconych pisarzy nie tylko swojej epoki, lecz także wszech czasów”.

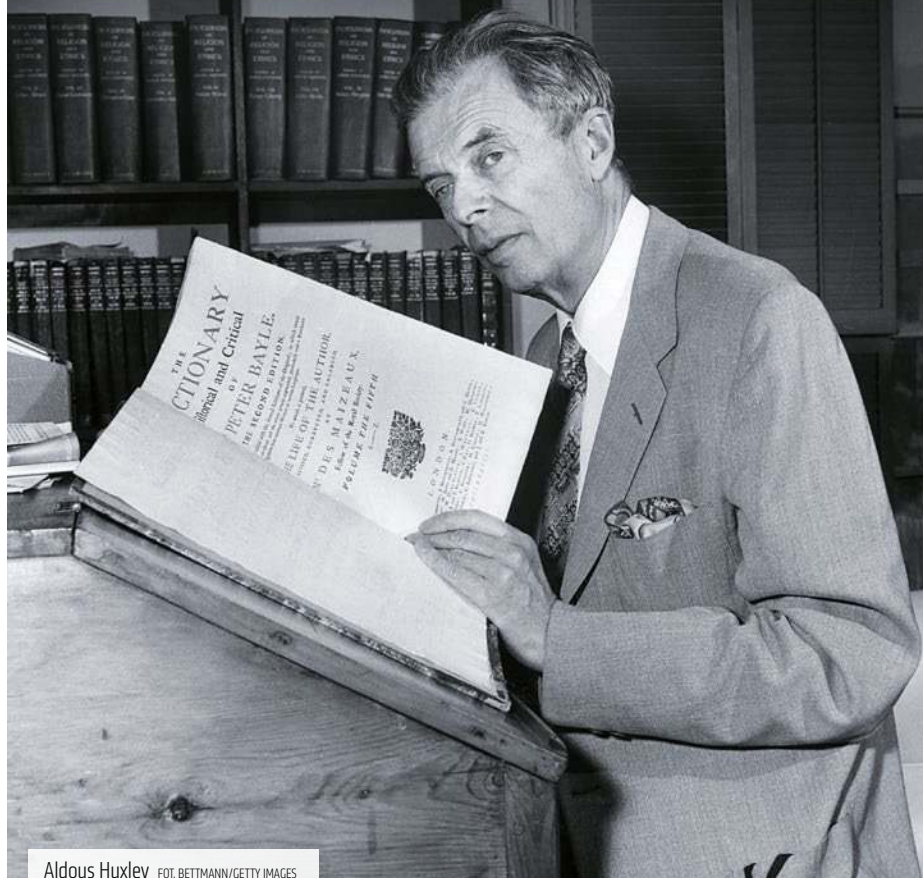
I pochodzącym z jednej z najciekawszych rodzin – wypadłoby dodać. Huxley nie zrodził się na kamieniu. Brat Juliana Huxleya, u którego ewolucjonizm mieszał się z eugeniką i który był jednym z pierwszych proroków transhumanizmu. Wnuk Thomasa Henry’ego Huxleya, XIX-wiecznego przyrodnika i antropologa, zwanego ze względu na poglądy i radykalizm w ich obronie „buldogiem Darwina”. Także rodzina jego matki – Julii Arnold – sroce spod ogona nie wypadła. Ktoś taki musiał zostać kimś. I Aldous Huxley bez wątpienia kimś został.

Jego długie, barwne i owocne życie jest przedmiotem biografii pióra Jake’a Pollera, która ukazała się w Polsce nakładem Państwowego Instytutu Wydawniczego. Jest to praca świeża, w oryginale opublikowana w roku 2021. Autor jest akademikiem z University Of London, a oprócz Huxleya specjalizuje się w studiowaniu mistycyzmu i zachodniej ezoteryki, co tłumaczy lekkie przesunięcie akcentów w jego książce. To właśnie duchowe poszukiwania Huxleya interesują bowiem Pollera najbardziej.

KLUCZE DO HUXLEYA

Nie oznacza to, że zaniedbał podstawowy obowiązek biografisty, jakim jest zagłębienie się w życiorys swojego bohatera. Poller obficie sięga po listy Huxleya, wy-

Człowiek i jego wyspy



Aldous Huxley FOT. BETTMANN/GETTY IMAGES

szukuje opinie jego współczesnych, daje nam pracę napakowaną detalami – a i tak mamy wrażenie, że mogłaby to swobodnie być opowieść dwa lub trzy razy dłuższa. Polski czytelnik mógłby sobie życzyć obszerniejszych ustępów poświęconych poszczególnym dziełom Huxleya, bo po prostu z tą materią jest najmniej zaznajomiony. Brytyjski pisarz był bowiem w Polsce przekładany i wydawany (poczynając od czasów II RP), ale z jego recepcją bywa różnie. Znamy jego najważniejsze książki (część z nich ukazała się jeszcze w PRL, inne dopiero w latach 90. XX w.), ale wszystkie pozostają w cieniu „Nowego wspaniałego świata”. Co zresztą nie dziwi,

bo jest to powieść ikoniczna dla minionego stulecia, jeden z symboli epoki, tak jak „Na zachodzie bez zmian” Remarque’a, „Rok 1984” Orwella, „Archipelag GULag” Sołżenicyna czy „Paragraf 22” Hellera.

W odróżnieniu od dominujących obecnie „biografii subiektywnych” czy po prostu potocznych fabuł udających biografie Poller proponuje życiorys opowiedziany zgodnie z regułami pracy naukowej, choć popularyzatorskiej. Nie tylko streszcza życie i dzieło, lecz także konfrontuje opinie i szuka własnych kluczy do Huxleya. Bardzo ciekawy jest ten, który proponuje we wstępie. Przytacza w tym celu fragment „Drzwi percepcji”: „Żyjemy razem, oddzia-

lujemy i reagujemy na siebie; ale zawsze, we wszystkich okolicznościach jesteśmy zdani na siebie [...]. Od rodziny po naród każda grupa ludzi stanowi społeczność odrębnych wszechświatów". Sięga Poller po pojęcie „wszechświata wyspowego”, wskazuje na cytaty z „Diabłów z Loudun”: ludzie „łakną wyjścia poza samych siebie, by przekroczyć granice tej mikroskopijnej wysepki – wszechświata, w którym uwięziona jest każda jednostka”. Wyciąga więc Poller wnioski: „W swoich utworach Huxley wyczerpująco i wnikliwie pisze o tym, jak interakcje społeczne generują rozczarowania, nieporozumienia i śmieszność”. A z Huxleya wyjąć możemy wprost zdania: „Czy ktoś w ogóle kiedykolwiek nawiązał kontakt z kimś innym? Wszyscy jesteśmy prostymi równoległymi”. Te ostatnie słowa, co ciekawe, padają już w debiutanckiej powieści Huxleya „W kręgu Crome” (1921), która po polsku ukazała się dopiero w ubiegłym roku. Zdaje się ona potwierdzać tezę, że każdy pisarz pisze całe życie jedną książkę. „W kręgu Crome” sygnalizuje kluczowe dla twórczości Huxleya kwestie: ową osobność nie do przezwyciężenia (która to kwestia doprowadzi go do poszukiwań mistycznych, czyli próby połączenia „wszechświatów wyspowych” z jakąś wyższą siłą), a także obawy co do wykuwających się kształtów nowej cywilizacji (które to lęki doprowadzą do powstania „Nowego wspaniałego świata”).

Jednocześnie sam Huxley jest człowiekiem, którego twórczość i życie mają trochę charakter wyspowy. Zaczynał wszak jako poeta i wierszy zdążył napisać oraz opublikować sporo. Poller nie zgadza się z tymi, którzy uważają, że są one niesłusznie zapomniane. „W kręgu Crome” wprowadza Huxleya na mapę międzywojennej prozy brytyjskiej – i dzieje się to z wielkim powodzeniem, kolejne powieści ugruntowują jego pozycję („W cudacznym korowodzie”, „Jak suche liście”, międzynarodowy sukces „Kontrapunktu”).

I gdy wszystkim się wydaje, że pisarz będzie po wsze czasy okupował zajęte już miejsce na literackiej scenie (zakwalifikowany jako beczelny szyderca i celny kronikarz życia intelektualnego Wielkiej Brytanii), nadchodzi zwrot – „Nowy wspaniały świat”, który też miał być kpina. Opowiadał Huxley w wywiadzie z „Art of Fiction”: „Zaczęło się od parodii »Ludzie

jak bogowie« H.G. Wellsa, ale stopniowo pisanie wymknęło mi się spod kontroli i zmieniło w coś nieco innego od tego, co pierwotnie zaplanowałem. Coraz bardziej i bardziej interesowałem się tematem, coraz bardziej oddalałem się od pierwotnego celu”. Wypada zakrzyknąć: jak to dobrze, że książki wymykają się pisarzom spod kontroli!

ZMIANA KOSTIUMÓW

Zwrot kolejny: po dyskusjach i komentarzach, jakie wywołała antyutopia, uznawana dziś za jedną z najważniejszych książek XX stulecia, Huxley zmienia kostium po raz kolejny. Teraz staje się znanym i aktywnym pacyfistą. Gorąco wspiera założoną w 1934 r. organizację Peace Pledge Union, redaguje i współtworzy „Encyklopedię pacyfizmu”, pisze eseje, broszury, przemawia na wiecach. Jednak radykalni pacyfiści (którzy często są po prostu radykalnymi lewakami) nie rozumieją jego wezwań do przemiany duchowej („ćwiczeń duchowych”), a krytycy odpowiadają na jego kolejną powieść – „Niewidomy w Gazie” (1936) – mocno zgryźliwie. Cytat z Pollera: „Większość krytyków z żalem pisała, że oto nie ma już tamtego sceptycznego, zabawnie cynicznego Huxleya, autora »W cudacznym korowodzie« i »Kontrapunktu«, bowiem – ku ich konsternacji – zastąpił go mistyczny pacyfista”.

Następna wyspa Huxleya: poszukiwania filozoficzne i duchowe stają się najważniejsze, najpełniej twórca „Kontrapunktu” realizuje się w esejach. W epilogu biografii Jake Poller podaje nam klucz kolejny. Jego zdaniem nie „Nowy wspaniały świat”, lecz późniejsze prace Huxleya są najbardziej znaczące i wpływowe.

„Filozofia wieczysta», »Drzwi percepcji« i »Wyspa« wywierały najbardziej znaczący wpływ na kulturę w dziesięcioleciach, które upłynęły od jego śmierci. Spuścizna duchowa i filozoficzna Huxleya niewątpliwie oddziałuje piętno na kontrkulturze, ruchu potencjału ludzkiego lat 60., jak też na ruchu głębokiej ekologii powstałym w latach 70., na ideologii New Age lat 80. oraz 90. czy wreszcie na orientacji, której początki datują się na lata 90., która rośnie obecnie w siłę

w naszym stuleciu i której naczelne hasło brzmi „duchowość, lecz nie religia”.

Zgoda, ale tylko do pewnego momentu, bo nieszczęsny Huxley nie miał wpływu na to, co inni zrobią z jego tezami. Jego eksperymenty z narkotykami miały prowadzić do doświadczeń duchowych, a nie do epidemii śmierci na ulicach Ameryki; przerażony był próbami umasowienia narkotyków, podczas gdy jemu samemu Allen Ginsberg, poeta beat generation, zarzucał w tych kwestiach „elitarne podejście”. Szczególnie ciekawym przypadkiem jest „Wyspa” – jedyna powieść wśród wymienionych przez Pollera trzech kluczowych książek Huxleya – która jest antytezą „Nowego wspaniałego świata”. W słynnej antyutopii widział pisarz środki farmaceutyczne jako element zniewolenia mieszkańców współczesnego piekła, w „Wyspie” narkotyk moksza jest drogą do szczęśliwości, równowagi duchowej i wyzwolenia, wraz z czymś, co możemy nazwać „supermarketem religijnym” – mieszkańcy wyspy Pali swobodnie wybierają, co chcą, i łączą, jak chcą, rozmaite elementy wszelkich wierzeń.

Pozostaje więc Aldous Huxley figurą kontrowersyjną i niejednoznaczną, ale jednocześnie trzeba się zgodzić, że figurą dla zrozumienia Zachodu w XX stuleciu kluczową. Jake Poller opowiada o nim w sposób intrygujący, nie pomijając bujnego życia erotycznego (ach, te trójkąty, zdrady i romanse intelektualnych elit). Nie zmienia to faktu, że ani barwna biografia, ani przechwycona przez jedną tylko stronę ideologicznego sporu percepcja twórczości nie mogą nam przesłaniać wielce utalentowanego pisarza, fenomenalnego erudyty i nieustraszonego poszukiwacza... czegoś więcej.

Uważał Huxley, że nie potrafi wymyślać fabuły. I że z tworzeniem bohaterów też mu za bardzo nie idzie. Jednak pytany o to, czym pisarz różni się od innych ludzi, odpowiadał pięknie: „Przed wszystkim ma potrzebę porządkowania faktów i nadawania życiu sensu. Wraz z tym pojawia się miłość do słów dla nich i pragnienie, by nimi manipulować”. Dziś to jego słowa bywają przedmiotem manipulacji.



★★★★★
JAKE POLLER
„HUXLEY.
BIOGRAFIA”
PIW 2023



FOT. MATERIAŁ PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Lot grozy



★★★★★
MINISERIA
„W POWIETRZU”
(„HIJACK”)
USA/WIELKA
BRYTANIA 2023

wyst. Idris Elba, Neil Maskell, Christine Adams

Na pokładzie samolotu lecącego z Dubaju do Londynu do akcji rusza grupa porywaczy. Jak doszło do przemycenia broni na pokład, kim są i czego żądają przestępcy (wystrzegający się jak ognia określenia „terroryści”) oraz kto może im stawić czoło? Dowiadujemy się tego z kolejnych odcinków, których akcja rozgrywa się niemal w czasie rzeczywistym – siedem godzinnych epizodów ukazuje wydarzenia z podróży, która zajmuje właśnie tyle czasu. Metoda pożyczona z serialu „24 godziny”, ale główny bohater to postać w porównaniu z agentem Bauerem mało efektowna. Sam Nelson (gra go Idris Elba) to zawodowy negocjator biznesowy,

człowiek, który potrafi uważnie słuchać, błyskawicznie wyciągać wnioski, a także, stosując siłę argumentów, rozmawiać tak, by uważnie go słuchano. Czy przechrzty porywaczy?

„W powietrzu” to thriller w starym stylu, opowiedziany i zagrany tak zręcznie, że nie zwracamy uwagi na niedoręczności. Główny przeciwnik (zleceniodawcę sprawców poznajemy dopiero w odcinku piątym) okazuje się wszechmocny jak organizatorzy złowieszczych spisków z powieści Ludluma czy Pattersona, ale to dobrze – w takich historiach im bardziej złowrogi złoczyńca, tym większe emocje. Śledzimy więc z uwagą (i czekając niecierpliwie na kolejne epizody) kolejne zakręty



akcji. Nie tylko na pokładzie samolotu, bo kluczowe okazuje się śledztwo prowadzone równocześnie na ziemi w Dubaju oraz w Londynie, gdzie do roboty zabierają się policjanci, służby specjalne i politycy. Przed tymi ostatnimi trudny wybór: czy obstawać przy tradycyjnym brytyjskim „nie negocjujemy z szantażystami” czy może zgodzić się na ustępstwa, by uratować życie 216 pasażerów.

Serial wymyślony i napisany został przez George’a Kaya, którego biegłość i pomysłowość znamy z produkcji Netflixa – od cyklu kryminalnych antologii „Criminal” do serialu „Lupin”, a także miniserii „Litwinienko”. Jednak największą gwiazdą „W powietrzu” pozostaje Idris Elba – mało który ze współczesnych aktorów jest w stanie swą charyzmą i inteligencją uwia rygodnić niemal każdą, nawet mocno naciąganą fabułę – pokazał to wcześniej w „Lutherze”, pokazuje i teraz. ©©



NOWE SERIALE: „SUPERMOCE”

Trzyczęściowa opowieść dokumentalna o historii komiksowego wydawnictwa DC, dzięki któremu pojawiły się takie postacie jak Superman, Batman, Wonder Woman czy Flash. Ciekawe i rzadko spotykane materiały archiwalne przeplatają się z komentarzem współczesnych twórców, także filmowych,

jak reżyser Patty Jenkins. Trochę zbyt ułożone i lewoskrętne, ale ciekawe. O tym zaś, co u konkurencji, opowiada w Disney+ film dokumentalny o Stanie Lee, legendzie wydawnictwa Marvel. ©© **Piotr Gociek**
• „Supermoce: Historia DC” („Superpowered: The DC Story”), USA 2023



NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- sezon 3 „Rdzenni i wściekli” („Reservation Dogs”), USA 2023
- sezon 2 „Lakers: Dynastia zwycięzców” („Winning Time: The Rise of the Lakers Dynasty”), USA 2023
- sezon 3 „Physical”, USA 2023

Idą ludzie Babilonu

skySHOWTIME

Nie wszystko, czego dotknie Damien Chazelle, zamienia się w złoto. Reżysera, który jeszcze przed czterdziestką postanowił zostać klasykiem, zgubiły pycha, sentymentalizm i nadmierna skłonność do efekciarstwa. „Babilon” jest jak ów słoń z wielkim wysiłkiem dostarczony do rezydencji hollywoodzkiego magnata. Okazał się chwilową i w sumie zbędną atrakcją imprezy. Oby ta katastrofa wyleczyła Amerykanów z wiary, że o sukcesie decydują wysokość budżetu, znane nazwiska, schlebianie mniejszościom etnicznym i seksualnym, a dopiero na końcu scenariusz. Złotą epokę fabryki snów oglądamy oczami gwiazdora w typie Clarke’a Ga-

ble’a, jego asystenta, tudzież wulgarnego dziewczęcia, które dla sławy gotowe jest sprzedać nie tylko ciało, lecz także duszę. Nad Hollywood zbierają się czarne chmury, gdyż wielu jankesów ma dość tolerowania sodomy i żąda „moralnej rozrywki”. Pod względem muzycznym u Chazella jak



★★★★★
REŻ. DAMIEN CHAZELLE
„BABILON”
 („BABYLON”)
USA 2022

wyst. Brad Pitt,
Margot Robbie,
Diego Calva

zwykle wszystko gra. Kilka scen (z dublami, grzechotnikiem i kręceniem filmów na pustyni) wymiata, jednak całość słabo się klei. Wątek miłosny to porażka, Robbie jest do bólu współczesna, Pitt, nawet dobrze dysponowany, sam 190-minutowej kobyły nie uciągnie. Na odtrutkę polecam „Bulwar zachodzące słońca” Wildera. To było kino! ☺☺

Wiesław Chełminiak



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

DRUGA SZANSA

KINO

Samobójcy. Czy zmieniliby zdanie, gdyby dać im dodatkowy tydzień na podjęcie decyzji? Czy wizyta na własnym pogrzebie, ujrzanie reakcji bliskich, rzut oka na przyszłość, której się pozbawili, mogłyby przywrócić desperatom apetyt na życie? Paolo Genovese przed pięcioma laty napisał o tym powieść, teraz ją zekranizował – w stylu świadczącym, że wraca do dobrej formy. Oby na dłużej. Z czworga podopiecznych anioła bez skrzydeł najbardziej interesującym przypadkiem jest Napoleone, uznany psychoterapeuta zmagający się z ciężką depresją. Taki nowoczesny odpowiednik szewca, który sam bez butów chodzi. Z ostatnich badań wynika, że tylko połowa Włochów jest zadowolona z życia (europejska średnia to 62 proc.). Zabawne, zważywszy na powszechną opinię, że Italia to raj na ziemi. Nie cieszymy się jednak z cudzych kłopotów: tatusiowie traktujący dzieci jak maszyny do zarabiania pieniędzy są wszędzie. ☺☺



★★★★★
REŻ. PAOLO GENOVESE
„PIERWSZY DZIEŃ
MOJEGO ŻYCIA”
WŁOCHY 2022

wyst. Krzysztof Majchrzak, Anna Seniuk,
Joanna Sienkiewicz

POLOWANIE NA KOBIETY

arte

„Robię filmy, których nikt inny robić nie chce” – deklarował Jean-Pierre Mocky, niepoprawny anarchista i prowokator. Arte przypomina pięć z nich. Polecam debiutanckich „Podrywaczy”, z których wynika, że Francuzi mało się zmienili od czasu, gdy Choderlos de Laclos pisał „Niebezpieczne związki”. Główny bohater jeździ kabrioletem i pozuje na casanovę, lecz w głębi duszy wierzy w miłość i liczy, że w jego życiu pojawi się księżniczka z bajki. Litując się nad przypadkowo poznanym fajtą, demonstruje mu techniki skutecznego uwodzenia panien oraz mężatek. Paryżanki nie są jednak aż tak łatwe i bezbronne, jak chcieliby myśliwi. Brak czujności może skutkować romansem z profesjonalistką, małolatą, szukającą przygód cudzoziemką, zbłądowaną burzą lub dziewczyną, która oczekuje od mężczyzny szczerości. ☺☺



★★★★★
REŻ. JEAN-PIERRE MOCKY
„PODRYWACZE”
 („LES DRAGUEURS”)
FRANCJA 1959

wyst. Jacques Charrier, Charles Aznavour,
Belinda Lee

Wiesław Chełminiak

GRA TYGODNIA: „ALIEN DARK DESCENT”

Gier z Obcym ukazuje się stanowczo za mało, tym bardziej warto skierować wzrok na tę produkcję. Taktyczna strzelanka od niezależnego francuskiego studia Tindalos Interactive, które nie ma na koncie nic wybijającego się powyżej średnią,

trzyma klimat znany z filmów, a przy tym serwuje nam całkiem zgrabną fabułę i satysfakcjonującą naparzanek w momentach, gdy złowiesz ciszę przerywa dramatyczne spotkanie. Dodajmy do tego AI trzymające poziom i dość wysoko zawieszoną poprzeczkę



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

trudności, a otrzymamy naprawdę solidny tytuł. ☺☺

Radosław Wojtas

• Gatunek: akcji, taktyczna
• Platforma: PS5, PS4, XSX, XONE, PC
• Producent, dystrybutor PL:
Tindalos Interactive, Cenega S.A.



KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Klątwa Tymona z Aten

Zainteresowania Shakespeare'a starożytnością wzięły się jego dramaty nawiązujące wprost do historii i mitologii Grecji i Rzymu. Jest ich osiem, wszystkie zostały teraz przełożone przez Antoniego Libere, a po dramatach rzymskich ukazał się obecnie tom z dwoma dramatami greckimi: „Troilusem i Kresydą” oraz „Tymonem z Aten”.

O ile ten pierwszy, będący polemiką z Homerowską wizją wojny trojańskiej czy wręcz jej parodią, nie budzi przesyadłego zachwyty, może dlatego, że nazbyt utrwalone mamy wizerunki takich herosów jak Achilles czy Nestor, o tyle historia Tymona z Aten dostarcza nam skojarzeń aż nadto współczesnych. Oto rozpływający się w pochlebstwach fałszywych przyjaciół protagonista nie dostrzega, że nieuchronnie zbliża się jego upadek. Widzi to wyraźnie filozof Apemantus, nie wiadomo, czy bardziej mędrzec czy imperytent: „Dziś przed nim tańczą, jutro go zadepczą. // Ludzie czczą słońce, póki w górze lśni. / Lecz gdy zachodzi, zamykają drzwi”.

Tymona spotyka niesprawiedliwość, podobnie jak Alcybiadesa, wodza i żołnierza: „Wściekłość mnie bierze! Kiedy ja walczyłem / Z wrogami Grecji, zaliczając ciosy / I licząc rany, oni tu liczyl / Zyski z pożyczek i pokątnych usług! // I co mam teraz z tego? Jaką korzyść? / Ten oto balsam, który ci lichwiarze / Leją na blizny żołnierza – wygnanie!”.

Alcybiades nie znajduje jednak w Tymonie sojusznika, który nie tylko Ateńczykom, lecz także jemu życzy jak najgorzej, a to „za to, że choć występujesz / Przeciwno łotrom, to jednak zarazem / Przeciwno mojej – i własnej – ojczyźnie”.

Niepojąco współcześnie brzmią szekspirowskie frazy i to tu i teraz – w roku 2023. A gdzie? Choćby i w Polsce. Dość posłuchać takich wywodów z „Tymona z Aten”: „Dzisiaj obietnica to podstawowe narzędzie działania. Wprost elementarz: dać komuś nadzieję. A czy nadzieja ta będzie spełniona, to już rzecz inna i mało ciekawa. Kto zresztą o to dba? Kto się przejmuję? Danego słowa dotrzymują tylko ograniczeni prostacy i głupcy.

Dziś obiecywać to płynąć na fali, znać obyczaje i mieć dobry gust. Natomiast dotrzymać obietnicy to jakby wykonywać czyjś testament, czyli się błażnić, a nawet i gorzej: zdradzać objawy choroby umysłu”.

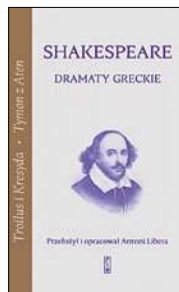
Wreszcie mamy w tej sztuce wspaniały monolog, jeden z najznakomitszych, które wyszły spod ręki Shakespeare'a, zbyt długi, by przytoczyć go tu w całości, ale nie mogą się oprzeć pokusie, by zacytować też wcale niemały jego fragment. Taką to klątwę rzuca Atenom Tymon:

*O mury miasta, które osłaniacie
To stado wilków, rozsypcie się w proch!
Nie chrońcie dłużej Aten, nie ma sensu.
Nobliwie panie, porzućcie zasady
I się oddajcie bezwstydną rozpucie!
Dzieci, wymówcie posłuszeństwo starszym!
Ciemna hołota, wtargnij do senatu
I przegoniwszy z jego ław starszyznę,
Sama w nich zasiądź i obejmij rząd!
Słodkie panienki, nie krępujcie się:
Na oczach matek zaczynajcie się puszcząć.
Tonący w długach, zamiast spłacać je,
Chwyćcie po prostu za kuchenne noże
I poderżnijcie gardła wierzycielom!
Słudzy i niewolnicy, grabcie panów:
Oni też grabią, tylko w większej skali
I oczywiście w majestacie prawa.
Idź, pokojówka, do sypialni pana
I zrób mu dobrze, gdy jego małżonka
Akurat bawi w pobliskim burdelu.*

*Krewki młokosie, wyrwij ojcu szczudła,
Którymi w swym kalectwie się podpiera,
I łeb mu rozwal, tak by mózg wystąpił.
Niech wszelka bojaźń, pobożność, kult
bogów,
Ład, sprawiedliwość, prawda, mir domowy,
Dobre sąsiedztwo i spokojny sen,
A wreszcie edukacja, obyczaje,
Prawo, hierarchia, obrzędy i święta –
Niech się to wszystko załamie i zmieni
We własne przeciwieństwo – w skrajny
chaos!*

Nieco dziwi to, że te przełożone teraz na nowo przez Antoniego Libere greckie dramaty Shakespeare'a, szczególnie może „Tymon z Aten”, tak rzadko trafiały na scenę. A przecież „Tymon...” – co podkreśla Libera w przedmowie – współbrzmiał z powstałym w tym samym czasie (1605–1606) sławnym „Królem Learem”, tyle że „Lear» utrzymany jest w tonacji wybitnie tragicznej, a »Tymon« – w quasi-komediowej lub zjadliwie szyderczej. W obu wypadkach mamy do czynienia ze zjawiskiem niewdzięczności i okrucieństwa bliskich i w obu motyw »jedynego sprawiedliwego« [...]. W obu wypadkach wreszcie pobrzmiwa ton bezgranicznego zwątpienia w ludzkie wartości i jakikolwiek sens owego »najlepszego ze światów«”.

Autor nowego przekładu powiada, że dokonał go głównie z myślą o twórcach teatru, o aktorach. Zanim jednak zobaczymy na scenie odnowionego „Tymona z Aten”, przeżyjmy radość z obcowania z dramatami Shakespeare'a napisanymi tak, „jak mówi się obecnie, ale zarazem językiem niepospolitym, »wysokim«”. A po wydanych w tej samej edycji dwóch tomach dramatów rzymskich czekamy na jeszcze jeden tom dramatów greckich, z „Peryklem” i „Cymbelinem”. ©©



★★★★★
SHAKESPEARE
„DRAMATY
GRECKIE”
PIW, WARSZAWA
2023



PIOTR GOCIEŁ

POCZYTANKI

Dusza ciemna

Gdyby książka „Niejasne spektakle” była importem z Zachodu, ukazałaby się zapewne w jakimś wydawnictwie cenionym i chwalonym za promowanie ambitnej, wysmakowanej literatury. Mogę sobie nawet wyobrazić pochwalne rekomendacje na skrzydełkach okładek: dałoby się pewnie do tego bez trudu namówić paru tęgich pisarzy, bo proza jest to, moim zdaniem, wyśmienita.

Niestety, Dawid Kain jest dotknięty klątwą. Ta klątwa nazywa się „dziedzictwo”. Zwykle bowiem bywa tak, że kiedy ktoś zaczynał w gatunku tak nie lubianym przez mainstream i salony jak horror, ma dużą szansę na to, że do końca życia będzie traktowany jak trędowaty. Chyba że odpowiednio szybko – i z odpowiednio wielkim entuzjazmem czytelników – przejdzie do pisania rzeczy łatwiejszych do zaakceptowania. Tak przenieśli się Anna Kańtoch z krainy fantastyki do świata kryminału (właściwie powieści psychologiczno-kryminalnych) i Łukasz Orbitowski ze świata horroru do krainy powieści mainstreamowej.

Dawid Kain, weteran i jeden z pierwszych twórców polskiego horroru, pozostał sobą i nadal pisze rzeczy bardzo mroczne i drażniące. A jednocześnie zaszła u niego fascy-

nująca ewolucja (nie mówiąc o tym, że i warsztat ma coraz lepszy), bo choć są w „Niejasnych spektaklach” sceny szokujące, to nie mam wątpliwości, że terytorium literatury grozy już opuścił. Opowiadania zebrane w tym niewielkim tomiku to najwyższej próby proza psychologiczna, szarpiąca nerwy nie tym, że czasem o sprawach krwawych, ale brutalną szczerością i wnikliwą wiedzą na temat ciemnych zakamarków ludzkiej duszy.

Korzenie tej prozy tkwią w literaturze grozy, ale przypomina mi też ona niektóre opowiadania J.G. Ballard’a, „Małe ręczki” André’a Barbry czy perełki nowelistyki hiszpańskiej Carmen Machado. Gdyby ktoś miał się zabrać do ekranizacji tych tekstów, pasowałoby David Cronenberg albo David Lynch. Ten pierwszy ze skłonnością do body horroru, ten drugi z wizją kina jako snu, wędrówki przez sekrety podświadomości. Nie podejmę się streścić

składowików concept albumu, którym jest zbiorek czterech powiązanych podobnymi motywami opowiadań „Niejasne spektakle”, mogę tylko zachęcić do ich przeczytania. A tym, którzy nie zauważają w Dawidzie Kainie ważnego głosu w polskiej literaturze współczesnej, odpowiem, że robią to ze szkodą dla siebie i dla niej. ©©



★★★★★
DAWID KAIN
„NIEJASNE
SPIEKTAKLE”
WYDAWNICTWO
IX 2023

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Ciąg dalszy tzw. tajnego dziennika („Nadawanie” i „Pogorszenie” obejmują zapiski z lat 1978–1983, czyli aż do śmierci poety). Tom uzupełniają listy pisane na oddziale reanimacji Szpitala Grochowskiego.



MIRON
BIAŁOSZEWSKI
„UTWORY
ZEBRANE”,
TOM 16
PIW

O tęsknocie za Bogiem we współczesnej popkulturze i o tym, kiedy (oraz jak) kultura wyczerpania zaczyna wracać do nadprzyrodzoneści. Czy katolicyzm jest dziś ruchem kontrkulturowym?



MICHAŁ
GOŁĘBIEWSKI
„SŁODKA ZIEMIA”
WYDAWNICTWO
BENEDYKTYNÓW
TYNIEC

Współczesna baśń, w której główną rolę odgrywają Morze Azowskie i syreny, list miłosny młodej pisarki do tego, co najpiękniejsze w jej ojczyźnie. Edycja dwujęzyczna, polsko-ukraińska.



OKSANA USENKO
„CÓRKA AZRAI”
ODESFA

Czwarty zbiór prac filmoznawczych pod redakcją Piotra Kletowskiego, m.in. szkice o francuskim kryminale i filmach płaszcza i szpady, a także o nazistach w kinie B-klasowym i watakach naziejęzycznych.

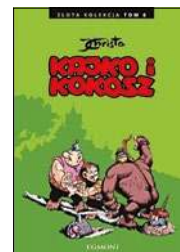
recenzuje Piotr Gocieł



AUTORZY RÓŻNI
„EUROPEJSKIE
KINO
GATUNKÓW”
WYDAWNICTWO
UJ

KOMIKS TYGODNIA: „ZŁOTA KOLEKCJA. KAJKO I KOKOSZ”

Szesty tom zamyka najbardziej imponującą edycję kolekcjonerską w dziejach polskiego komiksu – wspaniały hołd dla geniusza, którym był Janusz Christa. Oprócz czterech albumów (m.in. „Dzień Śmiechały”, „Srebrny denar” czy „Mirmil w opałach”) mamy tu dwa kalendarze z Kajkiem i Kokoszem



JANUSZ CHRISTA
„ZŁOTA KOLEKCJA.
KAJKO I KOKOSZ”,
TOM 6
EGMONT 2023

oraz unikatowe dodatki, w tym scenariusze oraz materiały z niezrealizowanych filmów animowanych.

Piotr Gocieł



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Przebudzeni

Na opowieść o początkach renesansu, którą jest wystawa „Przebudzeni. Ruiny antyku i narodziny włoskiego renesansu”, składa się ponad 160 – także rzadko podróżujących – eksponatów wypożyczonych z instytucji (w tym Gallerii Uffizi we Florencji, Luwru, Muzeum Brytyjskiego) i kolekcji prywatnych. Jak podkreślają organizatorzy, jest to pierwsza w Polsce wystawa,

która zgłębia temat w sposób tak gruntowny i z udostępnieniem tylu cennych dzieł – rzeźb, malarstwa, rysunków i grafik – antyku i wczesnego renesansu.

Wśród twórców takie nazwiska, jak Pietro Perugino, Giovanni Bellini, Sandro Botticelli, Donato Bramante, Andrea Mantegna czy Andrea del Verrocchio. „Tematem ekspozycji jest rola, jaką w sztuce wczesnego renesansu odegrała fascynacja okrucami świata antycznego [...]. Opowieść utrzymać jest w konwencji sennej wizji – kolejne prezentowane zagadnienia łączą się ze sobą na zasadzie ciągu onirycznych skojarzeń” – piszą autorzy wystawy. ©©

GDZIE? Zamek Królewski w Warszawie

KIEDY? do 15 października



FOT. ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE



FOT. ALCIA FERNOWICZ/MPWS

DAROWANE SKARBY

Wystawa jest ukłonem w stronę darczyńców Muzeum J. Piłsudskiego w Sulejówku. Jest za co dziękować – podarowanych placówce przedmiotów jest ponad 10 tys., co stanowi prawie trzecią część całej kolekcji! Na ekspozycję składa się 140 przedmiotów wyselekcjonowanych tak, by „pokazać ich różnorodność, piękno, a także wytłumaczyć, na czym polega ich wartość – z punktu widzenia Darczyńców, Muzeum i zwiedzających”. ©©

GDZIE? Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku

KIEDY? do 3 grudnia

NA SŁUCH

Dojrzałe rozmyślenia



GRZEGORZ BRZozowicz

Po 30 latach od wydania debiutanckiego albumu powraca po ośmioletniej przerwie czołowy przedstawiciel brit popu. W otwierającej album „Th Ballad” Damon Albarn śpiewa: „Straciliśmy uczucie, którego myśleliśmy, że nigdy nie stracimy”. Zapewne te słowa dotyczą początku milenium, kiedy doszło do rozłamu w zespole. „The Ballad of Darren” jest niewątpliwie płytą, na którą fani zbyt długo czekali. Jedyne dwa studyjne albumy wydane w tym wieku były mocno rozczarowujące.

Na „The Ballad of Darren” znalazły się kompozycje, które Albarn napisał przed rokiem podczas trasy koncertowej z Gorillaz. James Ford, producent, który pracował z Arctic Monkeys, Florence and the

Machine i Gorillaz, postawił na ich lounge’owy wymiar, nadając płycie bardzo melancholijny charakter. Jedyne wyjątkiem jest „St. Charles Square”, którą rozpoczynają gitarowa lawina i stek wulgaryzmów. Teksty Albarna koncentrują się na utraconych przyjaźniach czy porzuconych miejscach, co można odczytać albo jako żałobę po osobistej stracie, albo jako medytację nad postpandemicznym światem. Piosenki nie popadają w tani sentymentalizm. Wrażenie robią gitarowe pasaże, którymi Graham Coxon ozdabia poszczególne utwory. W rezultacie otrzymaliśmy niesztampowy, zniuansowany album, który nie zmienia świata, ale może sprowokować do spotkań z samym sobą. ©©



★★★★★
BLUR
„THE BALLAD OF DARREN”
PARLOPHONE



★★★★★
GRETA VAN FLEET
„STARCATCHER”
EMI

Chcieli być współczesnymi Led Zeppelin.

Początki były obiecujące, ale z każdym kolejnym albumem Greta blaknie. Nawet okładka „czwórki” przybrała barwę chłodnej bieli. Oczywiście jest głośno, są bluesowe odniesienia i Josh Kiszka zdiera gardło, ale pasji w tym mało.



★★★★★
GOV'T MULE
„PEACE... LIKE A RIVER”
CONCORD

Założeniem było nagranie albumu, który mógłby powstać w latach 70. Rozbudowane kompozycje ze smakiem nawiązują do Doorsów, Floydów czy Neila Younga. Plejada gości (m.in. Billy Gibbons, Ivan Neville, Billy Bob Thornton) dodaje blasku. Dla wybrednych fanów klasyki rocka.



Krzysztof Masłowski

Lato w pełni, ale już przebieramy nogami, myśląc o nadchodzącym wydarzeniu. Nie, nie chodzi o jakieś tam wybory, ale o nowe powakacyjne ramówki telewizyjne, nad którymi pracujemy, aż miło. Co nie znaczy, byśmy jeszcze przed nadaniem im ostatecznego kształtu nie wtrącili swoich trzech groszy.

I tak w ramach trwającego nieustannie na wszystkich antenach przeglądu wciąż tych samych ramot filmowych, serwowanych bez ładu i składu, bo nikomu nie chce się już nawet anonować „Perła z lamusa”, wyznać „Kocham kino” czy choćby informacji „W starym kinie”, w związku z nadchodzącym gorącym sezonem proponujemy cykl „Z ekranu po władzę”. A w nim oczywiście „Zabójców” z Ronaldem Reaganem, „Terminatora” ze Schwarzeneggerem, a jak kto się uprze, to i „Brudnego Harry’ego”, bo w końcu był Clint Eastwood burmistrzem kalifornijskiego Carmelu. Poza amerykańskimi pewniakami łapałby się tutaj obecny prezydent Ukrainy, który nie tylko był „Sługą narodu”, lecz także swój talent aktorski ukazał w niewielkich wprawdzie, ale zawsze rolach w takich, zdecydowanie niedostatecznie spopularyzowanych, produkcjach jak „Rzewski kontra Napoleon” czy komediach romantycznych „Miłość w wielkim mieście” albo „8 pierwszych randek”. Sęk w tym, że są to obrazy rosyjskojęzyczne, ale można przecież posłużyć się dubbingiem, podobnie jak sam Wołodymyr Zełenski użyczający głosu misiowi Paddingtonowi. Misia również można wziąć pod uwagę przy planowaniu cyklu.



Zbigniew Buczkowski w obyczajowym serialu „Lombard. Życie pod zastaw” FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Życiowa szansa Ryżego

Jeśli chodzi o wkład rodzimych polityków w rozwój sztuki filmowej, to niepodobna przegapić aktorskich dokonań Pawła Kukiza, nie tylko w „Girl Guide” Juliusza Machulskiego, lecz także w „Poniedziałku” i „Wtorku” Wiktora Adamka. Nie przeceniałbym natomiast znaczenia kreacji Lecha Wałęsy w „Człowieku z żelaza”, choć sam zainteresowany uważa zapewne, że to on załatwił Wajdzie Złotą Palmę w Cannes. Nawiasem mówiąc, dziwię się, że na Wiertniczej nie zaferowano jeszcze eksprezydentowi opowiadania „Bajek dla dorosłych”. Dawno temu, bo jeszcze w latach 70., ogromny sukces odniosły takie „Bajki...”, których narratorem był niezapomniany Jan Kobuszewski, a grywali w nich Lech Ordon, Mieczysław Pawlikowski czy Kazimierz Wichniarz. Kto dzisiaj mógłby się wcielić w postaci królów lub marszałków dworu, tego nie wiem, ale Lech Wałęsa snujący śmoje-boje byłby gwarantem powodzenia takiego przedsięwzięcia, bo to przecież człowiek wielu talentów. Gdyby jednak

nasz pokojowy noblista nie zdecydował się na ten jeszcze jeden życiowy spektakl, w rezerwie pozostaje Bronisław Komorowski. Było nie było, człowiek z tej samej bajki.

Telewizja publiczna pokazać mogłaby swój lwi pazur nie tylko w folklorystyczno-biesiadnych wędrownkach „Z Kolbergiem po kraju”, lecz także m.in. w dydaktycznych programach dla młodzieży „I ty zostaniesz demaskatorem” czy nieocenionej poznawczo i jakże atrakcyjnej serii eventów rozrywkowych opatrzonych hasłem „Protoplaści rock’n’rolla”, naturalnie z Trubadurami w roli głównej. Oczywiście też wydają się pożytki, jakie płynęłyby z programów zrealizowanych wspólnie z policyjną drogówką i Polskimi Kolejami Państwowymi, prowadzonych przez duet minister Adamczyk i nosorożec Rogatek. Ten pierwszy otwierałby, dajmy na to co tydzień, zapuszczoną w latach rządów słusznie minionych bocznice kolejową, przecinał wstęgę i wygłaszał

okolicznościowy speech, a drugi przestrzegałby przed wyrzucaniem papierków od cukierków przez okna wagonów, że o butelkach nie wspomnę.

Generalnie nowe ramówki powinny umiejętnie łączyć nowe ze starym. Niczego przecież nie lubimy tak bardzo jak tego, co znamy dobrze, a nawet aż za dobrze, co nie znaczy jednak, że nie wypatrujemy tęsknie niespodzianek. Nie jestem pewien, ale jakiś płodzmian przydałby się chyba redaktorowi Brzózce Radosławowi, który już prawie cztery lata prowadzi „Grę słów. Krzyżówkę” i mógłby, w trosce o zdrowie psychiczne, swoje i cudze, zabrać się do „Kółka i krzyżyka”. Jasne, że taki teleturniej był już ponad pół wieku temu, ale co to za argument! „Va banque” też reaktywowano po 17 latach i proszę, jak sobie dzielnie w nim i z nim poczynają redaktor Babiarsz Przemysław. Wydaje się zresztą, że nadchodzi pora, by znów objawiła się na szklanym ekranie „Wielka gra”, której próżno wypatrują odbiorcy 70+, a to, ośmielał się zauważyć, sól ziemi, to znaczy telewizyjni, naszej.

Nie doceniamy znaczenia zmian niewielkich co prawda, ale jakże doniosłych. Na przykład w przeboju Telewizji Puls, którym jest, jakby ktoś nie wiedział, obyczajowy serial „Lombard. Życie pod zastaw” z niezniszczalnym Zbigniewem Buczkowskim w roli wiodącej, 13. sezon okaże się wcale nie pechowy, a – aż trudno uwierzyć – przed nową życiową szansą stanie w nim nie kto inny, jak sam Ryż! „Lombard” to w ogóle mocna rzecz: gościli w nim w końcu i Wanda bez Bandy, i Michael Wiśniewski, a nawet Zenek Martyniuk. Ale kto to Ryż? – zapyta ktoś. Jak to kto? Gangster, jak każdy Ryży. ©



Jan Parys

Biden wygrywa rywalizację z Rosją, ale po raz pierwszy od 1945 r. USA przegrywają w Europie. W tym kontekście wybory w Polsce stają się bardzo ważne globalnie

Ameryka weszła w drugą wojnę światową, by Europa nie była kontynentem zdominowanym przez Niemcy i by zapobiec budowie wrogiego imperium.

W zimną wojnę weszła, by zapobiec zdominowaniu Europy przez Związek Sowiecki i by zapobiec powstaniu wrogiej wobec USA potęgi militarno-gospodarczej.

W lutym 2022 r. USA postanowiły zatrzymać ekspansję militarną Rosji, by zatrzymać dążenia Putina do odbudowy wpływów ZSRS w Europie.

W każdym z tych przypadków politycy USA mieli świadomość, że walczą nie tylko o wolność i o sprawiedliwość. Chodziło także o to, że jeżeli na kontynencie europejskim nie ma wpływów amerykańskich, to pojawiają się inne wpływy. Życie polityczne nie znosi bowiem próżni. Nie jest prawdą, że Europa w sensie geopolitycznym to zbiór 44 pojedynczych państw. Od wieków pojawiają się bowiem próby zdominowania kontynentu albo przez Niemcy, albo przez Rosję. W żadnym z tych przypadków nie są to inicjatywy pokojowe ani życzliwe dla Ameryki.

Obecna sytuacja na świecie jest determinowana przez wyzwanie, jakim dla USA są Chiny. Tej rywalizacji Ameryka sama nie wygra. Tylko zjednoczony Zachód może wspólnie utrzymać dotychczasową pozycję na świecie.

Niektórzy dyplomaci USA byli przekonani, że to dobrze, iż ZSRS trwa, bo dzięki temu na wielkim obszarze panuje porządek, a oni nie muszą rozmawiać z wieloma państwami. Wystarczy dogadać się w Moskwie i problemy znikają. Kreml dopilnuje sytuacji w swoich republikach. Również na Europę niektórzy amerykańscy politycy patrzą podobnie.



Jak Biden traci Europę



FOT. ALEX WONG/GETTY IMAGES

cze wzmacnianie państw flanki wschodniej NATO.

Pierwszy rok urzędowania prezydenta Bidena był to czas odwrótu od polityki z lat 2017–2020, czyli wejście w politykę prorosyjską i proniemiecką. Spotkanie Bidena z Putinem w Genewie w 2021 r. było wielką ofertą kooperacji z Rosją. Wizyta Merkel w Waszyngtonie latem 2021 r. była przyjęciem warunków postawionych przez Niemcy.

Dopiero ultimatum rosyjskie z grudnia 2021 r. spowodowało, że w Waszyngtonie zapanowało przerażenie. Zdano sobie sprawę, że bierność patrzenia na ambicje innych państw oznacza, iż USA tracą znaczenie, a w tę próżnię wchodzi inne wpływy. W Ameryce postanowiono nie oglądać się na polityków, którzy są zwolennikami układów z Rosją za każdą cenę. Ukraina dostaje pomoc wojskową ze strony USA od pierwszego dnia rosyjskiej agresji, niezależnie od tego, czy to podoba się w Berlinie i Paryżu. Politycy amerykańscy przekonali się, że polityka obrony przed rosyjską ekspansją może liczyć głównie na poparcie państw flanki wschodniej NATO.

Tak zwana stara Europa Zachodnia okazała się powiązana z Rosją tyloma interesami, że w obliczu rosyjskiej agresji na Ukrainę znalazła się w politycznym paraliżu. Zatem reakcja na rosyjską agresję stała się doświadczeniem, które zweryfikowało, kto realnie jest sojusznikiem USA w Europie. Bo w czasie wojny nie liczą się słowa, lecz działania. Nie ma wątpliwości, które państwa od pierwszych dni rosyjskiej agresji faktycznie wsparły USA w udzielaniu pomocy militarnej Ukrainie, a które państwa czekały, aż Rosja zwycięży.

Wiele wskazuje na to, że po prawie półtora roku wojny na Ukrainie Ameryka odniosła sukces. Po pierwsze, Ukraina mimo utraty kilkunastu procent terytorium obroniła swoją suwerenność państwową. Po drugie, Rosja straciła połowę swego potencjału konwencjonalnego, a USA nie straciły żadnego ze swoich żołnierzy, wydając na to 10 proc. swego rocznego budżetu militarnego. Po trzecie, Rosja znalazła się w izolacji politycznej i w gospodarczej zapaści. Na wiele lat przestała się liczyć jako gracz globalny. Po czwarte, brak rosyjskich sukcesów militarnych na Ukrainie sprzyja temu, by Putina na Kremlu zastąpił ktoś nowy, kto

zechce przerwać bezsensowną wojnę, a zajmie się odbudową gospodarki i zrezygnuje z polityki imperialnej. Pełen sukces geopolityczny Bidena w rywalizacji z Rosją jest bardzo blisko.

NIEMIECKI KURS

Natomiast zupełnie inaczej wyglądają relacje amerykańsko-europejskie. Można mieć wrażenie, że USA wygrywają z Rosją, ale tracą Europę. Ameryka patrzy biernie i nie rozumie, że w Unii Europejskiej Niemcy budują swoje imperium. UE ma być przekształcona w superpaństwo pod niemiecką kontrolą. Ostatnie 30 lat pokazało, że polityka niemiecka nie służy temu, by budować jedność Zachodu, czyli USA i Europy. Niemieccy dyplomaci od wielu lat mają zakaz używania słowa „Zachód”. Muszą używać innych słów, które podkreślają różnice – wolno im mówić jedynie osobno o USA i o Unii Europejskiej. Cały czas obowiązuje ich dyrektywa z okresu kanclerz Merkel. Wynika z niej, że niemieckim politykom nie wolno podejmować żadnych kroków, które naruszałby interesy Rosji na świecie. Jeżeli dochodzi do takich decyzji w NATO lub w Unii Europejskiej, to przedstawiciele Niemiec mają obowiązek takie decyzje opóźniać i łagodzić.

Niemiecka krytyka rosyjskiej ekspansji militarnej jest zjawiskiem tymczasowym i werbalnym. Cały czas politycy niemieccy liczą na to, że rosyjski imperializm to chwilowy incydent, po którym wrócą czasy kooperacji. I znów będzie można wzmacniać relacje z Rosją, by budować przeciwwagę dla potęgi USA. Dla polityków niemieckich kooperacja ze słabą Rosją jest po prostu wygodniejsza i bardziej opłacalna niż kooperacja z silną Ameryką. USA mają jedynie zapewnić Unii Europejskiej darmowy parasol militarny. Stanowisko rządu Niemiec wobec zagrożenia ze strony Chin jest także zupełnie inne niż USA. Dla Niemiec Chiny pozostają niezastąpionym rynkiem zbytu i koniecznym producentem podzespołów dla niemieckiego przemysłu.

CO Z NATO?

Przyjęcie przez prezydenta USA pani von der Leyen i obietnica, że zostanie szefem NATO, nie jest jedynie rozszadą personalną i ukłonem wobec płci pięknej. Wszyscy wiedzą, że była ona

Gdzie jest telefon do Europy? – pytał publicznie Henry Kissinger. Pokusa, by był jeden lider w Europie, to marzenie wielu leniwych dyplomatów w USA. Ta pokusa oznacza, że Amerykanie szukają namiestnika, który by w imieniu Stanów Zjednoczonych pilnował porządku w Europie.

CZAS ODWROTU

Ostatnie lata w Unii Europejskiej to czas, w którym liderzy z Francji i z Niemiec prowadzą politykę przyspieszonej integracji – czyli budowę europejskiego superpaństwa. Te dążenia do centralizacji władzy mają jeden cel: rozbić jedność Zachodu i doprowadzenie do uniezależnienia Europy od USA. Zatem nie przyświeca im wola kooperacji z Ameryką. Stosunki gospodarcze Unii Europejskiej najpierw z Rosją, a teraz z Chinami mają być narzędziem do walki z wpływami politycznymi USA w Europie.

Administracja republikańska w latach 2017–2020 przejrzała tę grę liderów z Francji i Niemiec. Dlatego wróciła do budowy tarczy antyrakietowej w Europie Środkowej. Stąd też decyzja o stacjonowaniu wojsk USA w Polsce od 2017 r., a także decyzja o zaangażowaniu się USA w budowę Trójmorza, czyli w gospodar-

■ najgorszym ministrem obrony w historii RFN. Pozostawiła Bundeswehrę w stanie rozbrojenia i zacofania. Zatem żadnych prawdziwych kwalifikacji jako szef sojuszu nie posiada. Jako szefowa Komisji Europejskiej jest ślepym wykonawcą woli polityków z Berlina. Obietnica Bidena to zatem decyzja o dużym znaczeniu geopolitycznym. W Europie ta zapowiedź została odczytana jako akceptacja dla niemieckiej hegemonii w Europie. Jest to także zgoda na to, by sojusz przestał bronić Europy przed Rosją, a stał się narzędziem nowej polityki ugody z Rosją. Ten, kto zna prorosyjskie nastawienie niemieckiej klasy politycznej, wie, co oznacza Niemiec na czele NATO. Siła obronna sojuszu zostanie sparaliżowana. Niemcy mają największy potencjał gospodarczy w Europie, ale od wielu lat nie wydają na obronę kwot minimalnych – 2 proc. swego budżetu. Jak zatem mają prowadzić skuteczną politykę obronną Zachodu?

nie ułatwi to USA rywalizacji z Chinami. Zatem wspieranie hegemonii niemieckiej w Europie osłabia także pozycję USA wobec Chin.

WAŻNE SĄ WYBORY W POLSCE

Niedługo odbędą się wybory parlamentarne w Polsce. Jeżeli obecny proamerykański rząd nie utrzyma swej pozycji na kolejną trzecią kadencję, to w Warszawie nastąpi nie tylko zmiana personalna, lecz także geopolityczna. Obecnie główna siła opozycyjna w Polsce to ugrupowanie uzależnione całkowicie od polityków z Berlina. Jego celem jest budowa silnych wpływów niemieckich w Europie. To oznacza, że Polska w najbliższych latach zacznie prowadzić taką politykę zagraniczną jak Niemcy, czyli dystansowania się od USA. Wróć do władzy ci, którzy blokowali budowę tarczy antyrakietowej, ci, którzy organizowali kooperacje wojskową i wywia-

Zatem ostatnie lata to operacje hybrydowe wymierzone w Polskę z dwóch stron – ze strony Rosji i ze strony Niemiec. Oba państwom zależy na tym, by Polska była państwem słabym. Niemcy ignorują to, że bez silnej Polski nie da się obronić wschodniej flanki Europy. Dla polityków w Berlinie chęć zniewolenia Polski jest silniejsza niż wola obrony Europy.

Bagatelizowanie działań hybrydowych jest dowodem na brak zdolności do strategicznego myślenia. Działania te są rodzajem wojny. Jest to rodzaj wojny przeciwko państwu, to rodzaj wojny zastępczej, ale cel jest ten sam – podporządkowanie sobie atakowanego kraju. Mają sprowadzić nasz kraj do roli wykonawcy oczekiwań agresora hybrydowego. Działania takie jak: presja migracyjna na naszą granicę wschodnią organizowana na polecenie Kremla przez Białoruś; blokada funduszy z KPO przez KE; wnioski o zamknięcie kopalni i wyrok TSUE w sprawie kopalni Turów, by zatrzymać część polskiej energetyki i polskiego przemysłu; niemiecka blokada regulacji drogi wodnej na Odrze; blokowanie budowy portu kontenerowego w Świnoujściu przez władze niemieckie; kampania w Niemczech na rzecz wygrania wyborów przez proniemiecką opozycję; wsparcie opozycji przez przewodniczącą Komisji Europejskiej; atakowanie ugrupowań rządzących w Polsce przez Europejską Partię Ludową to przykłady operacji hybrydowych, które oznaczają stan wojny z Polską, tyle że na razie są prowadzone za pomocą narzędzi pozamilitarnych.

Żadne sukcesy gospodarcze i polityczne nie wystarczą, by utrzymać władzę, gdy rząd podlega atakom międzynarodowym dwóch silniejszych państw. Żaden rząd bez pomocy sojuszników nie wytrzyma tylu lat wojny hybrydowej, którą od ośmiu lat z Polską prowadzą Niemcy, a od trzech lat Rosja.

W tej sytuacji nic dziwnego, że w Warszawie panuje przekonanie, iż ani CIA, ani Pentagon nie panują nad dziwnymi pomysłami geopolitycznymi, które zaczynają wcielać w życie amerykańscy dyplomaci. Wygląda na to, że ich celem jest ograniczyć liczbę amerykańskich sojuszników oraz ograniczyć wpływy USA w Europie.

W każdym razie postępują tak, by do tego doprowadzić. © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wybory parlamentarne w Polsce nie są zwykłymi wyborami. One spowodują zmianę układu sił w Europie

Pod niemieckim przywództwem sojusz stanie się głównie organizacją polityczną. Kraje, które tak jak Polska wspierały amerykańską politykę obronną Europy, znajdą się na marginesie. Niemcy będą prowadzić politykę dyskryminacji wobec każdego państwa, które prowadzi politykę bez zgody Berlina i wspiera USA, jak to jest w przypadku Polski. Po kilku latach wpływy amerykańskie zostaną wyeliminowane z Europy. Politycy amerykańscy będą musieli negocjować i uzgadniać z niemieckimi każde swe posunięcie na świecie. Ameryka utraci dotychczasową swobodę podejmowania decyzji.

Jednym słowem, wygląda na to, że Biden wygrywa rywalizację z Rosją, ale po raz pierwszy od 1945 r. USA przegrywają w Europie. Tu Ameryka straci swe wpływy na rzecz Niemiec. Oczywiście to oznacza, że USA będą słabsze np. w rozgrywce z Chinami. Będą bowiem słabsze jako gracz globalny. W trakcie rozgrywki z Chinami nie będą miały za sobą potencjału całego Zachodu, lecz jedynie potencjał amerykański. Na pewno

dowcąż z Rosją, ci, którzy konsultowali z Putinem decyzje o kooperacji militarnej z USA. Zatem wybory parlamentarne w Polsce nie są zwykłymi wyborami. One spowodują zmianę układu sił w Europie. Dziś region flanki wschodniej NATO prowadzi politykę proamerykańską, bo główny kraj regionu, czyli Polska, jest osią takiej polityki. Bez Polski cały region podporządkuje się polityce niemieckiej.

NA FRONCIE WOJNY HYBRYDOWEJ

Obecny rząd w Warszawie od ośmiu lat ma do czynienia z wojną hybrydową, którą Polsce wydały Niemcy. Nasz kraj był i jest dyskryminowany w Unii Europejskiej za to, że prowadzi politykę niezależną od Berlina i jest sojusznikiem USA. Polska w ostatnich latach miała więc do czynienia z atakiem hybrydowym ze strony sojusznika z NATO.

Od roku 2021 nasz kraj podlega także atakowi hybrydowemu ze strony Rosji, która poprzez Białoruś organizuje presję migracyjną na naszą granicę wschodnią.

POLITYCZNA

kawa



Tomasz Sakiewicz wspólnie
z zaproszonymi do studia
dziennikarzami i politykami
podsumowuje najważniejsze
wydarzenia minionego tygodnia.

niedziela
w samo południe
12:00



Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz przez dostępną telewizję naziemną z lokalnych nadajników MUX w Katowicach, Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu, a także w Internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

Podszeptujący Putinowi



Bohater książki wzorowany jest na Władisławie Surkowie (z lewej), doradcy Władimira Putina

FOT. ALEXEI NIKOLSKIY/RIA NOVOSTI/AFP/EAST NEWS



Wojciech Golonka

Włosko-szwajcarski, centrolewicowy politolog, brylujący we francuskiej powieści, która wykwinnym językiem beletrystyki zgłębia, przez pryzmat psychologii politycznej, ćwierćwiecze rządów Władimira Putina – oto w jednym zdaniu „Mag z Kremla” Giuliano da Empolego

Do lektury „Maga” zachęciła mnie podkreśkana wokół książki jesienią we Francji pewna atmosfera kontrowersyjnego sukcesu: z jednej strony był to bestseller idący w setki tysięcy sprzedanych egzemplarzy, nagrodzony prestiżową

Nagrodą Akademii Francuskiej, który otarł się nawet o samą Nagrodę Goncourta (w kilkunastu rundach finałowych głosowań jury niemogących rozstrzygnąć konkursu szalę zwycięstwa na korzyść konkurenta przechylił w końcu głos przewodniczącego Akademii

Goncourta). Ponadto książka, napisana jeszcze przed wybuchem wojny na Ukrainie, była krytykowana – ale delikatnie, w sumie w formie ostrzeżenia – za przedstawienie dość ludzkiego obrazu współczesnego cara i bezkrytyczne powielanie oficjalnej rosyjskiej narracji geopolitycznej, z dala od rozpowszechnionej w dobie wojny w zachodnich mediach mrocznej wizji władcy Kremla i jego ludzi. Nie chcę szczególnie skupiać się na tym wątku, który w polskich realiach być może wzbudzi bardziej obrazoburcze konotacje, przysparzając książce jeśli nie podprogowej reklamy „zakazanego owocu”, to przynajmniej rozgłosu. Przede wszystkim chciałbym zacząć od najsilniejszej strony dzieła,

mianowicie od politologicznego bagażu samego autora.

W ŚWIECIE SPIN DOKTORÓW

Da Empoli, Włoch urodzony we Francji ze szwajcarskim paszportem, zatem wykapywany transgraniczny kosmopolita, wykładowca renomowanego paryskiego Instytutu Nauk Politycznych Sciences Po. Dotychczas pisał eseje polityczne podparte własnym doświadczeniem kariery spin doktora – pracował bowiem jako doradca u boku Matteo Renziego w czasach, gdy ten był premierem Republiki Włoskiej. Bliska współpraca obu panów zaczęła się, zanim Renzi awansował na lidera włoskiej lewicy, w czasach, kiedy był jeszcze burmistrzem Florencji (2009–2014), a da Empoli jego zastępcą do spraw kultury. Autor był zatem uczestnikiem (a być może i współautorem) zarówno późniejszego spektakularnego wzrostu, jak i dość szybkiego zniżenia gwiazdy Renziego na szczytach polityki. I właśnie po jego rezygnacji z funkcji premiera w 2016 r. po dwóch latach rządów (wskutek faska referendum dotyczącego reformy włoskiej konstytucji) odszedł z kulis włoskiej polityki do amfiteatrów Sciences Po.

Odszedł po „włosku”, czyli biorąc w późniejszym czasie i na swój sposób rewanz zarówno na „populistach”, którzy po 2016 r. na dobre zepchnęli jego socjaldemokratyczną rodzinę polityczną do defensywy (i tych lewicowych z Ruchu Pięciu Gwiazd, i tych prawicowych z Ligi Salviniiego), jak i na dyżurnych wrogach postępowej demokracji w ogóle, z Donaldem Trumpem i Viktorem Orbanem na czele, publikując w 2019 r. we Francji książkę pt. „Inżynierowie chaosu”. Dzieło to było wymierzone w spin doktorów „populistów”, pokroju Steve’a Bannona, którzy wykorzystując (jeśli nie wręcz kreując) nastroje gniewu społecznego oraz nowoczesne technologie, wynieśli swych kandydatów, horrendum lewicy, na szczyty władzy.

To osobiste zainteresowanie spin doktorami ze strony autora jest w przypadku „Maga z Kremla” kluczowe, ponieważ zarówno narratorem prawie całego dzieła, jak i tytułowym magiem w ogóle okazuje się wieloletni doradca Władimira Putina, niejaki Wadim Baranow. Z tą różnicą, że w przeciwieństwie do wszystkich postaci powieści, które są autentyczne, i wydażeń, które są historyczne, Baranow, choć

wzorowany na prawdziwym spin doktorze Putina i teoretyku jego pierwszej prezydentury, Władisławie Surkowie, jest postacią fikcyjną. To umożliwia da Empoliemu znacznie szersze (i zbiorcze) przedstawienie tego, jak szef FSB urosł do rangi współczesnego cara. Fikcyjny, tchnący empatią Baranow używa także autorowi swych ust do wylewania bez ograniczeń jego własnego zamięłowania do „filozofii dworu”, którą tchnie cała książka.

W rzeczy samej dla da Empoliiego, co tłumaczył w wywiadach, rola doradców możliwych tego świata polega na poprawnym odczytywaniu bieżącej sytuacji, prawidłowym rozpoznaniu czynników ludzkich, bilansów sił itp., ale z należytym dystansem, którego sam rządzący jest najczęściej pozbawiony; z dystansem, który umożliwia nosząca znamiona wirtuozerii psychologicznej wiedza o ponadczasowych mechanizmach władzy, czemu da Empoli daje wprost wyraz w swej książce: „Nie postawiwszy tam nigdy nogi, trzy wieki temu La Bruyère [francuski moralista – przyp. red.] opisał właściwiej dzisiejszy Kreml niż najlepsi z rosyjskich czy francuskich dziennikarzy” (zarówno ten cytat, jak i następne są moimi tłumaczeniami z oryginału).

Innymi słowy, miłośników metapolityki czeka u da Empoliiego jej solidna dawka (nie twierdzą, że zupełnie słodka), natomiast amatorzy sensacji dotyczących samego Władimira Putina (a tych, patrząc na nagłówki portali internetowych, jest zdaje się multum) zostaną wciągnięci w świat filozofii politycznej nadającej sens i ciągłość jego transformacji z urzędnika bezpieczeństwa w nowego pana Kremla po dekadzie chaosu lat 90. XX w.

ROZPAD PAŃSTWA, ROZKWIAT OLIGARCHII

Istotnie, punkt wyjścia, zarówno książki, jak i samej trajektorii władzy obecnego cara, jest fundamentalny, ponieważ nakreśliła problem i jego typowe w warunkach anarchii rozwiązanie, brzemiennie w skutki do dziś – rozpad państwa sowieckiego i towarzyszący mu rozkwit oligarchii rywalizującej o dominację polityczną z resztkami struktur państwa, następnie

przywrócenie utraconej „wertykalności władzy”, wraz z jej pochodną „suwerenną demokracją”, mającej znamiona miękkiej, gdyż subtelnej dyktatury. To właśnie te dwa hasła z zanadra pomysłów Surkowa stają się lejtmotywem książki da Empoliiego, rozwijane w różnych aspektach na przestrzeni lat rządów Putina. Notabene Surkow stanowił dla autora zasadniczy punkt odniesienia z racji jego odrębności

względem reszty otoczenia cara: podczas gdy gros jego współpracowników stanowili chłodni przedstawiciele resortów siłowych oraz chłodno kalkulujący oligarchowie gotowi złożyć mu hołd lenny, Surkow wyróżniał się swym artystycznym rodowodem teatru awangardy pretendującym do kształtowania rzeczywistości, jak często podkreślał da Empoli w wywiadach.

Czy rzeczywiście chodziło jednak o Surkova? Dość powiedzieć, że na stronie internetowej założonego przez da Empoliiego w 2016 r. think tanku Volta

znajduje się dziwnie bliska tym założeniom deklaracja ideowa ze strony autora: „Volta jest [...] jedynym w swoim rodzaju zgromadzeniem ludzi różnych kultur, zawodów i światów, którzy są zjednoczeni przekonaniem, że najlepszym sposobem przewidzenia przyszłości jest jej wynalezienie”.

Wracając do obu wspomnianych haseł przewodnich, „wertykalność władzy” to nic innego jak jej absolutyzm, uwydatniony najpierw w rozprawie z nowo wynurzoną w rosyjskim społeczeństwie magnaterią oligarchów. Oddając z powrotem głos Baranowowi prowokującemu swego zachodniego rozmówcę odnośnie do słynnego aresztowania Michaiła Chodorkowskiego: „To zabawne: wciąż nazywacie naszych »oligarchami«, podczas gdy prawdziwi oligarchowie istnieją jedynie na Zachodzie. To tam miliarderzy są ponad prawem i ludem, to tam kupują rządzących i piszą w ich miejsce prawo. U was obraz takiego Billa Gatesa, Murdoch czy Zuckerberga w kajdankach jest zupełnie nie do pomyślenia. W Rosji, przeciwnie, miliarder jest jak najbardziej wolny, jeśli chodzi o wydawanie swych pieniędzy, ale nie jest wolny, gdy idzie o wpływanie na władzę polityczną. Wola narodu rosyjskiego – i Cara, który jest



GIULIANO DA EMPOLI
„MAG z KREMLA”
WYDAWNICTWO
FILTRY 2023

■ jej ucieleśnieniem – ma pierwszeństwo nad jakimkolwiek prywatnym interesem”.

Wertykalności władzy towarzyszy z kolei „demokracja suwerenna”, będąca w praktyce kontrolą wszystkiego (i wszystkich), najlepiej w formie prewencji: nic lepszego niż sztuczna, gdyż kontrolowana opozycja, a optymalnie – współpraca z władzą nawet najbardziej sprzecznych ze sobą oddolnych ruchów. Dlatego, po kolejnych prozachodnich rewolucjach na Ukrainie, Baranow przyjuje po kolei na Kremlu, tego samego dnia, przedstawicieli skrajnego prawosławia, nacjonalistów z Nocnych Wilków i kibiców Spartaka oraz komunistów: „Monopol władzy już nie wystarczał, aby tworzyć naprawdę silny system; należało sięgnąć po monopol na siły wywrotowe. [...] Jedyni, których nie zwierbowałem, to technokraci odpowiedzialni za katastrofę lat 90., chorążowie politycznej poprawności i progresiści walczący o transpłciowe toalety. Tych pozostawiłem opozycji; w rzeczy samej, trzeba było, aby opozycja była złożona właśnie z takich ludzi. [...] Za każdym razem, gdy zabierali głos, wzmacniali naszą popularność”. Wzmacniali popularność władzy tudzież poczucie bezsilności i apatii u obywateli, którzy wiedzą, że ewentualne sensowne głosy sprzeciwu wobec władzy są w rzeczywistości przez tę władzę kontrolowane lub sprowadzane, jak wyżej, do absurdu, stąd *summa summarum* określenie, że demokracja i demokracja suwerenna mają ze sobą tyle samo wspólnego, co krzesło i krzesło elektryczne.

SIANIE CHAOSU

Podobną strategię wykorzystywania sprzeczności celem wywoływania paraliżującego chaosu władza stosuje także w polityce zewnętrznej. W oddzielnym rozdziale poświęconym osobie Prigożyna, oddelegowanego przez cara do siania chaosu (co rzuca zupełnie inne światło na chwytliwy medialnie „bunt” jego prywatnej armii Wagnera), Baranow instruuje go następująco: „W jaki sposób łamie się drut? Wyginając go w jedną, a potem w drugą stronę. Oto, co zrobimy, Jewgienij. W miarę, jak zbudujecie waszą siatkę oddziaływania, zdacie sobie sprawę, że są kwestie, które leżą ludziom naprawdę na sercu. [...] Być może ktoś jest przeciw szczepionkom, inny przeciw myśliwym,

Książka włoskiego spin doktora jest cennym wglądem zarówno w arkana rosyjskiej władzy, jak i w arkana władzy w ogóle

ekologom, czarnym, białym; nieważne. Istotne jest, aby każdemu na czymś zależało i aby ta kwestia mogła doprowadzać go do wściekłości. [...] Nie mamy preferencji, Jewgienij. Nasz jedyny kierunek to drut. Wyginamy go w jedną i w drugą stronę. Aż się złamie”. Co więcej, jak twierdzi Baranow, Rosja nie musi aż tak bardzo kryć się z podobnymi działaniami wywrotowymi, ponieważ ich psychotyczne przypisywanie Rosji (do czego w Polsce jest szczególna skłonność) buduje mit o jej potęgę: „Z naszej strony wystarczy zachowywać się w podejrzany sposób i zaprzeczać w mało wiarygodny sposób. To wystarczy, aby potwierdzić ich najgorsze koszmary”.

Tego typu passusy, czytane ze zrozumieniem, jak najbardziej rozgrzeszają autora, który stroniąc od czarnobiałego przedstawienia wierchuszki Kremla, namalował swe postacie w ludzki sposób. „Objasnić nie oznacza uzasadnić; a objaśnienie jest zawsze pożyteczne” – podkreślał w jednym z wywiadów (czytelnicy cierpiący na niedobór kategorię potępienia elit rządzących Federacją Rosyjską po prostu niech nie sięgają po tę lekturę, zwłaszcza w okolicznościach obecnej wojny, bo jej tam nie znajdują). Co nie znaczy, że książkę nie można zrobić kilku zarzutów.

WGLĄD W ARKANA WŁADZY

Pomijam twórczą polemikę, którą podjęliby ewentualnie z autorem polscy zawodowi politolodzy w kwestii właśnie objaśniania funkcjonowania aparatu władzy współczesnej Rosji, a zwróćę pobieżnie uwagę na kilka pobocznych kwestii. W oryginale bardzo wykwinny język opisowy, nagrodzony zresztą z tej racji przez Akademię Francuską, spowalnia moim zdaniem, jako zbyt odczuwalne ćwiczenie stylistyki, narzucaną przez samą fabułę dynamikę lektury. Ponadto końcówka książki, w której autor chciał zawrzeć powody do nadziei dla swej 12-letniej córki (której dedykował książkę z myślą, że ją kiedyś przeczyta), traci na jasności

w zestawieniu z dyskursem Baranowa, który kończy swą opowieść językiem Harariego w kwestii przyszłej deifikacji rodzaju ludzkiego przez technikę stającą się samą metafizyką.

W końcu ważna do podkreślenia kwestia wybrzmiewających proporcji: patrząc na dorobek autora, trudno nie odnieść wrażenia, że *summa summarum* o wiele łatwiej na bezpośrednie słowa potępienia załapią się u niego prawicowi „populiści” niż obrotni cynicy z Kremla budzący u niego być może nawet pewien podziw swym makiawelicznym pragmatyzmem; jest to przywara irytująca, aczkolwiek nie dziwiąca u przedstawiciela tzw. postępowej lewicy.

Niemniej książka włoskiego spin doktora pozostaje, oprócz niewątpliwiej beletrystycznej rozrywki, cennym wglądem zarówno w arkana rosyjskiej władzy, jak i w arkana władzy w ogóle, w obecnych czasach zdominowanej przez inżynierię społeczną zarządzającą społeczeństwem strachem. Bardziej niż powodem do nadziei końcówka „Maga z Kremla” jest przestroga bez znieczulenia, oddajmy tu na koniec głos Baranowowi, czyli po części samemu da Empoliemu: „KGB zaplanowało w latach 50. system powszechnej inwigilacji każdego obywatela sowieckiego. [...] Ale Facebook poszedł znacznie dalej. Kalifornijczycy przekroczyli wszelkie marzenia starych sowieckich biurokratów. Nie ma już granic dla nadzoru, który udało im się zaprowadzić. Dzięki nim każda chwila naszej egzystencji stała się źródłem informacji. [...] kiedy następny wirus wyjdzie z jakiegoś targu czy laboratorium, kiedy Seattle, Hamburg lub Yokohama zostaną zmiecione przez brudną bombę atomową bądź atak bakteriologiczny, kiedy zwykły chłopiec sfrustrowany życiem będzie w stanie, zamiast otworzyć ogień do swej klasy, zniszczyć całe miasto – ludzkość będzie błagać tylko o jedno: o ochronę. O ochronę, za wszelką cenę. Już dziś odrębność stała się podejrzana, wkrótce najdrobniejsze odchylenie od normy staną się wirgiem do ostrzału bez względu na cenę. A infrastruktura ku temu będzie już na miejscu. [...] Całość narzędzi do naszej dyspozycji będzie musiała być wykorzystana do zwalczania apokalipsy; w obliczu grozy, wszystko inne stanie się akceptowalne”.

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



ŚREDNIOWIECZE ODKŁAMANE

Wspaniałe dziedzictwo
chrześcijańskiej
Europy

Jasne wieki zamiast „mroków średniowiecza” – wyobrażenie o zacofaniu Europy to efekt propagandowej wojny z chrześcijaństwem

Kulisy jałtańskich targów – dlaczego Franklin D. Roosevelt wierzył, że uda mu się „oczarować” Stalina?

Ostatnia misja czarnego samuraja – jak były niewolnik stał się przybocznym jednego z najpotężniejszych Japończyków

Nieznane ludobójstwo – na przełomie XX i XXI w. w sercu Afryki zginęło ok. 6 mln ludzi

Krew czterech cesarzy – lata 68–69 n.e. były przełomowym i bardzo brutalnym okresem w historii Imperium Rzymskiego

Inflanckie triumfy husarii – nie miała znaczenia dysproporcja sił, atak naszej ciężkiej jazdy przełamywał szyki, co decydowało o losach bitew

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

Dokumenty kościelne coraz częściej używają tęczyowej nowomowy, a za tym kryje się przecież nowa antropologia. Skoro Stwórca uformował człowieka na swój obraz, a człowiek jest jakoby queerowy – to taki musi być również Bóg. W lipcu tego roku niemal wszystkie gazety pisały o słowach anglikańskiego „arcybiskupa” Yorku, Stephena Cottrella, który zadał publicznie pytanie o stosowność brzmienia modlitwy „Ojcze nasz”. „Wiem, że słowo »ojciec« jest problematyczne dla wszystkich, którzy doświadczyli ziemskiego ojcostwa w wymiarze destrukcyjnym, w nadużyciach; dla wszystkich, którzy ciężko walczyli z opresyjnym patriarchalnym podejściem do życia” – powiedział dosłownie Cottrell w przemówieniu wygłoszonym do Synodu Generalnego swojej wspólnoty. „Ojcze nasz” jako przeszkoda w walce z patriarchatem? Dla anglikanów taka narracja nie jest jednak niczym nowym, wprost przeciwnie: od kilku miesięcy ich ciała decyzyjne zastanawiają się, czy nie należy oficjalnie odejść od mówienia o Bogu jako o mężczyźnie. Część anglikańskich pastorów złożyła formalne zapytanie do przełożonych, czy mogliby używać w odniesieniu do Boga języka „neutralnego płciowo”. W kwietniu rozpoczęła pracę specjalna komisja, która ma przemyśleć tę kwestię. Nieznane są jeszcze szczegóły projektu, ale wiceszef anglikańskiej komisji liturgicznej, „biskup” Michael Ipgrave z Lichfield, mówi o możliwym „całościowym” przebudowaniu liturgii w duchu neutralności płciowej.

Niestety, taki kierunek myślenia nie jest właściwy wyłącznie anglikanom ani nawet tylko protestantom. O genderowym przemodelowaniu języka duszpasterskiego mówi się również w Kościele katolickim. Już w 1999 r. (sic!) francuski dominikanin Gilles Emery opublikował artykuł, w którym wychodząc od „postępu dokonanego w antropologii i myśleniu społecznym”, proponował „ponowne odkrycie” macierzyńskiego języka w opisie Boga, tak by przemysleć nasz sposób mówienia o Bogu w Trójcy Jedynym i otwarcia na opisywanie Stwórcy jako Matki albo Ojca i Matki”. Artykuł został niedawno przedrukowany w prasie niemieckojęzycznej, gdzie nurt genderyzacji chrześcijaństwa jest szczególnie silny. Problemem zajmuje się m.in. prof. Martina Bär, teolog



Queerowy Bóg?



Paweł Chmielewski

Bóg odczytany w perspektywie transgender – ta absurdalna myśl zaczyna przenikać teologię chrześcijańską. Podczas gdy niektóre grupy protestanckie są już bardzo zaawansowane na drodze queerowej rewolucji Boga, katolicy dopiero rozpoczynają tę „podróż”. Niestety, nic nie wskazuje na to, by miała się szybko zakończyć

fundamentalna z uniwersytetu w austriackim Grazu. W jej ocenie w nowym kontekście społecznym i antropologicznym byłoby właściwe zmienić początek Modlitwy Pańskiej tak, aby zaczynała się teraz od słów: „Ojcze-Matko nasza”.

Można spodziewać się, że w najbliższych latach ten nurt w teologii niemieckojęzycznej będzie się agresywnie zaostrzał. Główne katolickie środowiska młodzieżowe są w tym regionie głęboko

przekonane do transgenderowej koncepcji Boga. Organizacja Katolicka Młoda Wspólnota (Katholische junge Gemeinde, KjG) podjęła decyzję, by w tekstach pisanych do słowa „Bóg” dodawać zawsze „inkluzywny” plusik. „KjG rozpoczęła poszukiwanie takich określeń Boga+, które będą obejmować więcej niż tylko wyobrażenie męskiego białego Boga+” – podano w komunikacie. „Wyobrażenie o Bogu+ jako starym, białym mężczyźnie z brodą jest

teologicznie zbyt ubogie i utrudnia wielu młodym ludziom dostęp do Boga” – dodali. Z kolei grupa Katolickiej Młodzieży Studiującej (Katholische Studierende Jugend, KSJ) pisze zawsze „Bóg*”. Gwiazdka przy słowie jest tzw. gwiazdką genderową (niem. Gender-Sternchen), która wskazuje na umowność płci rzeczownika. KSJ chce w ten sposób odejść od obrazu „karzącego, starego białego mężczyzny z brodą w kierunku Boga* różnorodnego”.

Wsparcie dla takich idei prezentuje cała niemiecka „droga synodalna”, która wprost proponuje „przewycięzenie” binarnego rozumienia płciowości, a poniekąd również globalny Synod o synodalności, chętnie podejmujący takie wątki. Postrzeganie Boga przez pryzmat ideologii transgender jest oczywistą konsekwencją przyjęcia rewolucyjnej antropologii. Skoro Pismo powiada, że Bóg stworzył człowieka na swój obraz i podobieństwo, a człowiek jest queerowy, to queerowy musi być w konsekwencji również Bóg. Dlatego opisane powyżej głosy są nie tyle ekstremizmem, ile awangardą: wskazują kierunek, w którym będzie musiał pójść mainstream, o ile pozostanie wierny pryncypiom, które już przyjął, choćby zgadzając się na określenie ludzi przez pryzmat ich „orientacji” czy „tożsamości”.

LIBERALNY INDYWIDUALIZM

Tego procesu nie da się uniknąć bez podważenia fundamentów dyskursu indywidualistycznego liberalizmu. Liberalizm taki traktuje jednostkę jako wydzieloną ze społeczeństwa. Jest oczywiste, że dla przeprowadzenia tego wydzielenia w stopniu możliwie najdoskonalszym potrzebna jest jej najpierw konceptualna, a później również – na ile to tylko możliwe – faktyczna emancypacja od wszelkich tożsamości kolektywnych. W perspektywie liberalnego indywidualizmu w sposób konieczny traci się kolejne odniesienia łączące jednostkę z innymi ludźmi. Upada wspólnota religijna, narodowa, etniczna, płciowa. Określenie jednostki jako Polaka w sposób faktyczny i realny ogranicza jej możliwości autoekspresji, zawężając katalog definicji, które mogą zostać wykorzystane lub stworzone celem samoustanowienia się jako byt wyjątkowy od wszystkiego, co go otacza. To samo dotyczy kategorii męskości i kobiecości. W ostatnich latach

wśród amerykańskiej młodzieży coraz mniej osób definiuje się jako geje i lesbijki. Bycie gejem albo lesbijką stało się problemem, bo wiąże się z przyjęciem sztywnej tożsamości, która wpisuje jednostkę w szerszą grupę. Dlatego amerykańska młodzież woli opisywać się w bardziej płynnych kategoriach queer, co pozwala na większą emancypację.

Niestety, Kościół katolicki jest obecnie zmuszony do przyjęcia tego dyskursu. Papież Franciszek ogłosił, że katolicyzm jest zapóźniony wobec świata o 200 lat, innymi słowy: nie przyjął jeszcze pryncypów rewolucyjnych. To się teraz zmienia. Skoro tak, to Kościół nie może odrzucić rewolucji antropologicznej, która jest logiczną konsekwencją rozpoczętych w XVIII w. procesów emancypacyjnych.

Największym problemem jest przenikanie antropologii LGBTQ do oficjalnych dokumentów Stolicy Apostolskiej

I rzeczywiście – nie odrzuca, wprost przeciwnie, przyjmuje je z całym „dobrodziejstwem inwentarza”. W rosnącej liczbie diecezji świata zachodniego język genderowy został już oficjalnie wprowadzony do dokumentów kościelnych. Ciekawym przykładem jest niemiecka diecezja Augsburga, którą kieruje skądinąd konserwatywny (sic!) bp Bertram Meier. Hierarcha podjął decyzję o wydaniu wytycznych językowych, które zobowiązują pracowników diecezji do używania języka inkluzywnego, który przyjmuje antropologię różnorodności płciowej. To samo uczyniły już inne niemieckie diecezje, to samo możemy obserwować w wielu kościołach lokalnych Stanów Zjednoczonych.

REWOLUCYJNA NOWOMOWA

Największym problemem jest jednak to, że antropologia LGBTQ przenika do oficjalnych dokumentów Stolicy Apostolskiej. Podczas Synodu Biskupów poświęconego młodzieży, który odbywał się w Rzymie w 2018 r., toczył się ostry spór dotyczący ewentualności użycia terminu „osoby LGBT” w dokumentach kościelnych. Krytycy tego pomysłu wskazywali, że żaden

człowiek nie może być definiowany przez swoje skłonności seksualne czy też przez zaburzoną tożsamość płciową. Protestowali przeciwko temu m.in. polscy biskupi. To zdrowe ujęcie wygrało i w dokumencie finalnym Synodu akronim się nie pojawił. Niestety, triumf był krótkotrwały. Już w 2020 r. Konferencja Episkopatu Polski ogłosiła swoje „Stanowisko w kwestii LGBT+”. W treści pisano właśnie o... „osobach LGBT+”. Rewolucyjna nowomowa weszła do Kościoła szerokim strumieniem. W dokumentach synodalnych przygotowujących tegoroczny Synod o synodalności termin „osoby LGBTQ” pojawia się nieustannie. Papież Franciszek osobiście zdecydował, że wśród członków zgromadzenia synodalnego znajdzie się amerykański jezuita ks. James Martin SJ. Kapłan przekonywał niedawno, że jest również dobrze uczestniczyć w gejowskiej paradzie, co czci Najświętsze Serce Pana Jezusa, ponieważ w obu tych rzeczach chodzi o to samo – o miłość. Jezuita zapowiada, że na Synodzie o synodalności będzie „głosem LGBTQ+”, a sam synod jest „światłem dla ludzi LGBTQ+”. Przyjęcie w dokumentach kościelnych wyrażenia „osoby LGBTQ+” może wydawać się komuś mało znaczące. Jest inaczej. Jeżeli mówimy, że jakiś człowiek jest „T” albo „Q”, to twierdzimy, że on rzeczywiście jest transseksualny lub queerseksualny. Innymi słowy, zgadzamy się z poglądem, jakoby takie rzeczywistości rzeczywiście istniały – negujemy w konsekwencji katolicką i naturalną antropologię mówiącą o tym, że człowiek może być albo mężczyzną, albo kobietą – i nie ma nic pomiędzy ani poza. Użycie terminu „osoby LGBTQ+”, o ile jest przemyslane i celowe, o tyle jest wypowiedzeniem poważnej herezji antropologicznej. Trudno założyć, że w dokumentach synodalnych publikowanych przez watykański Sekretariat Generalny Synodu Biskupów używa się akronimu LGBTQ+ bezrefleksyjnie.

Kościół za pontyfikatu Franciszka otworzył bramy obłożonej twierdzy: władcy miasta okazali się przyjacielami najeźdźców. Nie zdziwiw się dlatego, jeżeli urzędnicy kurialni zaproponują wkrótce, by zamiast słowami „Ojcze nasz” wszyscy modlili się, mówiąc „Ojcze-Matko wszelkiej różnorodności”. To dopiero będzie synodalna inkluza...

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dziennikarzem i publicystą portalu PCh24.pl.



Śladem archiwów Powstania Warszawskiego

Wychodząc do niewoli, powstańcy nie mieli możliwości zabrania ze sobą dokumentacji, wiedząc, że zostanie zarekwirowana przez Niemców w obozach jenieckich. Część dokumentacji i archiwów została zakopana i ukryta w mieście, część wyniesiona przez wypędzoną z miasta ludność cywilną. Mieszkańcy powracający w drugiej połowie stycznia 1945 r. do spalonej i zrujnowanej stolicy zastali w niej funkcjonariuszy powołanego dwa tygodnie wcześniej, 1 stycznia, komunistycznego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Kierowało nim ponad 200 polskich komunistów przeszkolonych przez Sowieców w oficerskiej szkole NKWD w Kujbyszewie (obecnie Samara). Po utworzeniu MBP kierował nimi Stanisław Radkiewicz, a jednym z jego najbliższych współpracowników był Roman Romkowski (Natan Grinspan-Kikiel) kierujący Departamentem Kontrwywiadu, awansowany później do stopnia generała brygady i na stanowisko wiceministra MBP. Z ośmiu podległych mu wydziałów trzy prowadziły walkę z podziemiem niepodległościowym, bandytyzmem politycznym i niemieckim



Maciej Kledzik

Do wybuchu Powstania Warszawskiego działające w konspiracji organizacje i władze wojskowe Polskiego Państwa Podziemnego i cywilne prowadziły tajną, zaszyfrowaną dokumentację oraz archiwa. Część z nich przetrwała. Nie inaczej było z dokumentacją i archiwami zgromadzonymi w czasie 63 dni powstania przez organizacje i władze działające w strukturach wojskowych, rządowych, administracyjnych i obywatelskich. Prowadzone były jawnie, z dużym rozmachem, bywało, że z biurokratyczną przesadą. Jakie były losy tej dokumentacji i archiwów po upadku powstania?

szpiegostwem. Departament III rozpracowywał kierownictwo Delegatury Rządu na Kraj, Biuro Prezydialne i kierownictwo Walki Cywilnej, Departament V – organizacje wyznaniowe, polityczne i społeczne, Informacja Wojskowa – wojskowych.

W marcu 1945 r. Komitet Centralny Polskiej Partii Robotniczej uchwalił, że jeden funkcjonariusz MBP przypada na 200 obywateli. Budżet tego ministerstwa kilkunastokrotnie przewyższał budżety

Ministerstwa Zdrowia, Pracy. W 1947 r. na działalność MBP przeznaczono budżet większy od razem wziętych budżetów Ministerstw Komunikacji, Ziemi Odzyskanych, Przemysłu i Handlu i Administracji Publicznej. Rok później MBP otrzymało kwoty budżetowe dziesięciokrotnie większe od kwot przeznaczonych na odbudowę państwa.

Wraz z rozwojem struktur organizacyjnych i liczby pracowników szybko roz-

budowywało się archiwum ministerstwa. Zasilane było zarekwirowanymi podczas aresztowań i rewizji dokumentami i przedmiotami, a także rekwirowanymi i przekazywanymi powstańczymi archiwami wydobywanymi ze skrytek. Osobiście miałem okazję zetknąć się z takim przypadkiem, pisząc w stanie wojennym debiutancką książkę „Królewska 16” o powstańczej redukcji w Ogrodzie Saskim. Z rozmów z powstańcami wynikało, że dowództwo 9. kompanii z konspiracji Wojskowej Służby Ochrony Powstania, następnie batalionu „Kiliński”, a później Batalionu Szturmowego „Rum”, ukryło archiwum w pobliżu ulicy Królewskiej, ale po powrocie z niewoli nie można go było odnaleźć. Dopiero nawiązany kontakt z łączniczką mieszkającą w Wiedniu pozwolił wyjaśnić tę zagadkę. Zaświadczyła, że pierwszy powrócił do Warszawy z niewoli dowódca kompanii i wykopał archiwum. Jej zdaniem przekazał je do Urzędu Bezpieczeństwa. Odnalazłem je po latach w archiwum KC PZPR, oczywiście bez żadnej informacji, jak tam trafiło.

ROZDZIELONE DOKUMENTY

Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego zlikwidowane zostało dekretem Rady Państwa PRL 7 grudnia 1954 r. Ogromne archiwum, którego celem nie było gromadzenie dokumentacji historycznej dla przyszłych pokoleń, lecz zbieranie dowodów na przestępczą działalność Polskiego Państwa Podziemnego i Armii Krajowej oraz scalonych z nią organizacji wojskowych i politycznych, podzielone zostało na trzy części. Dziesiątki lat szukałem odpowiedzi na pytanie, kto był pomysłodawcą tego podzielenia. I do dzisiaj nie znalazłem.

Pomysł polegał na takim rozdzieleniu zebranych dokumentów, by w przyszłości żaden historyk, instytucja ani uczelnia nie zdołały połączyć ich w jedną całość. Największy zbiór, obliczany na 70 tys. stron dokumentów powstańczych, trafił do Wojskowego Instytutu Historycznego (WIH) w Rembertowie. Nieco mniejszy, dzisiaj szacowany na 50 tys. dokumentów, przekazany został do Zakładu Historii Partii (PZPR), przekształconego później w Archiwum KC PZPR z siedzibą w podziemiach parlamentu przy ulicy Wiejskiej w Warszawie. Najcenniejsze dokumenty, ok. tysiąca, będące pod stałą ochroną cenzuralną i praktycznie niedostępne zwykłym historykom, z zachowanymi do dzisiaj

adnotacjami – nie udostępniać dla celów naukowo-badawczych – przeniesiono do archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych PRL. Można sobie jedynie wyobrazić, że dzielono zawartość jednej teczki z dokumentami na kilka części i umieszczano osobno w tych trzech archiwach w zależności od ich wartości źródłowej.

Powstańcy, którzy nie poszli na wspólną pracę z komunistami, starannie chronili i przechowywali powstańcze dokumentację i pamiątki, nie przekazując ich do wyżej wymienionych archiwów. Zdarzało się, szczególnie po śmierci uczestników powstania, że pamiątki po nich trafiały do Muzeum Historycznego miasta stołecznego Warszawy. Jednak było i tak jak z sanitariuszką Krystyną Saganowską. Po wojnie wyszła za mąż, urodziła dzieci, przed którymi starannie ukrywała swój udział w powstaniu. Gdy dzieci podrosły, w tajemnicy pokazała swojej bratanicy skrytkę w tapczanie, na którym spała. W tej skrytce były kurtka panterka, opaska z powstania i torba sanitariuszki. Nie chciała powiedzieć, w jakim zgrupowaniu walczyła. Można było się domyślić, że na Powiślu, gdyż od czasu do czasu jeździła do kościoła na Solcu na msze i spotkania z koleżankami i kolegami. Po jej śmierci jej bliscy pozbyli się tych pamiątek, zanim bratanica zdążyła o nie zapytać.

Nieco inaczej wyglądało to na emigracji. Do powołanego kilka lat po wojnie londyńskiego archiwum Studium Polski Podziemnej byli powstańcy – począwszy od strzelców i sanitariuszek, a skończywszy na pułkownikach i generałach – przekazywali swoje relacje, dokumenty, zdjęcia i inne pamiątki. Przebywając na początku lat 90. ubiegłego stulecia na trzymiesięcznym stypendium Fundacji Armii Krajowej im. Franciszka Miszcza w Londynie, penetrując zasoby Studium Polski Podziemnej zgromadzone w tekturowych pudełkach, znalazłem m.in. relację z powstania rtm. Pileckiego walczącego w Grupie „Chrobry II”, którą opublikowałem w Londynie, a po powrocie w dzienniku „Rzeczpospolita”. Szukałem, ale nie znalazłem dokumentacji i pamiątek po dowódcy Śródmieścia, Franciszku Edwardzie Pfeifferze „Radwanie”. Dowiedziałem się, że po jego śmierci w 1964 r. właścicielka domu, w którym mieszkał, wystawiła rzeźby po nim w workach na ulicę. Kustosze ze Studium Polski Podziemnej się spóźnili.

Szybsza od nich była śmieciarka, dlatego tak cenne są nieliczne zachowane pamiątki po pułkowniku generale.

Na początku lat 90. dokumentacja, w tym powstańcza, przeniesiona została z piwnic parlamentu przy ulicy Wiejskiej do Archiwum Akt Nowych, z zachowaniem starych sygnatur, które obowiązują do chwili obecnej (oznaczone AAN). Przy przenosinach część cennych dla historyków, ale nie dla komunistów dokumentów, trudno dziś ustalić – ile i jakie, została zniszczona. Potwierdza to historyk powstania Tomasz Karasiński, który był świadkiem, jak przywieziono do zakładów papierniczych w Konstancinie-Jeziornie (już nieistniejących) ok. półtorej tony archiwalnej dokumentacji do zniszczenia. Kiedy złożył propozycję odkupienia przynajmniej części dokumentów, powiedziano mu, że są to niemieckie akta sądowe i muszą być zniszczone. I zniszczono je.

Dyrekcja AAN szacuje, że posiada w zbiorach ok. 50 tys. stron dokumentacji z Powstania Warszawskiego. Większy zbiór jest tylko w Centralnym Archiwum Wojskowym w Rembertowie. W 2002 r. dokumentacja została przekazana z WIH do archiwum utworzonego wówczas Wojskowego Biura Badań Historycznych (WBBH) w Warszawie. W 2010 r. władze wojskowe zamieniły WBBH w Wojskowe Centrum Edukacji Obywatelskiej, by sześć lat później wróciło do Rembertowa jako Wojskowe Biuro Historyczne z Centralnym Archiwum Wojskowym. W tym czasie szef ewidencji zasobów, płk Andrzej W., w sposób całkowicie nieodpowiedzialny, wręcz karygodny, zmienił sygnatury wszystkich dokumentów. Nie zaprotestował nikt z władz ówczesnego Biura, z czego może wynikać, że decyzja nie była samowolna, a zaakceptowana. Pułkownik odszedł po dwóch latach, pozostawiając w sytuacji kuriozalnej wszystkich korzystających z zasobów Biura. Czy we wcześniejszych publikacjach mają wprowadzać erratę do zmienionych sygnatur? Na szczęście pułkownik nie zarządził usunięcia starych sygnatur i na teczkach dokumentacji figurują stare i nowe. Tyle że aktualnie nie ma do nich dostępu internetowego. Były zeskanowane, ale obecnie są tak kiepskiej jakości, że część jest wyblakła i jest zupełnie nieczytelna lub ledwo czytelna i WBH CAW nie udostępnia ich w postaci zdigitalizowanej.

Trzeci, ale bardzo ważny zbiór, przekazany ze zlikwidowanego archiwum UB do MSW, znajduje się obecnie w Instytucie Pamięci Narodowej. Oblicza się go na ok. tysiąc stron dokumentów powstańczych, ale do tego trzeba dodać strony przesłuchań od 1945 r. do pierwszych lat 50. byłych powstańców nie tylko z Armii Krajowej, lecz także innych organizacji wojskowych. Nie zostały jeszcze zewidencjonowane jako pomocne przy opracowywaniu historii Powstania Warszawskiego.

ROZPROSZONE ŚWIADECTWA

Poza tymi trzema archiwami dokumentacja powstańcza pozostaje rozproszona w różnych placówkach muzealnych w całym kraju. Trzeba stracić mnóstwo czasu, żeby zbadać i zapoznać się z ich zbiorami. Pisząc monografię śródmiejskiego Zgrupowania AK mjr. „Bartkiewicza” Włodzimierza Zawadzkiego, musiałem kilka dni spędzić w Muzeum Armii Krajowej w Krakowie. Po wojnie odkopano tylko jedno zachowane szczątkowe archiwum Zgrupowania – 3. kompanii. Przechowywał je w swoim warszawskim mieszkaniu nieżyjący już powstaniec Romuald Jan Luterek ps. Marynarz. Po konsultacji z kolegami i koleżankami z kompanii, którzy nie mieli zaufania do warszawskich archiwów, przekazał całą dokumentację do krakowskiego archiwum Muzeum AK.

Niedawno jeden z niewątpliwie cenniejszych znawców powstania zwrócił mi uwagę, że w przygotowanej publikacji za mało korzystałem z archiwum mówionego Muzeum Powstania Warszawskiego. Jakby nie wiedział, że zebrane relacje nie są weryfikowane z zachowaną dokumentacją i innymi relacjami. Nagrane samopas, nie twierdzą, że wszystkie, opowiadane są z własnego punktu widzenia, często bez odniesienia do wcześniej publikowanych relacji i nie są wolne od konfabulacji. Młodzi historycy nie znają kulis działalności dwóch organizacji byłych powstańców – Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej i Związku Powstańców Warszawskich. Do pierwszego przyjmowano po weryfikacji, do drugiego bez. Jak wiadomo, do powstańczych zgrupowań i batalionów działających w strukturach Związku Bojowników o Wolność i Demokrację (ZBoWiD) wprowadzani byli pracownicy służb niebędący powstańcami. Wśród byłych

powstańców byli też tajni współpracownicy Służby Bezpieczeństwa. Jak traktować ich nagrane relacje, skoro nagrywający nie wiedzieli, kim naprawdę są?

Pozostała, także dzięki komunistom i ich działalności wykorzystywanej do wydawania wyroków więzienia i śmierci, ogromna dokumentacja popowstańcza. Warto dodać, że w latach 1945–1952 organy bezpieczeństwa aresztowały 226 020 byłych wojskowych i cywilnych pracowników Polskiego Państwa Podziemnego. Zdaniem historyka Waldemara Grabowskiego, autora opracowań z tego okresu, działalność komunistów doprowadziła do tragicznego załamania psychicznego tych ludzi. A dokumentacja i archiwa zostały rozproszone w różnych instytucjach archiwalnych, muzealnych i w prywatnych rękach tak, że żaden historyk nie jest jeszcze w stanie napisać pełnej monografii Powstania Warszawskiego. Tym bardziej że w ostatnim czasie pojawiły się i nadal pojawiają powstańcze dokumenty uważane za stracone.

ARCHIWUM „ŁASZCZA” NA SPRZEDAŻ?

Kilka lat temu do jednego z polskich kolekcjonerów pamiątek z Powstania Warszawskiego zgłosił się Ukrainiec z propozycją sprzedaży zbioru dokumentów – korespondencji, meldunków, rozkazów, legitymacji, pieczętów itd. z powstańczego Śródmieścia-Północ. Przedstawił na dowód skany kilkudziesięciu wybranych dokumentów i eksponatów. Proponowane przez Ukrainca zbiory zawierały, oprócz dokumentacji i legitymacji AK-owskich, także pieczętki Komendy Obszaru Warszawskiego AK.

Niewątpliwie było to poszukiwane w kraju przez ponad 70 lat archiwum gen. „Łaszcz” Albina Skroczyńskiego, dowódcy Komendy AK Obszaru Warszawskiego. W jaki sposób znalazło się na Ukrainie? Prawdopodobnie zostało wywiezione po 1945 r. przez Rosjan, a po 1990 r. znalazło się w rękach Ukrainca, który nawet nie domyślał się, jaką wartość ten zbiór stanowi dla Polaków. Początkowo zażądał za archiwum 50 tys. zł. Kiedy zorientował się po reakcji kolekcjonerów, co posiada, podnosił cenę, aż zatrzymał się na milionie złotych.

Powiadomiona dyrekcja Archiwum Akt Nowych natychmiast poinformowała

o tym ministerstwa Spraw Zagranicznych oraz Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Oba nie zareagowały, a Ukrainiec z powstańczym archiwum ze Śródmieścia zniknął. Nie pomogły kilkuletnie poszukiwania z zaangażowaniem do nich warszawskiej prokuratury. Jeżeli zbiór trafi w ręce Rosjan na okupowanych przez nich terenach Ukrainy lub zostanie zniszczony wskutek bombardowań, to możemy go już zapisać na straty wojenne. Pozostało w Polsce ponad 30 skanów przesłanych jako oferta sprzedaży dokumentów z tego archiwum.

Powstańcze dokumenty i pamiątki pojawiają się w antykwiariatach, na aukcjach internetowych i giełdach. Przykładem wtórnik rozkazowy (notatnik) z powstańczego Śródmieścia płk. Franciszka Edwarda Pfeiffera „Radwana”. Wspomniany wcześniej Tomasz Karasiński wypatrzył go i nabył jako cenny eksponat do Muzeum Pamięci Powstania Warszawskiego w Poliarce, największym wiejskim antykwiariacie w Polsce, w Kotach w gminie Tworóg.

Niedawno w czasie rozbioru pieca kaflowego w jednym z mieszkań w Warszawie przypadkowo odnaleziono po 78 latach archiwum oddziałów walczących w południowym Śródmieściu. Około 600 dokumentów stopniowo wystawionych zostało przez znalazcę na sprzedaż aukcyjną. Część z nich nabyło za niemałe pieniądze Muzeum Pamięci Powstania Warszawskiego, które blisko współpracuje z Archiwum Akt Nowych. Pozostałe znalazły się w różnych rękach.

Plan digitalizacji dokumentacji Powstania Warszawskiego opracowała dotychczas jedno z kilkunastu polskich archiwów i muzeów – Archiwum Akt Nowych. Dyrektor Mariusz Olczak powoli realizuje już ten projekt, rozszerzając go o dokumentację Polskiego Państwa Podziemnego. Jeżeli w ślady AAN pójść inne archiwa i muzea z dokumentacją i pamiątkami popowstańczymi, to jest szansa, że dzięki digitalizacji dokumentacja Powstania Warszawskiego stanie się dostępna nie tylko dla historyków, lecz także dla całego polskiego społeczeństwa. I za pośrednictwem Internetu pozna ją cały świat.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Powyższy tekst to niepublikowany dotychczas zapis wystąpienia prof. Macieja Kledzika na konferencji naukowej „Dokumenty Polskiego Państwa Podziemnego 1939–1945 – stan zachowania”, Warszawa, budynek PAST-y, 1–2 grudnia 2022 r.

ZESZYT

DUMNI Z HISTORII

O wydarzeniach w Elektrowni Powiśle

PARTNER:



Polska Grupa Energetyczna

eprasa.pl ed9685df9d

Elektrownia Miejska: godzina W

Trudno sobie wyobrazić życie miasta bez energii elektrycznej. Dlatego dowódcy Armii Krajowej zdawali sobie sprawę, jak ważną kwestią dla powodzenia powstania w Warszawie będzie zdobycie Elektrowni Miejskiej.

Szturm 1 sierpnia 1944 r. został przeprowadzony od wewnątrz kilkoma oddziałami działającymi w różnych rejonach terenu należącego do Elektrowni. Po zdobyciu zakładu zrealizowano sceny filmowe z udziałem uczestników zwycięskiego szturmu; widoczne zdjęcie jest kadrem z takiego nagrania

Strategiczne znaczenie elektrowni, usytuowanej w trójkącie między ulicami Leszczyńską, Tamką oraz Dobrą, Drewnianą, Elektryczną i Wybrzeżem Kościuszkowskim, znali też Niemcy. Dlatego postarali się o to, by była dobrze broniona. Stacjonowały tu pluton Wehrmachtu, pluton volksdeutschy, funkcjonariusze SA i kompania wartowników ukraińskich. W sumie ok. 200 żołnierzy, uzbrojonych w cekaemy, erkaemy, pistolety maszynowe, karabiny, granaty i dysponujących zapasami amunicji. To jeszcze nie wszystko: na terenie elektrowni umieszczono też zasieki z drutu kolczastego, były tu uzbrojone wartownie, osiem żelbetonowych bunkrów, gniazda cekaemów, z których jedno, umożliwiające kontrolowanie dużej części obszaru zakładu, umieszczono na 20-metrowej wieży.

Niemcy mieli więc to, czego Polakom brakowało. Przeciwno ciężkim karabinom maszynowym powstańcy mogli skierować pistolety – mieli ich 25, pięć karabinów, filipinki, czyli granaty produkowane w konspiracji, i dwa miotacze ognia. Dysproporcja sił – ogromna. Powstańcy mieli za to plan. No i nie musieli elektrowni szturmować od zewnątrz. Byli już w środku, bo tam pracowali.

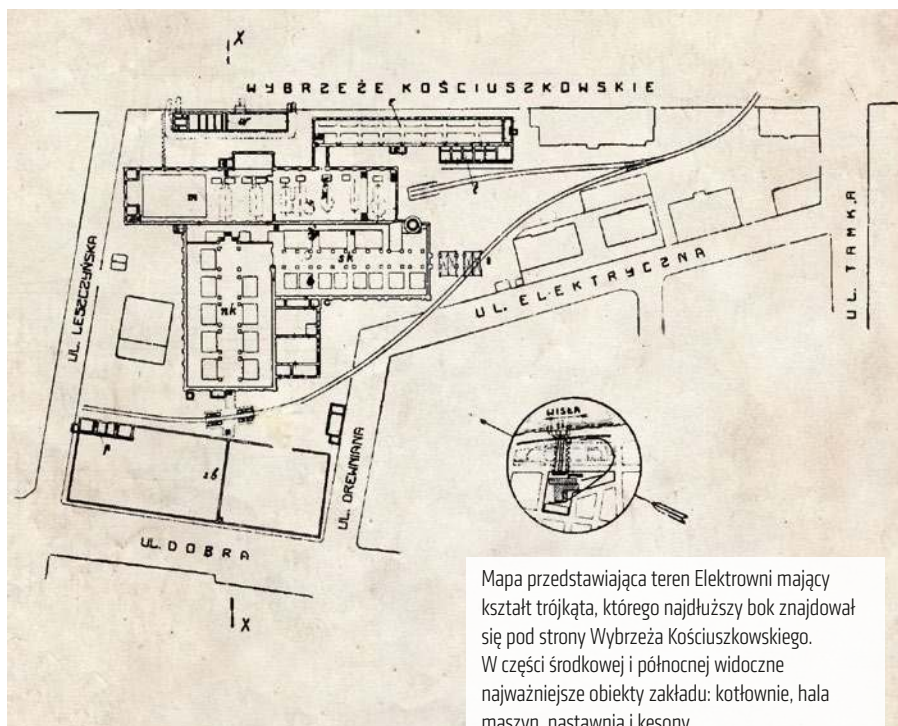
ZAKŁADOWA KONSPIRACJA

We elektrowni od 1942 r. działał oddział Służby Ochrony Powstania – formacji powołanej w 1941 r. rozkazem komendanta głównego ZWZ gen. Stefana Roweckiego „Grota” (słowo „Wojskowa” do nazwy Służba Ochrony Powstania dodano w 1943 r.). Jej żołnierze mieli m.in. zdobywać i chronić obiekty ważne dla działań wojennych i użyteczności publicznej. Takim bez wątpienia była elektrownia. We WSOP „Elektrownia” służyło ponad 100 zaprzysiężonych żołnierzy – pracowników zakładu, podzielonych na cztery plutony.

Ich dowódcą był kpt. Stanisław Skibniewski „Cubryna” (1901-1958). Z wykształcenia inżynier elektryk, absolwent Politechniki Gdańskiej. Był ochotnikiem podczas wojny polsko-bolszewickiej, a w czasie kampanii wrześniowej podporucznikiem w 6. Baterii 28. Pułku Artylerii Lekkiej. W 1937 r. został dyrektorem technicznym Elektrowni Miejskiej, a od 1942 r. jej naczelnym dyrektorem.



Bohaterowie walki o Elektrownię. Na tym zdjęciu widoczni są od lewej: dowódca i dyrektor zakładu kpt. inż. Stanisław Skibniewski „Cubryna” oraz inżynierowie Jan Piasecki i zastępca dowódcy por. Tadeusz Kahl „Kowalski”. Odegrali oni kluczową rolę w zdobyciu i późniejszej heroicznej obronie Elektrowni



Mapa przedstawiająca teren Elektrowni mający kształt trójkąta, którego najdłuższy bok znajdował się pod strony Wybrzeża Kościuszkowskiego. W części środkowej i północnej widoczne najważniejsze obiekty zakładu: kotłownia, hala maszyn, nastawnia i kesony

W czasie powstania dowodził Zgrupowaniem Elektrownia.

GODZINA W

– Bardzo dobrze przygotowany był moment wybuchu powstania – mówił w filmie prezentującym wspomnienia powstańców z Elektrowni Wiesław Piotr Żochowski ps. „Żak”. A strzelec Edward Jabłoński „Orlik” oceniał, że „to, że się

powstanie udało w elektrowni, to [dzięki temu, że] był zrobiony bardzo dobry plan ataku. Niemcy się spodziewali, że coś może być, ale spodziewali się że to będzie atak z zewnątrz”.

Szturm miał się rozpocząć od wybuchu ładunku umiejscowionego na parterze w budynku technicznym, czyli tam, gdzie na parterze i I piętrze znajdowały się koszary. Detonacja powinna

■ wywołać chaos i dezorientację wroga i – co ważniejsze – umożliwić żołnierzom nieprzyjaciela dotarcie do magazynu broni znajdującego się na parterze. Atak z górnych pięter miał przynieść nacierającym również przewagę taktyczną. Zamieszanie dodatkowo powinna potęgować para wypuszczona z kotłów na dziedziniec elektrowni.

Rozkaz informujący o godzinie W dotarł do dowódcy WSOP Elektrownia 1 sierpnia wczesnym rankiem. Przed godz. 17 ładunek wybuchowy, broń i granaty trzeba było więc dostarczyć z miasta i wnieść na teren elektrowni. Konspiratorzy wykorzystali to, że pierwszego dnia miesiąca pracownicy wytwórni dostawali deputaty: mięso, chleb, cukier, wódkę... Materiał wybuchowy został więc przemyczony pod przydziałową rąbanką. Broń - w skrzyniach pod licznikami trójfazowymi, dwa pistolety maszynowe ukryto pod płaszczami (rano tego dnia padał deszcz). Jak wspominał kpt. Cubryna, ładunek udało się przygotować pół minuty przed godziną ataku.

„Materiały wybuchowe zostały umiejscowione pod koszarami, ściśle pod pokojem, w którym był dowódca grupy niemieckiej i punktualnie o godzinie piętej zostały odpalone” – opowiadał Wiesław Piotr Żochowski. Dalej powstańcy działali według planu. Dwoma kłatkami schodowymi ruszyło natarcie. Jak opisywał te starcia kpt. „Cubryna”, wybuch na parterze nie wyeliminował wielu żołnierzy niemieckich, „jednak kilku



Kpt. inż. Stanisław Skibniewski „Cubryna” żył w latach 1901-1958 i był dowódcą Zgrupowania WSOP „Elektrownia”, które 1 sierpnia 1944 r. rozpoczęło walkę o Elektrownię, a następnie ją zdobyło

z nich [detonacja] ciężko poraniła, resztę zaś mocno zdeprymowała, co ogromnie ułatwiło nam walkę”. O tym, co się działo w budynku technicznym opowiadał Wiesław Piotr Żochowski, który został ranny w twarz podczas tego ataku: „Nie było innego wyjścia. Ci Niemcy, którzy znaleźli się na korytarzach, byli po prostu likwidowani w walce, natomiast ci, którzy zostali jeszcze w pokojach... Rzucaliśmy granaty do tych pokojów...”. Zepchniętych do piwnic żołnierzy wroga obrzucono filipinkami i butelkami z benzyną. Niemcy jednak nadal się bronili – powstańcy

decydowali zalać piwnice wodą. Dwóch żołnierzy wroga utonęło, pozostali się poddali.

Walki o budynek techniczny trwały cztery godziny. Ale cały zakład miał – wraz z hałdami węglowymi – ponad 30 tys. mkw. Walki o elektrownię, krwawe, zawzięte, toczono na śmierć i życie, czasami nawet walki wręcz, trwały mniej więcej do 10 rano następnego dnia, kiedy cały teren zakładu znalazł się w rękach powstańców. Zdobyto m.in. wartownię główną, z wieży kościoła św. Teresy ostrzelano gniazdo cekaemu, likwidując opór wroga na dachu i poddaszu magazynów, zajęto budynek administracyjny po drugiej stronie Tamki, bunkry, halę maszyn, nastawnię i doły węglowe. Unieszkodliwiono też gniazdo cekaemu na 20-metrowej wieży na wprost wejścia do kotłowni, pozwalające Niemcom kontrolować znaczną część elektrowni. Na końcu opanowano hałdy węgla, na których Niemcy bronili się do

ostatniego naboju.

W walkach o elektrownię poległo sześciu powstańców, a 24 odniosło rany. Straty nieprzyjaciela to 14 zabitych i 35 rannych. Do niewoli trafiło ok. 60 osób.

Powstańców czekały jednak dalsze starcia – w obronie zdobytej elektrowni i codzienna walka o dostarczanie warszawiakom prądu. **Katarzyna Świrydowicz**

Przy przygotowaniu tekstu korzystałam z książki „Obroncy Stolicy. Energetycy w Powstaniu Warszawskim” oraz <http://armiakrajowa.org.pl/tabliczki/260.html>

Pamiętamy

- **Co roku 1 sierpnia** PGE Polska Grupa Energetyczna upamiętnia bohaterów Elektrowni Warszawskiej. Uroczystości pod hasłem „Energetycy w Powstaniu” są organizowane przy pomniku dowódców elektrowni, na skwerze Tadeusza Kahla (między Tamką a mostem Średnicowym).
- **PGE popularyzuje też historię powstańczych dokonań energetyków.** W 2022 r. PGE i Fundacja PGE stały się partnerem monografii o Elektrowni Miejskiej „Obroncy stolicy. Energetycy w Powstaniu Warszawskim” pióra Michała Tomasza Wójcika. Bogato ilustrowany materiałem zdjęciowym album ukazał się nakładem wydawnictwa Biały Kruk. Historię bohaterskich pracowników elektrowni na Powiślu, którzy zapewniali dostawy prądu dla walczącej stolicy, pokazywała również wystawa plenerowa „Energetycy w Powstaniu Warszawskim”. Była prezentowana w sierpniu ub. roku przed budynkiem PGE SA przy ul. Mysiej 2 w Warszawie.
- **W tym roku, w 79. rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego PGE po raz kolejny odda hołd energetykom walczącym w obronie warszawskiej Elektrowni Powiśle,** organizując uroczystość pod hasłem „Energetycy w Powstaniu”. Dodatkowo, w tym roku PGE przygotowała także film „Rozkaz: Zdobyć Elektrownię”, który jest ilustracją heroicznego przejęcia przez Powstańców Warszawskich Elektrowni Miejskiej Powiśle.

Prąd

dla walczącego miasta



Elektrownia Powiśle przez ponad 30 dni dostarczała prąd warszawiakom. Zachowanie ciągłości produkcji było niezbędne -zarówno dla powstania, jak i samych warszawiaków. I miało kluczowe znaczenie dla funkcjonowania walczącego miasta.

Powstanie warszawskie trwało 63 dni i 63 noce. Można postawić tezę, że gdyby powstańcy nie zdobyli elektrowni, upadłoby wcześniej.

„Energia elektryczna to był kontakt z całym światem, z naszymi sojusznikami – elektrownia to serce, a sieci: krwiociąg podtrzymujący życie wielkiego miasta” – pisał we wspomnieniach Antoni Nowakowski, „Gryf”, pracownik elektrowni i uczestnik powstania.

Prąd był potrzebny do produkcji uzbrojenia w rusznikarniach, warsztatach i zbrojowniach. Gros pozyskiwanej broni pochodziło właśnie z powstańczych warsztatów. Wytwarzano granatniki, butelki zapalające, granaty i miotacze ognia. Składano pistolety maszynowe Błyskawica i rodzimą wersję pistoletu maszynowego Sten.

Energia elektryczna był również niezbędna dla pracy powstańczych szpitali. W zajętych przez Polaków częściach miasta działało ich prawie 200, a w późniejszym okresie ta liczba się jeszcze zwiększyła.

Dzięki dostawom prądu z Powiśla pracowały drukarnie. Wydawano gazety powstańcze, drukowano plakaty i obwieszczenia władz. Podczas Powstania ukazywało się ponad 160 tytułów prasowych.

Produkcja elektrowni umożliwiała również pracę montażowni filmowej. Nakręcone przez powstańczych operatorów filmy były pokazywane w kinie.

Relację z pierwszego pokazu zamieścił „Robotnik”: „Dnia 13 sierpnia, w niedzielę, odbył się w Sali »Palladium« przy ulicy Żłotej pierwszy od 5 lat pokaz polskiego filmu. Była to kronika wykonana przez specjalną ekipę filmowców-żołnierzy Armii Krajowej w godzinie wybuchu powstania i w ciągu pierwszych dni walki. Sala wypełniona była po brzegi publicznością, która reagowała żywo i z wielkim wzruszeniem (...)”. Drugą kronikę filmo-

Wą wyświetlono 21 sierpnia. Pokazano m.in. nakręcone dzień wcześniej zdjęcia ze zdobycia PAST-y.

Wreszcie – dostawy prądu umożliwiły pracę powstańczej radiostacji Błyskawica, która od 8 sierpnia nadawała pogram redakcji AK i redakcji Polskiego Radia. Błyskawica była głosem powstańczym. Informowała, dodawała otuchy i podtrzymywała postawy patriotyczne. To m.in. dzięki Błyskawicy świat dowiadywał się o walkach w Warszawie, bo obok audycji po polsku radiostacja nadawała również programy w języku angielskim. Informacje podawane przez radiostację były cytowane przez europejską i amerykańską prasę oraz rozgłośnie radiowe. Błyskawica przestała nadawać 4 września, po zbombardowaniu elektrowni. Po czterech dniach wznowiła audycje, by zamilknąć 4 października.

SIEĆ, TELEFONY, WODA

Bombardowanemu i ostrzeliwanemu miastu potrzebna była działająca sieć elektryczna. Specjalnie utworzona ekipa techniczna elektrowni likwidowała awarie w mieście. Jej praca wiązała się dużym ryzykiem, bo naprawy nierzadko przeprowadzono pod ostrzałem.

2 sierpnia rejonowy delegat rządu Warszawy południe powołał do życia Biuro Spraw Elektrycznych, do którego zostali delegowani przedstawiciele elektrowni. Biuro miało za zadanie doprowadzenie prądu tam, gdzie był potrzebny. Energetycy tworzyli prowizoryczne linie elektryczne, prowadzili prace techniczne, naprawiali usterki w połączeniach. I odłączali prąd Niemcom – już na początku sierpnia zaprzestano dostaw do dzielnic niemieckich.

Pracownicy elektrowni nie tylko zapewniali prąd walczącemu miastu. Dzięki ich staraniom nawiązano łączność telefoniczną między Powiślem a Żoliborzem i Mokotowem. Mokotów zyskał też połączenie ze sztabem dowódcy powstania. Linia działała do zakończenia pracy elektrowni na początku września.

Palącym problemem dla miasta stał się brak wody, której dostawy Niemcy odłączyli 14 sierpnia, i nieczynna kanalizacja. Fachowcom z elektrowni udało się doprowadzić wodę do budynku administracyjnego elektrowni, gdzie funkcjonował szpital powstańczy, a w schronach kryła się ludność cywilna. Próba dostarczenia wody dla całego Powiśla i do Śródmieścia



W jednym z warsztatów w budynku technicznym zostało zorganizowane stanowisko strzeleckie. Na pierwszym planie widoczny ppor. Feliks Wodzyński „Semek” (z karabinem Mauser), a dalej ppor. Wincenty Szantyr „Ursyn”

zakończyła się jednak niepowodzeniem. Bombardowanie uszkodziło magistralę, a woda, zalała domy przy Wareckiej. Uszkodzenia nie można było usunąć, podjęto więc decyzję o odłączeniu wodociągu.

3 września Niemcy zniszczyli przepompownię ścieków przy Karowej. Nieczystości wybijały i zalewały piwnice na Powiślu. Robotnicy elektrowni podjęli próbę przywrócenia odpływu ścieków. Niemcy ostrzelali ich z granatników. Kilku zostało ciężko rannych.

POD PARĄ I OSTRZAŁEM

Wspomina Edward Jabłoński: „Elektrownia miała trzy kotłownie węglowe wytwarzające parę i napędzające turbiny w maszynowni. W czasie powstania nie brakowało węgla, bo niedługo przed 1 sierpnia dyrekcja zrobiła duży zapas. Największym problemem był ostrzał”.

Ten był prowadzony praktycznie ze wszystkich stron. Z mostu Średnicowego przez pociąg pancerny i baterię dział; z ogródka jordanowskiego położonego w pobliżu tego mostu, z położonego na skarpie powyżej Uniwersytetu Warszawskiego, z brzegu praskiego, a nawet z Wisły przez pływającą rzeką kanonierkę wyposażoną w działko; z pociągu pancernego, który podjechał do zakładu od strony mostu Kierbedzia. Czołgi nieprzyjaciela kilkakrotnie atakowały elektrownię od strony mostu Średnicowego. Podjeżdżające do zakładu samochody terenowe i ciężarówki powstańcy ostrzeliwali broni maszynowej, obrzucali butelkami z benzyną i granatami.

„W tych warunkach praca bieżąca polegająca na utrzymaniu wytwórni w ruchu stawiała się coraz bardziej ciężka i niebezpieczna” – pisał Włodzimierz Rostonec. Obawiano się uderzenia pocisku w znajdujący się pod parą tzw. walczak (cylindrycz-

ny zbiornik ciśnieniowy) kotła. Zniszczenia spowodowane jego eksplozją byłyby porównywalne do efektów wybuchu kilku bomb. Odłamki z rozrywających się pocisków nie raz dziurawiły jednak przewody parowe i wodne. Powstańcy wspominają, że kotłownia zamieniała się wówczas w piekło. Temperatura pary dochodziła do 350 stopni C, a wody – do 120 stopni, mimo to przedziurawiony przewód trzeba było naprawić. „To była cholerna praca” – wspominał Antoni Nowakowski ps. „Gryf”.

Elektrowni brakowało rąk do pracy, ponieważ część załogi skierowano do walki. W połowie sierpnia powstańcza gazeta „Barykada Powiśla” zamieściła „Apel Elektrowni”: „(...) Jedną z największych przeszkód w dostawie prądu jest zupełny brak ochotników fizycznych, niezbędnych dla funkcjonowania Elek-

Charakterystycznym uzbrojeniem ochronnym załogi Elektrowni były szare hełmy Straży Przemysłowej, ale noszono też przedwojenne polskie hełmy wojskowe lub strażackie, a także hełmy zdobyte na Niemcach



trowni. Brakuje codziennie 20 robotników. Dlatego wzywamy tych wszystkich, którzy mogą poświęcić kilka godzin pracy, aby zgłaszali się niezwłocznie do administracji Elektrowni Miejskiej przy ul. Elektrycznej, gdzie otrzymają odpowiedni przydział pracy (...).”

W ogłoszeniu informowano również, że praca jest płatna, a pracownicy elektrowni otrzymują deputaty.

Funkcjonowanie elektrowni zakłóciło w drugiej połowie sierpnia uszkodzenie ostrzelanej przez Niemców suwnicy, czyli urządzenia umożliwiającego transport paliwa z dołów węglowych. Jej naprawa trwała trzy dni. Ale dostawa węgla do bunkrów pod kotłami nie mogła być przerwana. Kiedy pracowników, którzy mieli przewozić węgiel wagonikami, ostrzelano podczas ładowania, zdecydowano się wykorzystać do tej pracy jeńców - Niemców i volksdeutsche. Oni już nie byli nękani przez niemiecki ostrzał.

Elektrownia zapewniała energię dla Mokotowa do ostatnich dni sierpnia – wtedy niemieckie bomby przerwały przewód dostarczający prąd do tej dzielnicy. Powiśle i Śródmieście miały zasilanie do 4 września – ostatniego dnia funkcjonowania elektrowni.

PIEKŁO

Po upadku Starego Miasta 2 września część grupy bojowej gen. Reinefartha,



odpowiedzialnej m.in. za rzeź Woli, i brygady SS Dirlewangera skierowano przeciwko Powiślu. Natarcie poprzedziły ostrzał i bombardowanie dzielnicy. Nalot sztukasów (Junkers Ju-87) na elektrownię rozpoczął się rankiem 4 września. „Usłyszałem warkot silników samolotowych (...). Warkot zbliżał się i nagle przekształcił się w wycie pikujących maszyn. Potem jeden wybuch, drugi, trzeci i bardzo blisko, a w końcu wycie tuż nad głową, a raczej nad spalalnią” – wspominał Antoni Nowakowski „Gryf”. W elektrowni rozpętało się piekło. „Paliło się dosłownie wszystko: jezdnie, chodniki, dachy” – opisywał krajobraz po bombardowaniu Lechosław Blicharski „Hiszpan”. „Cała elektrownia stała w płomieniach. Dziedziniec wyglądał jak cementarz w dniu Zaduszek, tyle było płomyków od rozsypanych bomb zapalających. (...) Turbogeneratory przestały wytwarzać energię elektryczną, stanęły więc wszystkie silniki w elektrowni. Pompy przestały podawać wodę na kotły, stanęły ruszty, przestały pracować wentylatory ciągu, turbina automatycznie została wyłączona i przestała pobierać parę, nadmiar jej wytworzony w kotłach wydostał się przez kłapy bezpieczeństwa (...) – tak „Gryf” wspominał zniszczenia dokonane przez nalot.

Elektrownia legła w gruzach. Prąd przestał płynąć do walczącego jeszcze miasta. Nie oznaczało to jednak końca bombardowań. „Zwały się blisko bomby, zostaliśmy zasypani gruzem, dusiliśmy się kurzem i dymem. Wyrzębani przy pomocy pracowników kotłowni, zostaliśmy doprowadzeni do budynku dowództwa, którego dolne piętra były już zatopione. Następny nalot zniszczył i ten budynek. Wyciągnięto mnie zduszonego i nieprzytomnego lukiem windy” – opisywał nalot 5 września ppor. Stanisław Cendrowski ps. „Sulimczyk” (pięściarz, działacz bokserki, a po wojnie prezes Polskiego Związku Bokserskiego).

Tego samego dnia kapitan Cubryna wydał swoim żołnierzom rozkaz wycofania się z ruin Elektrowni.

Katarzyna Świrydowicz

Przy przygotowaniu tekstu korzystałam z książki „Obrońcy Stolicy. Energetycy w Powstaniu Warszawskim” oraz <http://armiakrajowa.org.pl/tabciczki/260.html>

Powstańczy Kubuś

- Odrestaurowanego Kubusia można oglądać w Muzeum Wojska Polskiego, jego replika stoi w Muzeum Powstania Warszawskiego. Jedyny w historii II wojny światowej samochód pancerny, skonstruowany i wykonany przez żołnierzy podziemia, stał się powstańczą legendą. Jego budowa to zasługa m.in. powstańców z elektrowni.
- Kubuś dwukrotnie brał udział w atakach na Uniwersytet Warszawski który podczas powstania zamienił się w ufortyfikowaną niemiecką twierdzą. Z położonego na skarpie i górującego nad Powiślem terenu uniwersytetu, bronionego przez trzy bunkry i zasieki, Niemcy prowadzili ostrzał pozycji powstańców z broni maszynowej i granatników. Ataki na Uniwersytet prowadzone przez żołnierzy „Krybara” – kpt. Cypriana Odorkiewicza – nie przyniosły oczekiwanego rezultatu. Powstał więc pomysł budowy pojazdu pancernego, który mógłby wesprzeć powstańców. Od pomysłu do przemysłu minęło... 13 dni.
- Dowódca Grupy Bojowej „Krybar” powierzył budowę samochodu „Janowi” – inżynierowi Walerianowi Bieleckiemu 9 sierpnia. Pomocy udzielił mu kapitan „Cubryna”, dowódca Zgrupowania Elektrownia, które wówczas już wchodziło w skład Grupy Bojowej „Krybar”. Elektrownia na potrzeby budowy pojazdu przekazała nie tylko ciężarówkę Chevrolet 157, ale także blachy i kątowniki oraz sprzęt spawalniczy. Oddelegowała również swoich spawaczy i mechaników. 12 ludźmi, którzy budowali Kubusia w warsztacie u zbiegu Topieli i Tamki, kierował Józef Fernik „Globus”. To pseudonimem jego poległej 4 sierpnia żony, lekarki Małgorzaty Fernik „Kubuś”, został nazwany pojazd.
- Ukończony 22 sierpnia Kubuś już następnego dnia – wraz ze zdobycznym transporterem opancerzonym Jasem – wziął udział w ataku na UW. Brali w nim udział i wspierali go również powstańcy z elektrowni. Do drugiej próby zdobycia Uniwersytetu, w której uczestniczył Kubuś i powstańcy z Elektrowni, doszło 2 września.
- Odnaleziony po wojnie Kubuś został odrestaurowany m.in. przez Józefa Fernika, który go budował.

FOTOGRAFIE ARCHIWALNE: [DANNA JASTRZĘBSKA-WOŹNIAK, ALEKSANDRA TRZĘBICKA, ALEKSANDER KANI (DZIAŁ KRONIKARSTWA I FOTOGRAFII MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO), ARCHIWALNE MATERIAŁY FILMOWE: JAN RAZULIKIEWICZ, ANNA KOBIELEWSKA (ARCHIWUM HISTORII MÓWIONEJ MUZEUM POWSTANIA WARSZAWSKIEGO)]

ENERGETYCY

w Powstaniu Warszawskim

ENERGY WORKERS IN THE WARSAW UPRISING



2. sierpnia 1944 roku pracownicy Elektrowni Powiśle pod dowództwem kpt. Stanisława Skibniewskiego „Cubryny”, po heroicznej walce, przejęli kontrolę nad elektrownią. W pierwszym dniu walk był to jeden z najważniejszych sukcesów militarnych Powstańców. Jeszcze większym sukcesem była obrona i utrzymanie dostaw energii elektrycznej dla walczącej Warszawy, co pozwoliło funkcjonować walczącemu miastu. Dzisiaj, jako przedstawiciele branży energetycznej, oddajemy hołd bohaterskim Energetykom.



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

DEFILADA

To było wydarzenie bez precedensu, nawet jak na ówczesne warunki okupacji komunistycznej w Polsce. 3 maja 1946 r., w dniu święta Konstytucji 3 Maja (już przez Polskę Ludową brutalnie zwalczanego), zgromadzenie oddziałów partyzanckich NSZ bezkrawa-wo opanowało miejscowość wypoczynkową Wisła. Odbędzie się okolicznościowa defilada (!), dosłownie pod nosem UB, MO i Sowietów. Była to demonstracja wojskowa, a także polityczna i moralna, defilada spotkała się bowiem z entuzjastycznym przyjęciem mieszkańców i przyjezdnych kuracjuszy.

Zgrupowaniem oddziałów partyzanckich VII Okręgu NSZ dowodził kpt. Henryk Flame „Grot”, „Bartek”. Podlegało mu łącznie kilkanaście oddziałów zbrojnych, liczących ponad 300 żołnierzy, było to zatem jedno z największych zgrupowań partyzanckich biorących udział w powstaniu antykomunistycznym.

Kapitan „Bartek” przed wojną służył w WP jako instruktor-pilot w 2. Pułku Lotniczym w Krakowie. Brał udział w wojnie obronnej i chlubił się w konspiracji antyniemieckiej, pokazał swój talent organizacyjny i polityczny po nadejściu nowych okupantów – sowieckich i ich kolaborantów. Zgodnie z odezwaniami Komendy Okręgu NSZ-owcy realizowali cele polityczne: „Nie daliśmy i nie damy się zwieść fałszywym i podstępny głosom

tych, którzy usiłują sprzedać Ojczyznę i Naród bolszewizmowi. [...] nie pójdziemy na kompromis z parobkami bolszewickimi, nie staniemy do rzekomej współpracy nad odbudową państwa polskiego przy boku fałszywego, samozwańczego rządu, popieranego przez bolszewię i krajową hołotę PPR-owską”.

Zgrupowanie kpt. „Bartka” utrzymywało kontakty z innymi ugrupowaniami antykomunistycznymi, w tym z WiN i KWP.

Jesienią 1946 r. do tego zgrupowania przeniknęli jednak agenci bezpieki i doprowadzili do zlikwidowania prawie 200 żołnierzy na terenie Opolszczyzny. Kapitan „Bartek” z resztą żołnierzy trwał w partyzantce w okolicach Baraniej Góry. W marcu 1947 r. część z nich, wraz z dowódcą, skorzystała z tzw. amnestii.

Od maja 1945 do lutego 1947 r. zgrupowanie przeprowadziło ok. 340 akcji zbrojnych, m.in. rozbiło pięć placówek UB i 12 posterunków MO. Kapitan „Bartek” z resztą żołnierzy dotrwał w partyzantce w okolicach Baraniej Góry i 11 marca 1947 r. się ujawnił. 1 grudnia 1947 r. został zamordowany strzałem w plecy przez funkcjonariusza MO, u którego wykryto... „chorobę psychiczną”, i sprawę przeciw niemu umorzono, a mordercę pośpiesznie przeniesiono na inny teren. Część jego podkomendnych walczyła jeszcze z komunistami przez kilka kolejnych lat. ©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Pogrzeb księcia Pepi

Paradoksem śmierci księcia Józefa Poniatowskiego w bitwie pod Lipskiem było to, że książę zginął od sprzymierzonej, francuskiej kuli. W ostatnich chwilach otaczało go bowiem kilku nastu podwładnych, wśród których byli krakusi. Umundurowani w sposób podobny do kozaków zostali uznani przez Francuzów z drugiego brzegu rzeki za Rosjan. Ogień skoncentrowano na oficerze znajdującym się na czele grupy i książę znalazł śmierć z rąk sojuszników.

Ciało Poniatowskiego wyłowiono po pięciu dniach. Po identyfikacji zwłoki przeniesiono na cmentarz w Lipsku, a nad Elsterą położono pamiątkowy kamień. W tym czasie resztki polskich oddziałów (pod Lipskiem poległo 9 tys. naszych rodaków, a 3 tys. dostało się do niewoli) wycofały się wraz z Napoleonem na zachód i miały służyć cesarzowi do czasu jego abdykacji w kwietniu 1814 r. Bonaparte zastrzegł wówczas, że Polacy będą mieli prawo do honorowego powrotu do ojczyzny z bronią i ze sztandarami.

Wraz z nimi powróciła do Polski trumna z ciałem Poniatowskiego, a na trasie przejazdu konduktu zbierały się tłumy, oddając hołd bohaterowi. W Warszawie karawan salutowały oddziały rosyjskie okupujące stolicę, a za wozem postępował ze swoim sztabem głównodowodzący wojsk carskich, feldmarszałek Michaił Barclay

de Tolly. Początkowo zwłoki złożono w kościele św. Krzyża, ale już 23 lipca 1817 r. zostały przeniesione na Wawel. Dotychczas chowano tam tylko władców i ich najbliższe rodziny i dopiero książę Józef zapoczątkował tradycję grzebania w katedrze bohaterów narodowych. Niespełna rok później trafił tam Tadeusz Kościuszko.

Wprowadzie Kraków oficjalnie był wówczas stolicą niezależnego państewka (Rzeczypospolitej Krakowskiej), ale zgodę na pogrzeb Poniatowskiego musiał wydać Aleksander I. Carowi jednak Poniatowski bardzo imponował, a to, że odrzucił propozycję poddania się po klęsce Napoleona w Rosji, wzmacniało jeszcze podziw imperatora. Poza tym rosyjski samowładca potrafił docenić wierność złożonej przysiędze i stawianie honoru ponad wszystko.

Aleksander I bowiem naszanował, a żaden monarcha nie mógł sobie pozwolić na rezygnację z tak bitnych i wiernych żołnierzy. To, że w Wiedniu zdecydowano o powstaniu Królestwa Kongresowego, także było zasługą księcia Józefa. Dzięki temu przez następne lata przetrwały resztki polskiej państwowości i właściwie nigdy nie zostaliśmy ostatecznie wchłonięci przez Rosję. A legenda księcia rosła z upływem czasu i Poniatowski pozostał wzorem dla kolejnych pokoleń powstańców i bojowników o wolność i niepodległość. ©

Powszechna mobilizacja na Ukrainie jest wciąż przedłużana. Nic dziwnego. Od 24 lutego 2022 r. kraj permanentnie zмага się z inwazją rosyjską, nastroje społeczne są zaś takie, że ekipa rządząca, choćby chciała, nawet słowem nie piśnie o rozmowach pokojowych z agresorem. Nie oznacza to jednak, że wszyscy Ukraińcy tak samo chętnie chwytają za broń. Wielu mężczyzn w wieku poborowym wbrew prawu wyjeżdża za granicę, próbując uniknąć pójścia na front. Proceder zatacza coraz szersze kręgi. Unikać służby pomagają skorumpowani przedstawiciele władz w Kijowie. Niedawno Narodowe Biuro Antykorupcyjne Ukrainy (NABU) postawiło zarzuty jednej z parlamentarzystek oraz jej asystentce. Deputowana do Rady Najwyższej oraz jej współpracownica miały za pieniądze załatwiać obywatelom Ukrainy przepustki umożliwiające wyjazd z kraju. Mężczyźni, dzięki otrzymanym za łapówki dokumentom, mieli przekraczać granicę jako kierowcy przewożący ładunki na potrzeby armii albo pomoc humanitarną. Parlamentarzystka została zatrzymana na gorącym uczynku. Gdy do jej drzwi w luksusowej posiadłości zapukały służby, nie wiedząc, co zrobić z nielegalnie zarobionymi pieniędzmi, przerzuciła je przez płot na teren sąsiada. NABU nie ujawniło tożsamości posłanki. Media spekulują jednak, że mogła być nią Ludmiła Marczenko z partii Sługa Narodu Wołodymyra Zełenskiego.

„UCHYLANCI”

„Nie chcę być martwym bohaterem. Wolę być żywy i uchylać się od służby wojskowej” – przyznał informatyk Maksym w rozmowie z Mają Oreł, dziennikarką portalu telewizji Hromadske. Dodał przy tym jednak, że sam płaci wysokie podatki i przekazuje dużo swoich pieniędzy na Siły Zbrojne Ukrainy. Maksym był porucznikiem rezerwy. Pomimo doświadczenia wojskowego nie pała chęcią walki w okopach. Rozmówcy Mai Oreł wypowiadali się anonimowo, prosili nawet, by nie nagrywać ich wypowiedzi na dyktafon. Bali się, że ich tożsamość zostanie wykryta, a oni ukarani za uchylanie się od służby. Dziennikarka przyznaje, że temat jest dla niej dość osobisty. Z problemem „uchylantów”



Zdrajcy i dezenterzy



Maciej Pieczyński

Nad Dnieprem wciąż panuje bojowy duch. Absolutna większość społeczeństwa nie wyobraża sobie jakichkolwiek ustępstw wobec agresora. Wśród Ukraińców zdarzają się jednak również zdrajcy, kolaboranci, a także tacy, którzy po prostu nie chcą umierać na froncie. I unikają armii, jak tylko mogą

Proces Nikolaya Germana, byłego szefa prokuratury miasta Mikołajowa, oskarżonego o współpracę z Rosjanami

FOT. ALENA SOLOMONOVA/PAP



(tak na Ukrainie nazywa się tych, którzy unikają pójścia w kamasze) zetknęła się już w pierwszym tygodniu pełnowymiarowej inwazji rosyjskiej. „Wnuk mojej sąsiadki nie przyjechał na jej pogrzeb z innego regionu. Bał się, że po drodze na jakimś blockpoście [posterunku – przyp. red.] go zatrzymają i zmobilizują. Ona go wychowała na własnych rękach. A on nie przyjechał” – opisuje dziennikarka. Następnie, jak relacjonuje, zaczęła wypytawać „uchylantów” o powody. Odpowiedzi zazwyczaj były ostre, agresywne. „Bo też jaki mężczyzna będzie chętnie tłumaczył się przed obcą kobietą, dlaczego nie zamierza bronić (swojego kraju)?” – pyta retorycznie Maja Oref. Jeden z jej rozmówców opowiadał, że już w 2014 r. załatwił sobie odpowiednie zaświadczenie, aby nie iść do wojska. „Myśli pani, że tylko w Rosji jest propaganda?! U nas to samo. A niby dlaczego nie odbudowują zniszczonych budynków w Buczy? Bo te ruiny są im potrzebne dla propagandy” – przekonywał dziennikarkę. Opowiadał też o swoim znajomym, który, aby uniknąć mobilizacji, adoptował dziecko z zespołem Downa. Kucharz Danyło z kolei

unika wojska, bo nie wyobraża sobie, że mógłby celować z broni palnej do innego człowieka. Co kilka miesięcy zmienia miejsce pracy i zamieszkania, żeby nie dostać wezwania. Problemu z tym nie ma, bo „kucharzy wszędzie potrzebują”. „Mojemu synowi przysłali aż dwa wezwania w ciągu pierwszego tygodnia wojny. Jak to można było wytrzymać? Zaufani ludzie pomogli przerzucić go przez granicę. Cieszę się, że jest już bezpieczny. Odchodzę od zmysłów za każdym razem, gdy słyszę alarm bombowy. Nie wyobrażam sobie, jak bym żyła, gdyby syn był na froncie. On jest bardzo wrażliwy, a na wojnę powinni iść ludzie z zimną krwią” – opowiada dziennikarce jej koleżanka z dzieciństwa. „Czyli ginąć w twojej obronie mają synowie innych kobiet?” – dopytuje z oburzeniem autorka reportażu. „To wszystko jest takie straszne. Wszystkich jest mi bardzo szkoda. Tobie to dobrze, bo masz córkę” – ripostuje matka „uchylanta”.

W tekście wypowiada się psycholog prof. Wadym Wasiutynski. Stwierdza, że uchylenie się od ryzyka jest normalnym odruchem człowieka, który to jednak odruch wchodzi w konflikt z wyznawanymi przezeń wartościami. Wasiutynski wymienia cztery przyczyny, dla których niektórzy Ukraińcy uchylają się od walki. Pierwsza: nie chcą umierać. Druga – mężczyzna martwi się o własną rodzinę. Kto się nimi zaopiekuje, gdy on będzie na froncie? Trzecia – „absolutna większość ludzi, właśnie z powodu instynktu przeżycia, nie chce zabijać. Są dane, zgodnie z którymi realnie na wojnie do wroga strzela tylko 2–3 proc. żołnierzy. Przeważająca większość strzela tylko w kierunku wroga. Bo tak łatwiej dla psychiki”. Czwarta przyczyna – gdy obywatel Ukrainy jest tzw. wata, czyli ma poglądy prorosyjskie.

JAK KARAĆ UCIEKINIERÓW?

Generalnie zgodnie z przepisami obowiązującego stanu wojennego ukraińscy mężczyźni między 18. a 60. rokiem życia, poza nielicznymi wyjątkami, nie mogą opuszczać kraju. A jednak, jak informują media nad Dnieprem, na granicach zatrzymywanych jest po kilkaset osób dziennie, próbujących uciec przed mobilizacją. Dziesiątkom zaś codziennie udaje się swój cel osiągnąć. Dziennikarka por-

tału Glavkom Natalia Antoniuk zapytała na Facebooku, dlaczego kraje europejskie nie deportują uciekinierów do ojczyzny. „Dlaczego na Ukrainie nie ma żadnej podstawy prawnej, aby tych ludzi ukarać?” – dziwiła się dziennikarka. Jej post wywołał wielką dyskusję. Większość internautów poparła ideę ukarania uciekinierów. Niektórzy jednak przekonywali, że zakaz wyjazdu z kraju to naruszenie praw człowieka. „W państwach europejskich jest demokracja, prawa człowieka, praworządność, a u nas Korea Północna”; „Jak ktoś nie chce walczyć, to jego prawo. Ja też nie chcę walczyć, choć wyjechałem z kraju jeszcze przed wojną” – również takie głosy się pojawiły. Generalnie za granicę w wieku poborowym mogą wyjechać mężczyźni, którzy: są wyłączeni ze służby wojskowej z powodów zdrowotnych; mieszkają na stałe za granicą; mają pozwolenie na wyjazd w związku ze stanem zdrowia (np. na leczenie), z sytuacją rodzinną albo wykonywaną pracą; żołnierze, mający specjalne pozwolenie; kobiety i mężczyźni pracujący w służbie państwowej.

Co ciekawe, ubocznym skutkiem powszechnej mobilizacji okazał się wzrost zainteresowania... wykształceniem wyższym wśród młodych Ukraińców. Masowo szturmują uniwersytety, aby uniknąć wezwania na front. Na niektórych uczelniach liczba studentów mężczyzn wzrosła w porównaniu z poprzednim rokiem nawet 10-krotnie.

Na początku czerwca SBU informowała szczegółowo o konkretnych przypadkach uchylania się od służby wojskowej. W Kijowie zatrzymano dwie osoby, które proponowały mężczyznom w wieku poborowym fałszywe dokumenty poświadczające „zły stan zdrowia”. Jedną z nich był żołnierz Gwardii Narodowej. W Zaporozżu przewodnicząca rejonowej komisji zajmującej się orzekaniem o stopniu niepełnosprawności poszła jeszcze dalej. Wpisywała do dokumentów nieistniejące stopnie niepełnosprawności. Podczas przeszukiwania znaleziono u niej 100 tys. dol. W Dnieprze kierownik miejscowej organizacji charytatywnej wydawał zaświadczenia rzekomym wolontariuszom, które umożliwiały wyjazd za granicę właśnie w celach charytatywnych. Dostawca gazu z Kirowohradu fikcyjnie zatrudniał mężczyzn, którzy

■ w ten sposób nie tylko uniknęli zaciągnięcia do wojska, lecz także otrzymywali pensje za pracę, której nie wykonywali. Na Żytomierszczyźnie pewna firma otrzymała zamówienia od wojska, dzięki czemu mogła 50 proc. pracowników zwolnić ze służby. Szef firmy zaczął więc masowo zatrudniać swoich znajomych, żeby pomóc im uniknąć wojska.

Co istotne, poczta nie jest jedyną drogą, którą może przyjąć wezwanie do wojenkomatu. Wręczanie wezwań odbywa się dosłownie wszędzie. Również w miejscach publicznych. Nawet na plażach, jak piszą ukraińskie media. Za niestawienie się na wezwanie grozi grzywna.

CZEKAJĄC NA „ROSYJSKI ŚWIAT”

Osobnym problemem są ci, którzy nie tylko boją się walczyć, lecz także wręcz służą okupantom. Szczególnie jest to problem na terenach rosyjskojęzycznego południowego wschodu kraju, gdzie od początku inwazji trwają zacięte walki. Część mieszkańców, jeszcze na długo przed 24 lutego 2022 r. wychowywana na rosyjskiej propagandzie i nieczująca związku z Kijowem, po prostu czeka tam na „wyzwolicieci”. Stąd określa się ich mianem „żdunów” („żdun” od „żdat”, czyli po rosyjsku czekać). Z reguły jednak są to bierni zwolennicy Moskwy. Niekoniecznie wychodzą witać „wyzwolicieci” z kwiatami. Popierają agresora po cichu. Na pytania reporterów wojennych z Zachodu odpowiadają jednak szczerze – tak, wolą „rosyjski świat”. Wierzą też w kłamstwa kremłowskiej propagandy o tym, że bombardują ich Ukraińcy, nie zaś Rosjanie. Poznać ich można po tym, że na widok nadchodzących rosyjskich kolumn nie uciekają, nie ewakuują się. Zostają.

„Żduny” to jeszcze najbardziej łagodna forma kolaboracji. Kolaboracji biernej. Zdradzają się jednak również bardzo aktywni i szkodliwi zdrajcy, którzy wprost przechodzą na stronę okupanta. Pod koniec czerwca 2023 r. rosyjskie rakiety spadły na Kramatorsk, m.in. na znaną lokalną pizzerię, w której spotykali się zagraniczni korespondenci czy wolontariusze. Niedługo potem okazało się, że za atakiem stał mieszkaniec tego donbaskiego miasta. Obywatel Ukrainy, który filmował gości pizzerii i nagrania przesyłał Rosjanom. Miał również donosić, gdy w lokalu przebywali ukraińscy oficerowie. Wcześniej

podobny przypadek miał miejsce w Dnieprze. Okoliczny mieszkaniec zbierał dane dotyczące ukraińskich pozycji i przysyłał je swojemu synowi, który... służył w siłach rosyjskich. To umożliwiło najeźdźcom skuteczny ostrzał miasta. We wrześniu 2022 r. SBU zatrzymała Ukrainkę, która wysyłała Rosjanom zdjęcia dokumentujące skutki ich ostrzału, a także informowała ich, jakim sprzętem wojskowym w Łysyczańsku dysponują Ukraińcy. Miesiąc później w ręce ukraińskiej policji wpadł mieszkaniec wsi Gorochowatka w obwodzie charkowskim. Informował okupantów, którzy z jego sąsiadów mają proukraińskie poglądy.

Kolaboracja dotyczy nie tylko tego typu „drobnych” przypadków. Na współpracę z okupantem idą również urzędnicy, politycy czy dziennikarze, którzy absolutnie nie ukrywają przejścia na stronę Rosji. Szefowa regionalnej chersońskiej telewizji postanowiła nie odchodzić z pracy, gdy miasto zajęł

Kolaboracja, zdrada czy unikanie udziału w obronie kraju to problem, z którym Ukraina będzie się musiała zmierzyć

agresor. Prowadzona przez nią stacja po prostu zmieniła wektor z proukraińskiego na prorosyjski. Na terenach okupowanych kolaborowali byli politycy partii opowiadających się za zbliżeniem z Moskwą. Wczorajsi agenci wpływu stali się wprost kolaborantami okupanta. Zajmowali stanowiska w okupacyjnej administracji, brali udział w przygotowywaniu pseudoreferendów w sprawie włączenia do Rosji. Na współpracę z Moskwą poszła też pewna część kadry SBU. Tym tłumaczono stosunkowo szybkie poddanie obwodu chersońskiego.

Zgodnie z ukraińskim prawem za współpracę z Rosją, negowanie faktu agresji rosyjskiej, zaprzeczanie zbrodniom dokonanym przez okupanta, a także za agitację na rzecz Moskwy grozi do 15 lat więzienia. W szczególnych przypadkach – nawet dożywocie. Sąd może ponadto zdecydować o zakazie piastowania urzędów publicznych na okres co najmniej 10 lat. „Nikt nie uniknie konsekwencji kolaboracji.

Niezależnie od tego, kiedy to się stanie. Najważniejsza jest nieuchronność tego, że sprawiedliwości stanie się zadość” – mówił Wołodymyr Zełenski trzy miesiące po wybuchu pełnowymiarowej wojny, zapowiadając zaostrenie prawa w tej kwestii.

SUROWO ZE ZDRAJCAMI

W ukraińskim społeczeństwie powszechna jest wola rozprawy ze zdrajcami. Według sondażu, przeprowadzonego pod koniec 2022 r., absolutna większość obywateli opowiada się za surowym karaniem. Trzydzieści dziewięć procent respondentów uznało, że samosady na zbrodniarzach wojennych są dopuszczalne. Siedemdziesiąt osiem procent badanych stwierdziło z kolei, że kolaborujących z okupantem urzędników i funkcjonariuszy służb państwowych nie powinna obejmować żadna amnestia. Samosady zresztą nie należą do rzadkości. Politolog Taras Czornowił, były działacz prorosyjskiej Partii Regionów, a także były szef sztabu wyborczego Wiktora Janukowycza, wyładował w kontenerze na śmieci. Wcześniej obłano go zieloną farbą. „Hańba! Tak będzie z każdym zdrajcą!” – krzyczeli mężczyźni, którzy wyrzucili polityka na śmietnik. Nagranie incydentu trafiło do Internetu. Czornowił został ukarany nie tylko za swoje poglądy i dawną przynależność partyjną, lecz także za to, że miał obrazić wdowę po żołnierzu, który zginął na froncie. Ponadto w Internecie można znaleźć mnóstwo nagrań pokazujących samosąd na kolaborantach czy szabrownikach, przyklejanych choćby taśmą klejącą do lamp w centrach miast. Ukraińcy w swej masie nie zamierzają tolerować zdrajców.

Kolaboracja, zdrada czy unikanie udziału w obronie kraju to problem, z którego skutkami przyjdzie się Ukrainie w przyszłości zmierzyć. Wysokie wyroki dla tych, którzy wprost przeszli na stronę wroga, nie powinny budzić żadnych wątpliwości. Trudniejsza będzie sprawa ze „żdunami” czy „uchylantami”. Co z nimi zrobić? Znaleźć na nich paragraf i kontynuować rozliczenia po tym, gdy już strzały na froncie ucichną? Czy jednak zaniechać eskalacji napięcia wewnętrznego i postarać się ich „miękką siłą” zachęcić do ukraińskości? Na te pytania Kijów jeszcze będzie szukał odpowiedzi.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Bałkany produkują o wiele więcej historii, niż są w stanie pochłoniąć” – to jedna z sentencji Winstona Churchilla, która nie traci na aktualności. Na obszarze byłej Jugosławii spokój jest na ogół tylko czasowy, bo – choć nie zawsze media o tym informują – cały czas tam wrze. W różnych miejscach. I od kilku lat niezmiennie dwa najbardziej zapalne punkty to Kosowo i Republika Serbska. Powody wciąż te same, także ci sami wielcy aktorzy międzynarodowi, z Rosją, Niemcami i USA na czele. Zmieniają się jednak lekko, ale zauważalnie akcenty. Czy będzie znowu wojna? Rosji byłaby ona na rękę, dla USA wręcz odwrotnie. I z tego także wynika lekka, choć zauważalna zmiana podejścia Stanów Zjednoczonych do Serbii i Kosowa.

BOŚNIACKIE DOMINO

Zacznę od niepopularnej tezy – zarówno w przypadku Kosowa, jak i Republiki Serbskiej lub – mówiąc szerzej – Bośni i Hercegowiny oraz Kosowa nie trzeba Rosji, by się kotłowało. Co nie znaczy, że Rosja nie wykorzystuje okazji, by się wtrącić i zamieszać. Dwadzieścia osiem lat po zakończeniu wojny w BiH, najbardziej krwawego konfliktu w Europie po zakończeniu drugiej wojny światowej, który kosztował życie kilkuset tysięcy ludzi, i po podpisaniu porozumienia pokojowego w Dayton animozje między Serbami, Chorwatami i bośniackimi muzułmanami wciąż istnieją. Zmieniły się jednak sojusze. Teraz to coraz częściej Chorwaci z Serbami razem działają lub przynajmniej protestują przeciw dominacji muzułmańskiej. Wszystko to w ramach dziwacznej politycznej struktury, jaką od strony formalnej jest BiH, na której czele stoi trzyosobowe prezydium wymieniające się rotacyjnie. W praktyce to oznacza, że rządy sprawują wymienieni przedstawiciele Serbów, Chorwatów i Bośniaków. Jest to kłopotliwa pod każdym względem figura. Jednak choć wszyscy na nią narzekają, to wszyscy też zdają sobie sprawę, że jej naruszenie mogłoby przynieść więcej kłopotów niż pożytku i zachwiać mozolnie utrzymaną równowagę.

Prawie rok temu miejscowi Serbowie opowiedzieli się jednak za wycofaniem swoich przedstawicieli z organów są-

downiczych i prokuratorskich, wojskowych, wywiadowczych, co jest poważnym krokiem do stworzenia własnego systemu politycznego lub wręcz gabinetu cieni. Nie działo się to bez związku z aktywnością rosyjskich dyplomatów i polityków, którzy oficjalnie zachęcają do tego lokalnych działaczy i regularnie jeżdżą w te rejony.

Kilka miesięcy temu Moskwa zadeklarowała brak zaufania do Christiana Schmidta, który jest wysokim przedstawicielem UE, czyli de facto kimś w rodzaju gubernatora, i podważyła sposób jego nominacji, a tym

cym poczuciu zagrożenia. Jest to o tyle uzasadnione, że od zakończenia wojny trwa nieprzerwany proces islamizacji republiki, co chrześcijanie odbierają jako żywotne zagrożenie.

Islamizacja zaczęła się podczas wojny, kiedy to kraje muzułmańskie – zarówno Arabia Saudyjska, Iran, jak i naturalnie Turcja – wspierały finansowo i militarnie Bośniaków i w ramach rewanżu po wojnie już zaczęły budować swoje wpływy. Widocznym przejawem są meczety i szkoły koraniczne, których powstało w ciągu ostatnich 25 lat co najmniej kilkadziesiąt

Bałkańskie puzzle



Dominika Ćosić

Wybuch konfliktu na Bałkanach byłby Rosji na rękę, bo z jednej strony odwróciłby uwagę od Ukrainy, a z drugiej strony mogłaby ona ponownie odegrać swoją ulubioną rolę mediatora. Z tych samych powodów USA wojny tam nie chcą

samym jego legalność. Jeszcze bardziej niepokojące były słowa Aleksandra Dugina, że Rosja przedstawi plan dotyczący Serbii. Jak wiemy, Dugin już wcześniej, choćby w przypadku Ukrainy, mówił coś, co było ignorowane przez Zachód (jako fantasmagoria lub przechwałki), a później okazywało się doktryną Kremla.

Nie tylko Serbowie, lecz także Chorwaci skarżą się na rosnące wpływy muzułmańskie i mówią wręcz o rosną-

w samym tylko Sarajewie. Widać coraz więcej kobiet w chustach na głowach. Co bardziej niepokojące – w BiH dominujący jest skrajny odłam islamu, czyli wahabizm. Ma to odzwierciedlenie w statystykach – jak niedawno poinformował miejscowy biskup katolicki, od zakończenia wojny liczba katolików w BiH zmniejszyła się o połowę.

Część Chorwatów chce teraz dla siebie autonomii i wyodrębnienia z federacji

■ tworzą chorwackiego, czemu kibicuje część prawicowych polityków w Chorwacji, także chorwackich europosłów. Jednym z głównych postulatów bośniackich Chorwatów jest reforma prawa wyborczego zmierzająca do stworzenia osobnego okręgu wyborczego. Byłby to poważny krok w stronę wyłonienia się odrębnego chorwackiego entitetu i w zasadzie czegoś podobnego do tego, z czym mamy do czynienia w przypadku Serbów, którzy od lat mają swoje państwo, czyli Republikę Serbską.

W sytuacji zagrożenia miejscowi Chorwaci zaczęli współpracować doraźnie z Serbami. Co nie jest także ani czymś zupełnie szokującym, ani nowym – podczas wojny w BiH koalicje na przemian powstawały i się rozpadały i raz Chorwaci byli z Serbami przeciw muzułmanom, raz z muzułmanami przeciw Serbom. Z religijnego punktu widzenia sojusz katolickich Chorwatów i prawosławnych Serbów jest czymś bardziej oczywistym. Tym bardziej że łączy ich sprzeciw wobec coraz silniejszej tendencji centralizacji, czyli odejścia od koncepcji etnicznego trójpodziału władzy na rzecz jednego, silniejszego rządu i parlamentu, który siłą rzeczy byłby zdominowany przez bośniackich muzułmanów. Temu z kolei oczywiście kibicują bośniaccy muzułmanie.

Zatrzymajmy się jednak przy Republice Serbskiej. Człowiekiem, który najbardziej podważa obecne status quo, jest od lat prezydent Republiki Serbskiej, czyli Milorad Dodik. Regularnie zapowiada całkowite zerwanie więzi z BiH i albo przyłączenie do Serbii, albo po prostu pełną niepodległość. Powołuje się przy tym na casus Kosowa. Skoro RS jest zdominowana przez Serbów w jeszcze większym stopniu niż Kosowo przez Albańczyków, to czemu nie miałyby być niepodległym państwem? O ile pierwszy wariant jest mniej realny, bo nie są nim zainteresowane władze w Belgradzie, o tyle drugi nie jest wykluczony. Ostatnio uchwały podjęte przez parlament Republiki Serbskiej zostały unieważnione przez wysokiego przedstawiciela, który zapowiedział także zmiany w kodeksie karnym, by móc karać za takie akcje. A jego władzy z kolei nie chcą uznawać Serbowie, protestując przeciw dyktatowi „Szwaba”. Konflikt się zatem nasila, a najbardziej aktywne są z jednej strony Rosja, z drugiej Niemcy.

Serbowie mają szansę zbliżyć się do USA i NATO. Czy ją wykorzystają? FOT. MIŁOŠ BICANSKI/GETTY IMAGES



I między nimi Unia Europejska. Choć tak naprawdę UE to w tym przypadku głównie Niemcy i Austria oraz w mniejszym stopniu Węgry. Czyli od wieków ci sami gracze.

PROWOKACJE KOSOWSKIE

W przypadku Kosowa głównymi rozgrywającymi są Rosja i USA. Dawno temu, kilka lat przed nalotami NATO na Jugosławię w 1999 r., Amerykanie chcieli wybudować w Kosowie bazę wojskową, w okolicach miejscowości Uroševac, i złożyli ofertę prezydentowi Slobodanowi Miloševićowi. Wiedział on, że jeśli dogada się z Waszyngtonem, to narazi się Moskwie. A Kreml się w takich sytuacjach nie patyczkuje. Odrzucił zatem propozycję USA. Te znalazły sojusznika w kosowskich Albańczykach, na których w tym konflikcie postawiły. Baza powstała po wojnie w okolicach tego samego miasta, ale noszącego albańską nazwę Ferizaj. Naloty w 1999 r. otworzyły Kosowu drzwi do niepodległości, którą to niepodległość oficjalnie ogłosiło ono w lutym 2008 r. Pięć krajów unijnych – Cypr, Grecja, Hiszpania, Rumunia i Słowacja – do tej pory jej nie uznaje.

Sama decyzja o międzynarodowym uznaniu secesji, podobnie jak wcześniej-

sze naloty, była bardzo szkodliwa. Do nalotów doszło przecież w sytuacji, gdy ówczesna kadłubowa już Jugosławia nie zagrażała żadnemu z krajów członkowskich NATO i w dodatku wbrew rezolucji ONZ. Zatem nie było powodu do interwencji sojuszu. A uznanie niepodległości separatystycznego regionu było pogwałceniem zasady integralności terytorialnej. Jeszcze przed 2008 r. ostrzegałam, że Rosja na pewno to wykorzysta jako niebezpieczny casus w prawie międzynarodowym. Nie trzeba było długo czekać, już latem 2008 r., po wojnie w Gruzji, Rosja uznała niepodległość Osetii i Abchazji, w 2014 r. – Krymu, w 2022 r. – Doniecka. I choć Rosja i tak zawsze robi to, co chce, to w tym przypadku mogła się spokojnie powołać na prawo międzynarodowe.

Konsekwencją pośrednią decyzji o nalotach było odsunięcie Serbii od wspólnoty transatlantyckiej, zarówno w sensie politycznym, jak i mentalnym. Serbowie do dziś nie mogą wybaczyć NATO tych bombardowań i tą kartą cały czas gra Rosja. Gdyby nie doszło do nalotów, gdyby nie uznano Kosowa, Serbia mogłaby być już zaawansowana w negocjacjach członkowskich z UE i NATO. Tak się jednak nie stało i w efekcie



Serbia jest bliżej rosyjskiej niż euroatlantycznej strefy wpływów. Choć nie jest to także biało-czarny obraz.

ZMIANA SOJUSZU

W samym Kosowie także jest zapalnie. Wystarczy mała iskra, by znowu wrzało. Bo duża część Serbów i Albańczyków po prostu się nienawidzi. Serbowie mieszkają w enklawach w północnej części.

W ubiegłym roku Serbów oburzyła decyzja władz Kosowa o zakazie wjazdu dla pojazdów o serbskich tablicach rejestracyjnych. Niedługo później oliwy do ognia dołączył także sposób organizowania wyborów. Do tej pory praktykowane było, że Serbowie mieszkający w Kosowie głosowali w wyborach ogłaszanych w Serbii i wówczas głosy oddawali w specjalnie zorganizowanych i nadzorowanych przez OBWE punktach na terenie Kosowa. Teraz jednak premier Kosowa, Albin Kurti, sprzeciwił się temu. Ta decyzja zaowocowała wzrostem napięcia.

I tu dochodzimy do bardzo ciekawej sytuacji. Przez całe lata USA jawnie wspierały Albańczyków, podczas gdy Rosja wspierała Serbię. Niezależnie od tego, czy to Serbowie czy Albańczycy byli ofiarami. Już rok temu

jednak Amerykanie zaczęli krytykować nie tylko Belgrad, lecz także Prisztinę. Zwłaszcza po wzroście napięcia w ostatnich tygodniach. W wyniku wyborów zbojkotowanych przez Serbów (którzy protestują przeciwko sposobowi ich organizacji i zasadom) także w północnym Kosowie wygrali – będący tu mniejszością – Albańczycy. Obsadzili władze lokalne i policyjne. Serbowie odebrali to jako rzucenie rękawicy w twarz. Doszło do zamieszek. Nie po raz pierwszy i nie po raz ostatni pewnie. Zaskoczeniem ponownie była reakcja Amerykanów, którzy teraz wprost grożą Kosowu najostrzejszymi sankcjami, jeśli – jak to zostało określone – Albańczycy nie przestaną prowokować Serbów. Podobne sygnały wysłała także UE, choć to nie ona, ale USA są głównym graczem.

Skąd ta zmiana sympatii? Ma to związek z wojną na Ukrainie. Wybuch konfliktu na Bałkanach byłby Rosji na rękę, bo z jednej strony odwróciłby uwagę od Ukrainy, a z drugiej mogłaby ona ponownie odegrać swoją ulubioną rolę mediatora, jak w przypadku Syrii. Choć oczywiście byłoby to rozwiązywanie problemu stworzonego przez siebie. Z tych samych powodów USA tam wojny nie chcą. Wybuch kolejnego konfliktu

w Europie zmniejszyłby międzynarodowe zainteresowanie Ukrainą i wsparcie dla niej, tym bardziej że pojawiają się oznaki znużenia tą wojną, a w dodatku byłby kosztowny finansowo. Zatem w odróżnieniu od sytuacji sprzed prawie 25 lat, gdy to USA dążyły do nalotów NATO na Jugosławię i jeśli nie zachęcały wprost Albańczyków, to przynajmniej patrzyły na ich prowokacje przez palce, teraz Waszyngton z rosnącą irytacją patrzy na prowokacje Prisztiny. Władze Kosowa jeszcze chyba nie zrozumiały, że USA zmieniły podejście i wierzą, że jak zawsze to Serbii przypadnie rola czarnego charakteru i agresora – niezależnie od rzeczywistych okoliczności – i to Serbia spotka się z tego konsekwencjami.

Trudno jest z niezachwianą pewnością dywagować, czy na Bałkanach dojdzie do wybuchu kolejnej wojny czy nie. Obstawiałabym raczej balansowanie na granicy konfliktu i dolewanie co jakiś czas oliwy do ognia niż otwarty, pełnoskalowy konflikt. To, co jest pewne, to to, że Serbia ma szansę na ponowne zbliżenie ze strefą euroatlantyczną, zwłaszcza z USA. Tylko nie może dać się sprowokować ani też nie może uwierzyć w rosyjskie zapewnienia o przyjaźni. Kilka tygodni temu żołnierze serbscy wraz z przedstawicielami Bośni i Hercegowiny, Wielkiej Brytanii, Grecji, Włoch, Węgier, Rumunii, USA, Macedonii Północnej i Słowenii (w sumie ok. 600 osób) wzięli udział w międzynarodowych ćwiczeniach wojskowych „Platynowy wilk 23”, odbywających się niedaleko serbskiej granicy z Kosowem. Albańczyków nie zaproszono. A ponad tydzień temu prezydent Serbii ponownie spotkał się w Kwaterze Głównej NATO z Jensem Stoltenbergiem.

Prezydent Serbii, Aleksandar Vučić, pewnie będzie próbował balansować między Moskwą a Waszyngtonem i Brukselą, jak to robił przez lata. Tym razem robiąc to, może jednak przegapić moment na ugranie czegoś więcej – układów z USA, które przy osłabionej Rosji bardziej by się opłacały. Ta sytuacja wymaga także zręczności ze strony krajów europejskich. Zbliżenie się Serbii do strefy wpływów euroatlantycznych byłoby z korzyścią dla wszystkich. Poza Rosją, która próbuje wszystkich utwierdzić w przekonaniu, że Serbia była, jest i będzie zawsze zdecydowanie prorosyjska. I w ten sposób pozamykać Serbii inne drzwi.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autorka jest korespondentką TVP w Brukseli.

Zatrzymać łodzie



Piotr Włoczyk

Rząd Rishiego Sunaka obiecuje, że za pomocą zdecydowanych metod upora się z plagą nielegalnej imigracji. Brytyjska lewica szaleje ze wściekłości, a najważniejszy hierarcha Kościoła anglikańskiego politykę Sunaka nazywa „moralnie nie do przyjęcia”



„Bibby Stockholm” ma niecałe 100 m długości i może gościć na swoim pokładzie nawet 500 osób. FOT. FINNBARR WEBSTER/GETTY IMAGES

Najbardziej zniechęcona dziś przez brytyjską lewicę jednostka pływająca nazywa się „Bibby Stockholm”, ma niecałe 100 m długości i może gościć na swoim pokładzie nawet 500 osób. Dla lewej strony brytyjskiej sceny politycznej, na czele z labourzystami, ten pływający hotel stał się symbolem upadku ich kraju, „pływającym więzieniem”, w którym ludzie poszukujący pomocy są pozbawiani człowieczeństwa przez państwo brytyjskie. Dla prawej strony sceny politycznej „Bibby Stockholm” to z kolei ratunek przed niekontrolowanym strumieniem ludzi, którzy próbują się nielegalnie dostać do Wielkiej Brytanii na pontonach, choć nie uciekają wcale z krajów objętych wojenną pożogą, tylko odbijają od bezpiecznych brzegów Francji.

Barka hotel zacumowała u brzegów wyspy Portland na południu Wielkiej Brytanii. Rząd Rishiego Sunaka uspokajał lokalnych mieszkańców, że choć nielegalni imigranci, którzy znajdą schronienie na barce, będą mogli schodzić na ląd, to będzie się to odbywało w sposób kontrolowany. Brytyjcy konserwatyści postawili na pływające hotele (planowane jest użycie kilku innych barek tego typu), ponieważ obiecali wyborcom zerwanie z polityką umieszczania nielegalnych przybyszów w hotelach na lądzie, co sprawiało lokalnym społecznościom całą masę problemów i było dużo droższe od kosztów utrzymania takiej jednostki. W Wielkiej Brytanii na wniosek o przyznanie azylu czeka obecnie ponad 150 tys. osób. Tylko w zeszłym roku

niemal 50 tys. osób wylądowało nielegalnie na Wyspach Brytyjskich, co stanowi 60-procentowy przyrost w stosunku do poprzedniego roku. A jeszcze w 2018 r. ludzi takich było... 300. Brytyjcy konserwatyści zrozumieli w końcu, że taka sytuacja jest nie do przyjęcia.

NAJCIEŹSZE OSKARŻENIA

„Zatrzymanie łodzi to nie tylko mój priorytet. To także priorytet naszego społeczeństwa” – mówił Sunak w marcu tego roku, gdy przedstawiał szczegóły planu opanowania kryzysu. Skąd ten zapal? Taki ruch wymogli na Partii Konserwatywnej jej wyborcy. Sondaże pokazują bowiem, że jedynie rosnące koszty życia bardziej niepokoją wyborców konserwatystów. Powstrzymanie nielegalnej imigracji uważają oni za większy priorytet choćby od polepszenia wiecznie niedomagającego systemu opieki zdrowotnej.

W połowie lipca Sunakowi udało się w końcu, w wielkich bólach, przepchnąć przez brytyjski parlament „ustawę o nielegalnej migracji”. Jej najważniejszy zapis oznacza, że każdy, kto dostanie się na teren Wielkiej Brytanii nielegalnie, nie będzie mógł ubiegać się o azyl. W trakcie prac nad ustawą parlamentarzysty Partii Konserwatywnej musieli się mierzyć z najgrubszymi oskarżeniami.

Justin Welby, arcybiskup Canterbury, anglikański prymas Anglii (zasiadający z mocy urzędu w Izbie Lordów), stwierdził w trakcie prac nad tym aktem prawnym, że jest on „moralnie nie do przyjęcia”. „Nawet jeżeli za pomocą tej ustawy uda się na pewien czas powstrzymać łodzie – choć nie sądzę, by tak się stało – to nie zatrzyma ona wojen ani zmian klimatycznych” – powiedział abp Welby. Prymas Anglii przypomniał przy tym, że UNHCR, ONZ-owska instytucja zajmująca się pomocą uchodźcom, skrytykowała ustawę, stwierdzając, że takie prawo wprost godzi w międzynarodowy system pomocy uchodźcom. Wyjątkowo ostro skrytykował ustawę Gary Lineker, komentator BBC, który całą sprawę podsumował krótko: „Jej język nie różni się za bardzo od języka używanego przez Niemcy w latach 30.”. Konserwatyści mogli się jednak nie przejmować za bardzo takimi głosami, bo wiedzieli, że ogół społeczeństwa czeka na zdecydowane metody. Hasło „Przybywasz tu nielegal-

nie – nie masz prawa tu zostać” brzmi zaś w uszach większości Brytyjczyków nie jak nazistowski slogan, a elementarna sprawiedliwość.

Premier Wielkiej Brytanii chwali się w mediach społecznościowych, że dzięki nowej polityce nielegalni imigranci zaczynają rozumieć, że przepływanie na łódkach na drugą stronę kanału La Manche nie jest najlepszym pomysłem. Według przedstawionych przez niego danych widać już w tym roku 20-procentowy spadek liczby osób nielegalnie przedostających się na Wyspy. Rishi Sunak podkreśla, że od tej pory będzie tylko lepiej, ponieważ dzięki perswazji jego rządu Francuzi zaczęli lepiej zabezpieczać swoje wybrzeże (francuskie władze obiecały, że na tamtejszych plażach pojawi się o 40 proc. więcej patroli). A jeszcze niedawno Brytyjczycy wprost oskarżali Francuzów o przy-
mykanie oka na łódki z nielegalnymi migrantami wypływające w kierunku Wysp, co siłą rzeczy rozładowywało do pewnego stopnia problem z imigrantami w północnych rejonach Francji.

Rząd Rishiego Sunaka wciąż liczy na to, że większość nielegalnych imigrantów będzie mógł transportować do Rwandy. Na mocy podpisanej z tym krajem umowy (Londyn przekazał do tej pory Rwandyjczykom już blisko 140 mln funtów) ludzie, którzy na własną rękę postanowili dotrzeć na Wyspy, będą odsyłani do specjalnych ośrodków w sercu Afryki. Brytyjscy konserwatyści liczyli, że w ten sposób jeszcze bardziej zniechęcą do wypraw tych, którzy muszą przecież zainwestować niemałe pieniądze, by spróbować dostać się na Wyspy.

Plan ten jednak został storpedowany przez pozew, który przeciw rządowi złożyła grupa 10 migrantów, którym groziła wysyłka do Rwandy. W czerwcu brytyjski sąd apelacyjny orzekł w końcu, że ten sposób zwalczania nielegalnej migracji jest nie do przyjęcia, ponieważ Rwanda nie jest – w opinii sądu – bezpiecznym krajem. Faktycznie, 30 lat temu doszło tam do potwornego ludobójstwa, ale w ciągu ostatniej dekady ten kraj jest wskazywany jako afrykański prymus, jeżeli chodzi o rozwój. Rwanda jest bez

wątpienia jednym z najbezpieczniejszych krajów w Afryce, ale brytyjscy sędziowie stwierdzili, że rząd źle ocenia sytuację w tym państwie i nie wolno tam wysyłać migrantów. Sunak liczy jednak, że „ścieżka rwandyjska” wcale nie jest ostatecznie zamknięta i Sąd Najwyższy przyzna rację jego rządowi.

Sceptycy z prawej strony wskazują mimo to, że Partia Konserwatywna tylko częściowo podchodzi do tematu migracji poważnie. Jeżeli bowiem chodzi o legalną imigrację, to w zeszłym roku padł rekord. Do Wysp dotarło wówczas ponad 1,2 mln imigrantów, spośród których ponad 900 tys. pochodziło spoza UE (w tym samym czasie wyjechało z kraju ok. 600 tys. osób). Brytyjski premier obiecał niedawno, że zrobi wszystko, by ograniczyć imigrację do poziomu poniżej 0,5 mln osób rocznie (netto). Nawet więc jeżeli Brytyjczycy zupełnie powstrzymają łódzie, to taki poziom legalnej imigracji oznacza, że brytyjskie społeczeństwo wciąż będzie się zmieniało w galopującym tempie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

KOMITET INICJATYWY USTAWODAWCZEJ „W OBRONIE POLSKICH LASÓW”

Dziennik Urzędowy – 2 – Pos. 2217

Formularz do wypełnienia przez osoby fizyczne
z dnia 11 listopada 2018 r. (wersja 2017)

WZÓR

SPRAWOZDANIE FINANSOWE

Komitet Inicjatywy ustawodawczej wykonawcy przez obywateli
V. SPRAWOZDANIE FINANSOWE
W. SPRAWOZDANIE FINANSOWE
M. SPRAWOZDANIE FINANSOWE
P. SPRAWOZDANIE FINANSOWE

W wykonaniu obowiązku z art. 17 ust. 2 ustawy z dnia 24 czerwca 1999 r. o wykonaniu inicjatywy ustawodawczej przez obywateli (Dz. U. z 2018 r. poz. 2120) przedkłada się sprawozdanie finansowe o źródłach pozyskanych środków na cele inicjatywy ustawodawczej.

INFORMACJE OGÓLNE	Kwota w zł
A. Przychody lub wpływy (suma pozycji 1-8-11)	0
1. Świadczenia przysługujące na podstawie ubezpieczenia	0
2. Przychody od osób prawnych	0
3. Przychody od osób fizycznych	0
4. Przychody od jednostek publicznych	0
5. Przychody ze sprzedaży nieruchomości	0
6. Dochody ze środków na rachunkach bankowych	0
7. Kredyty i pożyczki	0
8. Inne przychody i wpływy	0
B. Wartości pozyskanych darowizn nieopisanych i nieodpłatnie świadczone usługi	1000
1. Wartości darowizn rzeczowych	1000
2. Wartości usług świadczonych nieodpłatnie na rzecz komitetu	0

Dziennik Urzędowy – 3 – Pos. 2217

Formularz do wypełnienia przez osoby fizyczne
z dnia 11 listopada 2018 r. (wersja 2017)

INFORMACJE SZCZEGÓŁOWE	Kwota w zł
I. Rachunki bankowe	0
1. Rachunki bankowe	0
2. Rachunki bankowe	0
3. Rachunki bankowe	0
4. Rachunki bankowe	0
5. Rachunki bankowe	0
6. Rachunki bankowe	0
7. Rachunki bankowe	0
8. Rachunki bankowe	0
9. Rachunki bankowe	0
10. Rachunki bankowe	0
11. Rachunki bankowe	0
12. Rachunki bankowe	0
13. Rachunki bankowe	0
14. Rachunki bankowe	0
15. Rachunki bankowe	0
16. Rachunki bankowe	0
17. Rachunki bankowe	0
18. Rachunki bankowe	0
19. Rachunki bankowe	0
20. Rachunki bankowe	0
21. Rachunki bankowe	0
22. Rachunki bankowe	0
23. Rachunki bankowe	0
24. Rachunki bankowe	0
25. Rachunki bankowe	0
26. Rachunki bankowe	0
27. Rachunki bankowe	0
28. Rachunki bankowe	0
29. Rachunki bankowe	0
30. Rachunki bankowe	0
31. Rachunki bankowe	0
32. Rachunki bankowe	0
33. Rachunki bankowe	0
34. Rachunki bankowe	0
35. Rachunki bankowe	0
36. Rachunki bankowe	0
37. Rachunki bankowe	0
38. Rachunki bankowe	0
39. Rachunki bankowe	0
40. Rachunki bankowe	0
41. Rachunki bankowe	0
42. Rachunki bankowe	0
43. Rachunki bankowe	0
44. Rachunki bankowe	0
45. Rachunki bankowe	0
46. Rachunki bankowe	0
47. Rachunki bankowe	0
48. Rachunki bankowe	0
49. Rachunki bankowe	0
50. Rachunki bankowe	0
51. Rachunki bankowe	0
52. Rachunki bankowe	0
53. Rachunki bankowe	0
54. Rachunki bankowe	0
55. Rachunki bankowe	0
56. Rachunki bankowe	0
57. Rachunki bankowe	0
58. Rachunki bankowe	0
59. Rachunki bankowe	0
60. Rachunki bankowe	0
61. Rachunki bankowe	0
62. Rachunki bankowe	0
63. Rachunki bankowe	0
64. Rachunki bankowe	0
65. Rachunki bankowe	0
66. Rachunki bankowe	0
67. Rachunki bankowe	0
68. Rachunki bankowe	0
69. Rachunki bankowe	0
70. Rachunki bankowe	0
71. Rachunki bankowe	0
72. Rachunki bankowe	0
73. Rachunki bankowe	0
74. Rachunki bankowe	0
75. Rachunki bankowe	0
76. Rachunki bankowe	0
77. Rachunki bankowe	0
78. Rachunki bankowe	0
79. Rachunki bankowe	0
80. Rachunki bankowe	0
81. Rachunki bankowe	0
82. Rachunki bankowe	0
83. Rachunki bankowe	0
84. Rachunki bankowe	0
85. Rachunki bankowe	0
86. Rachunki bankowe	0
87. Rachunki bankowe	0
88. Rachunki bankowe	0
89. Rachunki bankowe	0
90. Rachunki bankowe	0
91. Rachunki bankowe	0
92. Rachunki bankowe	0
93. Rachunki bankowe	0
94. Rachunki bankowe	0
95. Rachunki bankowe	0
96. Rachunki bankowe	0
97. Rachunki bankowe	0
98. Rachunki bankowe	0
99. Rachunki bankowe	0
100. Rachunki bankowe	0

Dziennik Urzędowy – 4 – Pos. 2217

Formularz do wypełnienia przez osoby fizyczne
z dnia 11 listopada 2018 r. (wersja 2017)

5. Wartości świadczone nieodpłatnie na rzecz komitetu (wartości świadczone usługi podlegają w wysokości świadczonej do wyłączenia z ich opłaty netto, nie wycenionych od cen rynkowych)	0
1) Wykaz osób prawnych (nazwa i siedziba osoby prawnej, statystyczny numer identyfikacyjny REGON) świadczących nieodpłatnie usługi na rzecz komitetu:	0
a) 1	0
b) 2	0
2) Wykaz osób fizycznych (imię, nazwisko, adres zamieszkania, obywatelstwo) świadczących nieodpłatnie usługi na rzecz komitetu:	0
a) 1	0
b) 2	0
3) Wykaz innych podmiotów świadczących nieodpłatnie usługi na rzecz komitetu (nazwa i siedziba lub siedziba podmiotu):	0
a) 1	0
b) 2	0
6. Kredyty i pożyczki:	0
1) Kredyty otrzymane:	0
a) 1	0
b) 2	0
2) Pożyczki otrzymane:	0
a) 1	0
b) 2	0
7. Wykaz podmiotów udzielających kredytów lub pożyczek (imię, nazwisko, adres zamieszkania, obywatelstwo, nazwa i siedziba osoby prawnej, statystyczny numer identyfikacyjny REGON):	0
a) 1	0
b) 2	0
8. Kwota uzyskanej pomocy:	0
a) 1	0
b) 2	0
9. Wykaz instytucji charytatywnych, których przekazano nadwyżkę (nazwa, siedziba):	0
a) 1	0
b) 2	0

* W przypadku wykazania wartości innych niż powyższe należy opisać je na oddzielnym arkuszu, który będzie stanowił załącznik odpowiedzi na pytanie do sprawozdania.

WYKAZAŁ: 30.06.2023
(podpisano, data)



LIDER KOMUNISTÓW KRAŁ W SKLEPIE

Lider norweskiej partii komunistycznej został zatrzymany na lotnisku Gardemoen w Oslo po tym, jak próbował ukraść ze sklepu okulary przeciwsłoneczne marki Hugo Boss. Łup warty był 100 euro. Czterdziestodwuletni Bjørnar Moxnes po ujawnieniu tej informacji poszedł na zwolnienie lekarskie. Dzień przed jego powrotem komitet wykonawczy marksistowskiej Partii Czerwonej podjął decyzję o zmianie lidera. Moxnes został się ze stanowiskiem, które piastował przez 11 lat.

FOT. HINEPBERSEN/WIKIMEDIA COMMONS CC 2.0

PRZYMUROWANI DO LOTNISKA

Niemieccy aktywiści klimatyczni z grupy Ostatnie Pokolenie w ramach protestu przeciwko łamaniu prawa przez rząd w kryzysie klimatycznym wtargnęli na lotnisko w Hamburgu. Następnie za pomocą mieszanki betonu i żywicy epoksydowej przykleili się do płyty lotniska. Teraz części z nich grozi amputacja rąk. Podobne protesty odbyły się na lotnisku w Düsseldorfie.

WAKACJE OD WOJNY

Ukraiński poseł z partii Żelenskigo Jurij Aristow, wiceprzewodniczący Komisji Bezpieczeństwa Narodowego, został przyłapany w pięciogwiazdkowym hotelu na Malediwach. Państwowe Biuro Śledcze wraz ze Służbą Bezpieczeństwa Ukrainy bada legalność jego wyjazdu, ponieważ polityk miał sfałszować dokumenty. Doniesienia te zostały negatywnie odebrane przez Ukraińców, którzy zmagają się z wojną. Na wakacjach Jurij przebywał od 5 czerwca do 22 lipca. Żelenski odniósł się do sprawy, nazywając zachowanie polityka „zdradą interesów państwa”.

GRETA DOSTAŁA GRZYWNĘ

Greta Thunberg została ukarana za niestosowanie się do nakazu opuszczenia przez grupę protestujących drogi prowadzącej do portu w Malmö w Szwecji, wydanego przez policję. Dwudziestolatka blokowała przejazd ciężarówkom przewożącym ropę. Aktywistka przekonywała w sądzie, że jej działania są uzasadnione i że świat znajduje się w sytuacji kryzysowej, dlatego nie popełniła przestępstwa. Sądu to nie przekonało. Kazał jej zapłacić grzywnę w wysokości 2,5 tys. koron szwedzkich (ok. 960 zł).

PRZYGOTOWANIA DO WIELKANOCY

Trzydziestodwuletni Joby Poole został skazany w Wielkiej Brytanii na 18 miesięcy więzienia. Ukraść 200 tys. czekoladowych jajek – popularnych w okresie wielkanocnym – o łącznej wartości 31 tys. funtów. Policja nazwała go „zajczkiem wielkanocnym”. © ©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Czy miss musi być kobietą?

Przyzwyczajaliśmy się już, że przyszło nam żyć w czasach, w których nie tylko trzeba zapisywać w oficjalnych aktach prawnych, iż małżeństwo to związek kobiety i mężczyzny, lecz także tłumaczyć, że aby na świat przyjść mogło dziecko, potrzebni są mama i tata. Niestety, szaleństwo politycznej poprawności rozwija się w takim tempie, że organizatorzy konkursu Miss Italy, czyli konkursu na najpiękniejszą kobietę Włoch, musieli oficjalnie przypomnieć, że w regulaminie czarno na białym widnieje zapis, iż uczestniczkami konkursu mogą

być jedynie kobiety. Organizatorzy włoskiej imprezy wykluczyli więc mężczyzn, którzy uważają się za kobiety, oraz osoby, które poddały się procedurze tzw. tranzycji płci.

Decyzja Włochów wzbudziła kontrowersję, bo niedawno podobny konkurs w Holandii wygrała Rikkie Valerie Kollé, która urodziła się mężczyzną. Czy rzeczywiste to uroda Rikkie, a nie dziwna poprawność polityczna sprawiła, że zwyciężyła w konkursie na najpiękniejszą?

Mozna wątpić, a jednocześnie współczuć innym uczestniczkom konkursu Miss Universe, bo o koronę najpiękniejszej walczyć

będą z nieuczciwym konkurentem, bo wspieranym mocno przez poprawność polityczną. Podobnie współczuć należy uczestniczkom zawodów kolarskich w USA, w których w maju wygrała osoba, która operację zmiany płci przeszła w 2017 r. W tym wypadku Lesley Mumford na podium był sam, bo zdobywczyni drugiego i trzeciego miejsca odmówiły udziału w groteskowej ceremonii. Wcześniej w Kanadzie trener kadry trójkboju siłowego zadeklarował, że jest kobietą, i pobił rekord imprezy. Na miejscu ciężko trenujących pań poczuły się oszukany...



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM**Kaźmierczak wie, co mówi**

Cezary Kaźmierczak, szef Związku Przedsiębiorców i Pracodawców, znów wsadził kij w mrowisko, gdy przypominał, że Polska musi pilnie sprowadzać migrantów zarobkowych – i to całymi milionami; sprowadzać, skąd się da, np. z Azji Centralnej. Tym razem wspominał o – jeśli chcemy „utrzymać tempo wzrostu gospodarczego” – 5 mln gasterbeiterów niezbędnych Polsce już do 2025 r.

No i oczywiście rozpętało się piekło – podobne do tych, jakie rozpętują się po niemal każdym podobnym stwierdzeniu, a pojawia się ich sporo, bo na szczęście nie brakuje w Polsce ludzi potrafiących liczyć i zarazem mających odwagę się z tym nie kryć. Po każdym takim stwierdzeniu, jak to z niedawnego raportu ZUS pt. „Cudzoziemcy w polskim systemie ubezpieczeń społecznych” – o tym, że „aby uniknąć złego scenariusza” Polska pilnie potrzebuje co najmniej 2 mln kolejnych cudzoziemskich pracowników.

A w tym samym czasie – w przedwyborczym ferworze – Platforma i PiS wypominają sobie, która z tych partii (oczywiście – zawsze ta konkurencyjna!) wpuściła do Polski więcej migrantów i chciała wpuścić jeszcze więcej. (Ze wstępnych rachunków wychodzi, że w 2015 r. cudzoziemców z pozwoleń na pobyt było w Polsce 158 tys., a w 2023 r. – po ośmiu latach rządów PiS – jest ich już 761 tys.; a bez

pozwoleń dodatkowo 3 mln). No i Platforma z tymże PiS – plus Konfederacja na dokładkę – licytują się, która z tych partii najszczelniej zarygluje drzwi do Polski, jeśli wyborcy to właśnie jej powierzą stery rządów.

A tymczasem – gdy Platforma i PiS ni w ząb nie potrafią skłonić Polaków do poprawienia sytuacji demograficznej Polski – to jeśli nie chcemy szybko zamieniać się w starzejącą się i wyludniającą się pustynię, musimy – chcąc nie chcąc – nadal postępować dokładnie odwrotnie.

Albowiem cóż... Ja też bym wołał, żeby Polki rodziły więcej dzieci – lecz kolejne rządy nie umieją ich do tego zachęcić. Ja też bym wołał, żeby udało się ściągnąć z emigracji miliony Polaków – lecz kolejne rządy i z tym sobie nie radzą. Co więc nam pozostaje, jeśli „na koniec dnia” nie chcemy być zmuszeni do „zamknięcia naszego sklepiku”, czyli Polski – jak ściągnięcie do nas milionów imigrantów?

Jedyne, co możemy zrobić, to dobrze ich wybierać; najlepiej z bliskich nam kulturowo stron, ale nigdy w zbyt dużej, nie daj Boże wielomilionowej liczbie z jednego kraju, najlepiej – dobrze wykształconych, najlepiej – pracowitych, najlepiej – takich, którzy będą rokowali, że oni lub ich potomkowie zechcą zostać Polakami. A nie podpalać nasze miasta i podkładać bomby.

A zatem – mogą się państwo żyzymać – ale to Cezary Kaźmierczak wie, co mówi i co pisze. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA**„Dziennik zarazy”**

Z ludzkiej pamięci szczególnie łatwo wymazywane są nieprzyjemne

zdarzenia. To doskonale znany i wielokrotnie opisywany proces psychologiczny. Na tej właśnie zasadzie wiele osób usunęło ze swoich wspomnień pandemię COVID-19, mimo że jeszcze do niedawna mieliśmy przecież w Polsce stan zagrożenia epidemicznego. Momentem

zwrotnym, jak się zdaje, wcale nie było jego zniesienie, ale moment wybuchu wojny na Ukrainie, gdy nagle się okazało, że przyjęcie do Polski milionów ludzi w ogromnej większości niezaszczepionych na COVID żadnym zagrożeniem nie jest.

A jednak o epidemii i o tym wszystkim, co przy jej okazji wyprawiano, pamiętać trzeba. Ewidentne absurdy, ogłaszane z kamiennymi twarzami, gigantyczne szkody wynikające z zamknięcia szkół, zniszczenie setek tysięcy biznesów, pompowanie inflacji tarczami antycovidowymi, naruszanie praw obywatelskich oraz ordynarne łamanie prawa, a przede wszystkim przestawianie systemu

ochrony zdrowia na walkę z jednym tylko zagrożeniem, co przyczyniło się do śmierci trudnej do oszacowania

liczby osób – nic z tych rzeczy nie powinno zostać zapomniane.

I tu z pomocą przychodzi książka „Dziennik zarazy” Jerzego Karwelisa, będąca zbiorem systematycznie pisanych notek, które regularnie ukazywały się na stronach naszego tygodnika. Ten zapis, prowadzony w trybie dziennika,



JERZY KARWELIS
„DZIENNIK ZARAZY”
WYDAWNICTWO SIEDMIORÓG
2023

ma tę zaletę, że pozwala przypomnieć sobie atmosferę tamtego czasu lepiej niż opracowanie napisane z dystansu, dopiero po pewnym czasie. Ale to nie będzie łatwa lektura. Mnie samemu – choć napisałem na temat covidowych nonsensów zapewne setki tekstów – trudno się czyta książkę redakcyjnego kolegi, bo robię to ze świadomością, że przeszliśmy przez to wszystko – i nic. Nikt się z niczego nie musiał tłumaczyć, nikt nie poniósł za nic odpowiedzialności, a jeden z głównych architektów tego absurdu, minister Adam Niedzielski, załapie się najpewniej na listy PiS. Trafia więc człowieka przy lekturze szlag – ale to dobrze. Tak ma być. Zapomnieć nie wolno. ©©

Polskie lasy pozostają wciąż w realnym niebezpieczeństwie, którym jest eskalacja ataków ekoterrorystów i nieuczciwej retoryki Unii Europejskiej oraz opozycji

Spiskujący przeciwko Lasom Państwowym agresywni aktywiści, dążący do osiągnięcia własnych celów, podkopują nie tylko polskie dobra narodowe, lecz także rzeczywistość i zaufanie społeczne. Ostatnie incydenty, takie jak blokowanie legalnych prac leśnych, niszczenie mienia publicznego i rozprzestrzenianie dezinformacji, ujawniają groźną działalność ekoterrorystów.

13 lipca 2023 r. w Makowej na Podkarpaciu zakończyła się kolejna hucpa ekoaktywistów. Na obrzeżach wymyślonej Puszczy Karpackiej i projektowanego – przez samych siebie – parku narodowego urządzili „punkt informacji turystycznej”. Za siedzibę tej fikcyjnej instytucji służył zdezelowany, obskurny barakowóz. Prowizoryczna buda została usunięta.

ZDEZELOWANY KONSULAT EKOTERRORYSTÓW

– Zgodnie z decyzją Powiatowego Inspektora Nadzoru Budowlanego w Przemyślu Nadleśnictwo Bircza podjęło ostateczną decyzję o usunięciu barakowozu z terenu działki ewidencyjnej nr 492 w Makowej, będącej własnością Skarbu Państwa i zarządzanej przez PGL LP – mówi dyrektor generalny Lasów Państwowych, Józef Kubica.

Barakowóz został wwieziony na teren nieruchomości nocą, w listopadzie 2021 r., bez zgody i wiedzy leśników. Obiekt ten prawdopodobnie był wykorzystywany przez aktywistów Inicjatywy Dzikie Karpaty, którzy wielokrotnie odmawiali wskazania właściciela lub inwestora budynku.

– Nadzór budowlany nie mógł dłużej tolerować takiej sytuacji. Do usunięcia tej ekoterrorystycznej samowoli budowlanej doszło w symbolicznym dniu, w środę po ogólnopolskich obchodach Dnia Leśnika – zwraca uwagę dyrektor Kubica.

Formalnie decyzja PINB o obowiązku rozbioru wynikała z braku ustalenia



Ataki na Lasy

ekoterrorystów w służbie dezinformacji i destrukcji

właściciela lub inwestora barakowozu. To działanie było konieczne w celu przywrócenia stanu zgodnego z prawem na terenie leśnym.

NA HAJU BAJU, BAJU O... PUSZCZACH I PARKACH

Makowa, gdzie organizacje o lewackim zabarwieniu ustawiły swoją bazę, leży raptem 5 km od granicy z Ukrainą.

– To trzeba koniecznie podkreślić, że miejsce, które ci ludzie wybrali na ustawienie tej kupy złomu, jest zlokalizowane w strefie nadgranicznej, blisko granicy z Ukrainą, gdzie trwają działania wojenne. Dlatego też działania ekoterrorystów na tym obszarze mogą mieć kluczowe znaczenie dla bezpieczeństwa państwa – zwraca uwagę Michał Gzowski, rzecznik Lasów Państwowych.

Rzecznik dodaje, że usunięcie samowoli budowlanej nie miało na celu tłumienia protestu czy ograniczenia wolności wyrażania opinii. Było odpowiedzią na bezprawne działania, które mogą wpływać negatywnie na ochronę przyrody i środowiska naturalnego. Leśnicy w pełni

respektują prawo do protestu i wyrażania opinii, ale równocześnie zwracają uwagę, że działania te powinny się odbywać w pełnym poszanowaniu prawa i bez naruszania przepisów.

Sprawa ma jeszcze drugie dno.

– W trakcie wykonywania czynności służbowych przez policję w barakowozie znaleziono substancje, które wyglądały na zabronione. W związku z tym cztery osoby zostały doprowadzone na komendę, gdzie przeprowadzono czynności dochodzeniowo-śledcze – informuje Gzowski. – Policja na razie nie potwierdziła, co to za substancje, ale narkotyki w takich ekoobozowiskach to standard.





Państwowe:

I nie ma co się dziwić, że osoby w stanie upojenia wymyślają a to jakieś puszcze, a to parki narodowe.

JEDNYM GŁOSEM PRZECIW EKOBUJDOM

Jednak barakowóz w Makowej to tylko jeden z wielu incydentów, którym Lasy Państwowe muszą stawić czoła. Coraz częściej ataki na Lasy Państwowe są związane z agresywną retoryką, dezinformacją i manipulacją informacją, szczególnie silną w mediach społecznościowych. Grupy ekoterrorystyczne, takie jak Inicjatywa Dzikie Karpaty, podejmują różne działania w celu blokowania działań leśnych,

nielegalnego zajmowania terenów leśnych czy wandalizmu.

– Zagrożenie ekoterroryzmem i dezinformacją nie dotyczy jedynie Lasów Państwowych jako instytucji, ale przede wszystkim wpływa na ochronę przyrody i zrównoważoną gospodarkę leśną w Polsce. Lasy Państwowe, pozyskując drewno, generują miejsca pracy dla około 500 tys. Polaków, a Polska jest głównym producentem mebli drewnianych w Europie. Szkodliwe działania ekoterrorystów niosą ze sobą negatywne konsekwencje dla gospodarki, zatrudnienia i społeczności lokalnych – wylicza Edward Siarka, sekretarz stanu w Ministerstwie Klimatu

i Środowiska oraz pełnomocnik rządu do spraw leśnictwa.

– Walka z ekoterroryzmem i dezinformacją wymaga współpracy wszystkich zainteresowanych stron. Organizacje rządowe, organy ścigania, przedstawiciele społeczeństwa obywatelskiego i lokalne społeczności powinny działać wspólnie, aby przeciwdziałać agresywnym działaniom ekoterrorystów i promować rzetelną informację na temat gospodarki leśnej i ochrony przyrody – uzupełnia dyrektor generalny Lasów Państwowych.

EKOTERRORYZM KRUSZY ZAUFANIE SPOŁECZNE

– Niestety, agresywni aktywiści i ekoterrorysty zdają się nie być zainteresowani ani prawdą, ani dialogiem. Ich działania wypełnione są dezinformacją i manipulacją, które prowadzą do niszczenia dobra narodowego i atakowania ludzi, którzy pracują na rzecz lasów. Takie zachowanie podważa zaufanie do prawdziwych ruchów ekologicznych, których głównym celem powinno być zrównoważone zarządzanie zasobami przyrodniczymi – ubolewa Edward Siarka, którego resort współpracuje z szeregiem różnych organizacji.

Michał Gzowski z kolei dodaje: – W obliczu narastającego ekoterroryzmu i dezinformacji obywatele powinni być świadomi manipulacji i roszczeń grup ekologicznych, które dążą do zniszczenia polskich lasów oraz przemysłu drzewnego. Tylko odpowiedzialna i rzetelna współpraca wszystkich zainteresowanych stron może prowadzić do prawdziwej ochrony przyrody i zrównoważonego wykorzystania zasobów leśnych.

Ekoterroryzm i agresywna retoryka nie są drogą do tego celu, a jedynie sabotażem i destrukcją, które szkodzą naszym lasom i wszystkim zależnym od nich społecznościom.





FOT. ADRIAN STOK

Upał na rynku mieszkań



Jacek Przybylski

Wprowadzenie „bezpiecznego kredytu 2 proc.” sprawiło, że mocno odbiła sprzedaż kredytów hipotecznych. Beneficjenci rządowych dopłat szturmem wchodzą na rynek nieruchomości, a ceny mieszkań szybko rosną, bo popyt mocno przewyższa podaż

Analicyści finansowi nie mają wątpliwości. Uruchomiony w lipcu rząd „Bezpieczny kredyt 2 proc.” wprawdzie nie jest taki tani, jak chcieliby nam wmówić politycy, ale i tak jest dla kredytobiorców opłacalny (jak zauważają autorzy raportu Expandera i Rentier.io, oprocentowanie skorygowane o dopłatę w PKO BP i Banku Pekao wynosi dokładnie 2 proc., a np. w Alior

Banku, który codziennie zmienia stawkę oprocentowania, skorygowane o dopłatę może wynieść nawet poniżej 2 proc. w skali roku). Oczywiście trudno, żeby kredyt ten był nieopłacalny, skoro na dopłaty do rat kredytobiorców składają się wszyscy podatnicy, co kupującym pierwsze mieszkanie pozwoli zaoszczędzić dziesiątki tysięcy złotych.

Wśród podatników dopłacających nowym kredytobiorcom do rat będą m.in. ci, którzy nie chcą ryzykować, wzięli kredyt w złotówkach według zmiennej stopy i którzy w ostatnich kilkunastu miesiącach obserwowali, jak oprocentowanie ich długu poszybowało z ok. 3 proc. w ok. 8–9 proc. w skali roku (w zależności od marży banku).

Polacy potrafią liczyć. Po kredyt z rządową dopłatą ustawiają się więc kolejki potencjalnych beneficjentów, którzy spełniają warunki programu, czyli są wystarczająco młodzi, wystarczająco zamożni i którzy nie potrzebują zbyt dużego lokum. Z danych Oferteo.pl wynika, że jeszcze przed wejściem w życie programu wzrosło zainteresowanie kredytem na

zakup własnego mieszkania lub domu, a w ciągu dwóch tygodni lipca liczba zapytań związanych z usługami pośrednictwa kredytowego była nie tylko niemal trzy razy większa niż w czerwcu 2023 r., lecz także była jednocześnie wyższa niż w całym roku 2022. Z kolei według Biura Informacji Kredytowej średnia wartość wnioskowanego kredytu mieszkaniowego w czerwcu wyniosła 382,06 tys. zł i była o 12,1 proc. wyższa niż przed rokiem.

Jak poinformowała na konferencji prasowej wiceprezes Związku Banków Polskich Agnieszka Wachnicka, w ramach uruchomionego na początku miesiąca programu złożono już 11 495 wniosków, zawarto 223 umowy z klientami i założono 370 kont mieszkaniowych (stan na 20 lipca). W programie z dopłatami Banku Gospodarstwa Krajowego na razie bierze udział osiem banków, ale niebawem liczba ta ma się zwiększyć o sześć kolejnych. Według wiceprezes Wachnickiej dwa z nich „finalizują umowę z BGK”, a kolejne cztery „deklarują przystąpienie do programu pod koniec trzeciego kwartału”.

Z najnowsze­go „Monitora Bankowe­go” – raportu opracowa­nego przez firmę badawczą Mind & Roses – wynika, że odsetek bankowców spodziewających się wzrostu liczby kredytów mieszkaniowych dla osób indywidualnych w ciągu sześciu miesięcy wzrósł w lipcu do 83 proc.

DUŻY POPYT, MAŁA PODAŻ

Wprowadzając przedwyborczy kredyt hipoteczny, rząd mocno zaszkodził tym, którzy próbowali sami zaoszczędzić na swoje pierwsze mieszkanie, nie oglądając się na dopłaty z pieniędzy wszystkich podatników. Do szybkiego wzrostu sprzedaży mieszkań oraz wzrostu ich cen doprowadziła również deklaracja prezesa Narodowego Banku Polskiego Adama Glapińskiego, który 7 lipca ogłosił na konferencji prasowej, że Rada Polityki Pieniężnej podjęła decyzję o zakończeniu cyklu podwyżek stóp procentowych.

Nagłe ożywienie na rynku mieszkaniowym – przeważnie w sezonie letnim nie ma takiego ruchu w biznesie – doprowadziło do łatwego do przewidzenia szybkiego wzrostu cen lokali. Gwałtownemu wzrostowi popytu nie dorównuje podaż, ponieważ deweloperzy nie prowadzą zbyt wielu nowych budów i celowo zwlekają z nowymi inwestycjami. Od grudnia ubiegłego roku deweloperzy sprzedają bowiem dużo więcej mieszkań, niż wprowadzają na rynek. I szybko się to nie zmienia.

Z najnowszych danych GUS wynika, że w czerwcu 2023 r. deweloperzy rozpoczęli budowę niespełna 8,9 tys. lokali. W ujęciu miesięcznym to co prawda wzrost o 2,1 proc., ale w porównaniu z czerwcem ubiegłego roku spadek liczby mieszkań, których budowę rozpoczęto, wyniósł aż 43,4 proc. To wyjątkowo słabe dane. „Gdybyśmy [...] szukali czerwca, w którym liczba rozpoczynanych przez deweloperów inwestycji była mniejsza niż w najnowszej publikacji GUS, to musielibyśmy się cofnąć aż do 2015 r.” – zauważyli pod koniec lipca eksperci firmy deweloperskiej HREIT, ostrzegając, że nierównowaga między popytem a podażą może się jeszcze pogłębić. „Doświadczenie z pierwszego roku epidemii sugeruje, że od momentu ożywienia po stronie kupujących do poprawy w sferze rozpoczynanych inwestycji trzeba czekać 1–2 kwartały” – czytamy.

Jednocześnie, jak informował w ubiegłym tygodniu „Puls Biznesu”, deweloperom coraz bardziej ciążyą problemy z pozyskaniem nowych działek pod zabudowę.

DROŻEJ NA RYNKU PIERWOTNYM I WTÓRNYM

Według danych portalu RynekPierwotny.pl średnie ceny ofertowe nowych mieszkań wzrosły – od czerwca 2022 do czerwca 2023 r. – w Warszawie o 11 proc. (do 14,9 tys. zł), w Krakowie o 18 proc. (do 13,7 tys. zł), we Wrocławiu o 10 proc. (do 12,2 tys. zł), w Gdańsku o 13 proc. (do 12,6 tys. zł), a w Łodzi o 13 proc. (do 9,8 tys. zł).

Gwałtowny wzrost popytu sprawia, że podwyżki cen dotyczą nie tylko lokali nowych, lecz także mieszkań używanych, które również coraz szybciej znikają z rynku. Z najnowsze­go raportu Expendera i Rentier.io wynika, że w czerwcu, czyli jeszcze przed uruchomieniem programu tanich kredytów, ofertowe ceny mieszkań były wyższe niż w styczniu obecnego roku we wszystkich 17 analizowanych miastach. Według autorów raportu rządowy program „bezpieczny kredyt 2 proc.” podbił cenę mieszkań, jeszcze zanim oficjalnie zaczął działać. Jeszcze od stycznia do czerwca wzrosły średnio o 5,5 proc. W porównaniu z majem w czerwcu obecnego roku średnie ceny nieruchomości były wyższe w 14 badanych miastach z 17 – spadki zaobserwowano tylko w Toruniu (o 1,6 proc.), Częstochowie (o 2,6 proc.) oraz w Katowicach (o 9,8 proc.). Z raportu wynika, że średnio w Polsce w II kwartale najbardziej podrożały małe mieszkania do 35 mkw. (wzrost cen wyniósł 3,9 proc. w porównaniu z I kwartałem) oraz średnie, czyli te o powierzchni od 35 do 65 mkw. (zdrożały one kwartał do kwartału o 3,5 proc.). Taki trend jest zgodny z przewidywaniami analityków: młodych kupujących pierwsze w życiu mieszkanie najczęściej nie stać na bardzo duże i bardzo drogie nieruchomości. Wzrost cen wywołany jest również malejącą podażą. Autorzy raportu Expendera i Rentier.io informują, że liczba ofert dodanych na portale w czerwcu była o 3,6 proc. mniejsza niż miesiąc wcześniej, a wszystkich aktywnych ofert w czerwcu było o 2,5 proc. mniej niż w maju.

Na razie nic nie wskazuje na to, aby trend rosnących cen miał zostać szybko zatrzymany. Według najnowsze­go raportu zespołu analiz nieruchomości w PKB BP ceny mieszkań już wzrosły, nadal rosną i w najbliższym czasie nie ma co liczyć na zatrzymanie tego trendu.

Autorzy opracowania wskazują, że chociaż „w pierwszym półroczu wzrost sprzedaży dotyczył w większym stopniu – nieco faworyzowanego wśród kupujących inwestycyjnie – rynku pierwotnego, to uruchomienie programu dopłat do rat kredytów podgrzeje zapewne również sprzedaż na rynku wtórnym”. Według danych analityków PKO BP średnia całkowita kwota transakcji na rynku pierwotnym w II kwartale 2023 r. wzrosła o 3,3 proc. kwartał do kwartału i 6,9 proc. rok do roku. Spośród sześciu największych miast w Polsce jedynie w Poznaniu autorzy bankowego raportu odnotowali delikatny spadek średniej ceny transakcyjnej względem poprzedniego kwartału. Średnia cena na rynku warszawskim to 13,8 tys. zł na mkw., a na rynku łódzkim 8,5 tys. zł. W ciągu pięciu lat wzrost średniej ceny wyniósł aż 75 proc.

„Spodziewamy się, że ceny mieszkań pozostaną w trendzie wzrostowym w średnim okresie, z wyraźnym wzrostem ich rocznej dynamiki w II poł. 2023. Przyczyną takiej prognozy jest przede wszystkim wyraźny spadek oferty w konsekwencji zamrożenia wielu nowych inwestycji deweloperskich w ubiegłym roku w ślad za obserwowanym wtedy spadkiem popytu. Po stronie popytowej rynku widzimy z kolei wyraźne symptomy ożywienia” – czytamy w opublikowanym w ubiegłym tygodniu raporcie „Monitoring cen mieszkań: wzrost cen mieszkań nabiera tempa”. Między innymi ze względu na rządowy program dopłat do rat kredytów bankowi analitycy spodziewają się też jednocześnie utrzymania trendu rosnącej sprzedaży.

Jeśli dołożymy do tego mocno rosnące wynagrodzenia, a także spodziewane jesienią i zimą cięcia stóp procentowych, które sprawią, że również tradycyjne, dostępne dla wszystkich kredyty hipoteczne potanieją, chętnych na zakup mieszkań może przybywać jeszcze szybciej. A to prawdopodobnie oznaczać będzie, że znów będzie się trzeba przyzwyczaić do drożejących z kwartału na kwartał zwłaszcza małych i średnich lokali.

Cywilizacja i wygoda życia: tak można by najprościej określić przyczyny epidemii raka jelita grubego, z którą mamy dziś do czynienia w krajach wysoko rozwiniętych. To dziś już drugi pod względem częstości zachorowań nowotwór w Europie. Każdego roku jest rozpoznawany u ok. pół miliona Europejczyków. Szacuje się, że liczba zachorowań będzie nadal rosta. Powodów jest wiele: starzenie się społeczeństwa, a także tryb życia i dieta, które sprzyjają zachorowaniu. Czynniki ryzyka to m.in. otyłość, cukrzyca typu 2, spożywanie dużej ilości czerwonego mięsa, produktów wysoko przetworzonych, cukru, białej mąki, małej ilości warzyw i owoców, mała aktywność fizyczna, palenie papierosów, picie alkoholu.

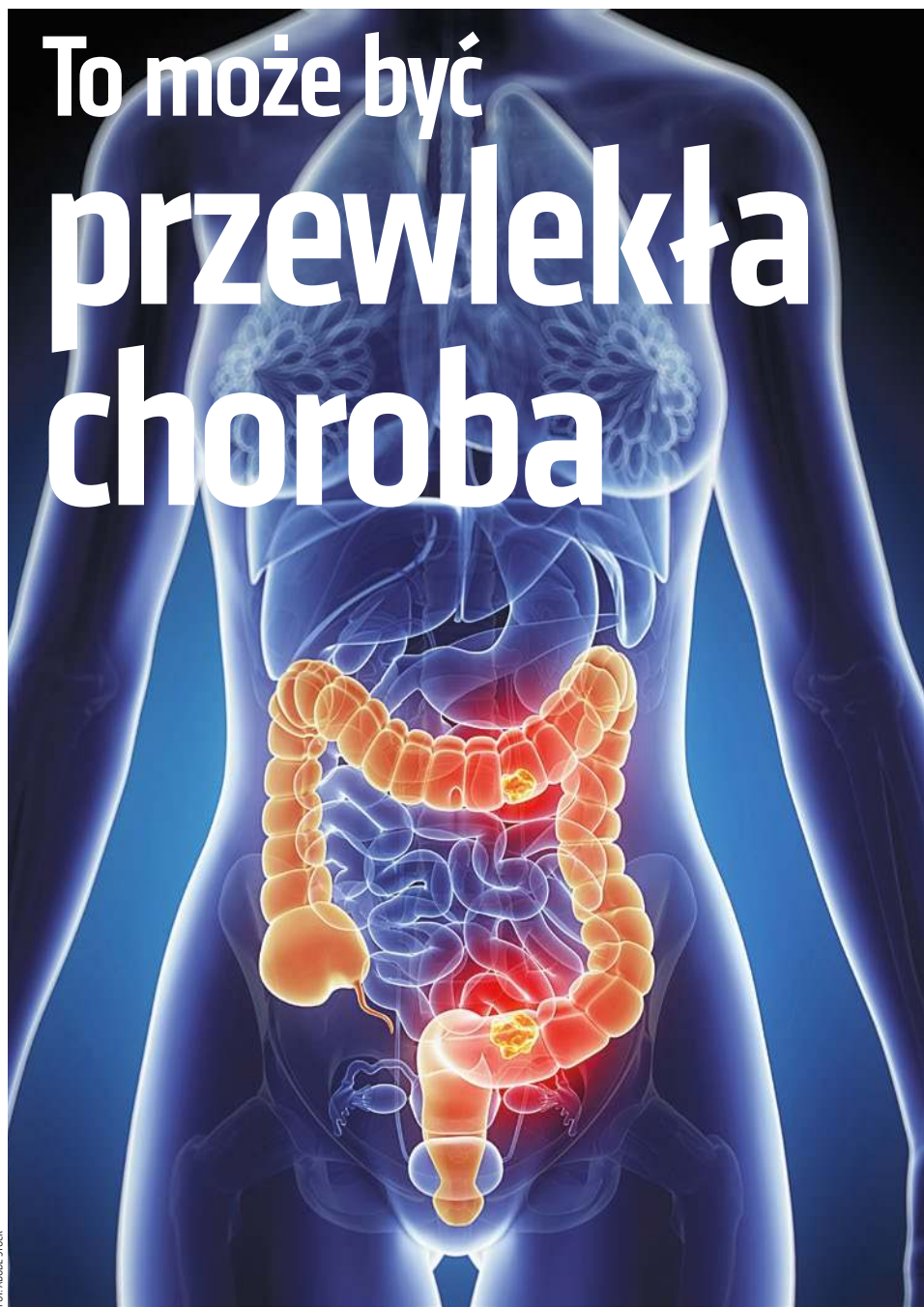
Są też czynniki ryzyka, na które nie mamy wpływu, takie jak wiek. Prawdopodobieństwo zachorowania jest też większe u osób, które cierpią na choroby zapalne jelit (choroba Leśniowskiego-Crohna, wrzodziejące zapalenie jelita grubego), mają niektóre mutacje genetyczne. Większe ryzyko mają m.in. osoby z zespołem Lyncha czy rodzinną polipowatością gruczolakowatą.

Diagnoza często spada jak grom, gdyż we wczesnym stadium rak jelita grubego nie daje objawów lub są one mało specyficzne: bóle brzucha, osłabienie, zmiana rytmu wypróżnień, niedokrwistość. Bardzo niepokojącym objawem jest krew w stolcu, jednak pojawia się ona zwykle już na późnym etapie raka jelita grubego. Często się zdarza, że diagnoza jest stawiana, gdy rak jest już zaawansowany, nawet z przerzutami w narządach odległych. Jak u 65-letniej Eweliny, która przez wiele miesięcy była leczona antybiotykami z powodu nawracających infekcji. Gdy kolejna terapia okazała się nieskuteczna, lekarz zalecił wykonanie RTG klatki piersiowej, a później tomografii komputerowej. Okazało się, że w płucu jest guz, który naprawdę okazał się już przerzutem raka jelita grubego.

NOWE LEKI, NOWE NADZIEJE

Nie zawsze udaje się wykryć nowotwór we wczesnym stadium, gdy jest możliwe wyleczenie. Zdarza się też, że mimo leczenia operacyjnego dochodzi do nawrotu choroby i pojawienia się przerzutów. Rokowanie tych chorych jest najtrudniejsze.

To może być przewlekła choroba



FOT. ADRIAN STOK



Katarzyna Pinkosz

Jeszcze 20 lat temu średnia przeżycia chorego z przerzutowym rakiem jelita grubego wynosiła mniej niż rok. Obecnie, dzięki nowoczesnym terapiom, czas przeżycia jest czterokrotnie dłuższy. Każda skuteczniejsza terapia sprawia, że ten jeden z najtrudniejszych do leczenia nowotworów staje się chorobą coraz bardziej przewlekłą

Ostatnie lata przyniosły jednak ogromne zmiany: pojawiło się wiele nowych leków, dzięki którym zaawansowany rak jelita grubego coraz częściej staje się chorobą przewlekłą. – Zaawansowanego raka jelita grubego co prawda nie możemy na razie wyleczyć, jednak dzięki coraz skuteczniejszym terapiom możemy znacznie wydłużyć życie chorego. Rak jelita grubego powoli staje się chorobą przewlekłą, z którą można żyć – przekonuje prof. Rafał Stec, kierownik Kliniki Onkologii Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego. – Jeszcze 20 lat temu średnia przeżycia chorego z przerzutowym rakiem jelita grubego wynosiła ok. 12 miesięcy. Obecnie, dzięki tym nowoczesnym terapiom, mamy czterokrotne wydłużenie czasu całkowitego przeżycia. To ogromna zmiana – zaznacza prof. Stec.

W przypadku zaawansowanego raka jelita grubego niezwykle ważny jest dostęp do nowych terapii, który w Polsce bardzo się poprawił (m.in. od marca do refundacji weszły dwie kolejne terapie). Dla chorych każdy taki lek to przełom, gdyż pozwala wydłużyć życie, a często zastosować kolejne leczenie. Nową nadzieją dla pacjentów są informacje ze zjazdu ESMO (Europejskiego Towarzystwa Onkologii Klinicznej), który niedawno odbył się w Barcelonie. Mówiono na nim m.in. o wynikach badań Sunlight, prezentowanych już podczas tegorocznego zjazdu ASCO (Amerykańskiego Towarzystwa Onkologii Klinicznej) oraz opublikowanych na łamach „New England Journal of Medicine”. Badanie przeprowadzono w 96 ośrodkach, w 18 krajach, w tym w Polsce, u pacjentów z zaawansowanym rakiem jelita grubego, którzy przeszli już dwie wcześniejsze linie leczenia. – Co 10. pacjent w tym badaniu klinicznym był z Polski, dlatego jego wyniki w znacznym stopniu pokazują, jakich efektów możemy spodziewać się u polskich pacjentów. Badanie dotyczyło leczenia chorych z zaawansowanym rakiem jelita grubego w trzeciej linii. Zwykle takich pacjentów uważamy za opornych na chemioterapię, gdyż była ona już u nich stosowana, jednak przedstawione wyniki badania wskazują, że na tym etapie choroba wcale nie musi być aż tak oporna, jeśli zastosuje się właściwe leczenie – mówi prof. Lucjan Wyrwicz, kierownik Kliniki Onkologii i Radioterapii Narodowego Instytutu Onkologii w Warszawie.

Pacjenci w trzeciej linii leczenia otrzymywali terapię chemioterapeutyką (triflurydyna/typiracyl). W badaniu Sunlight dodano do niej bewacyzumab, lek antyangiogeny (utrudnia unaczynienie nowotworów, co prowadzi do hamowania ich wzrostu). – Dodanie tego leku spowodowało prawie dwukrotne wydłużenie okresu kontrolowania choroby, miało też wpływ na wydłużenie przeżycia. W leczeniu paliatywnym w trzeciej linii takie wyniki nie były wcześniej możliwe do osiągnięcia – dodaje prof. Wyrwicz.

Istotne w tym badaniu było to, że obydwa leki są dobrze znane i już stosowane w leczeniu raka jelita grubego. – Co więcej, dodanie do terapii znanego, relatywnie niedrogiego leku (bewacyzumab), który większość pacjentów już stosowała na wcześniejszych liniach, spowodowało prawie dwukrotne wydłużenie czasu kontrolowania choroby. Ważne jest również to, że ten lek jest już wyłączony z ochrony patentowej – są odpowiedniki generyczne, a to powoduje, że koszty stosowania takiego schematu nie będą dużo wyższe od obecnych – zaznacza prof. Wyrwicz.

Dodanie bewacyzumabu nie zwiększyło toksyczności leczenia. – Takie leczenie mogłoby otrzymać chorzy w dobrym stanie sprawności, z zachowaną wydolnością narządową, po dwóch wcześniejszych liniach leczenia zaawansowanego raka jelita grubego, którzy nie mają przeciwwskazań do leczenia antyangiogennego – a są nimi zaburzenia krzepnięcia, krwawienia z przewodu pokarmowego, stosowanie leków przeciwkrzepliwych w dawkach terapeutycznych – wylicza prof. Wyrwicz. W czerwcu tego roku Europejska Agencja Leków wydała pozytywną opinię dotyczącą nowej terapii do stosowania w Unii Europejskiej. Aby takie leczenie mogło być stosowane w Polsce, niezbędne są zmiany w wykazie leków refundowanych, tak aby można było dołączyć do obowiązującego schematu terapii bewacyzumab. – Mam nadzieję, że w najbliższym czasie takiej zmiany uda się dokonać, to obecnie najbardziej oczekiwana opcja terapeutyczna w raku jelita grubego, jeśli chodzi o refundację – dodaje prof. Wyrwicz.

BADANIA RATUJĄ ŻYCIE

Nowoczesne terapie stosowane w zaawansowanym raku jelita grubego potrafią znacznie wydłużyć życie,

jednak kluczem jest jak najwcześniejsze wykrycie choroby. Jest to możliwe dzięki wykonywaniu kolonoskopii. – To jedyne badanie, podczas którego możemy wykryć polipy i od razu je usunąć, jeszcze zanim rozwinie się nowotwór. Możemy również wykryć nowotwór, zanim pojawiają się pierwsze objawy – mówi Jarosław Reguła, konsultant krajowy w dziedzinie gastroenterologii.

Kolonoskopia można wykonać profilaktycznie, bezpłatnie i bez skierowania w placówkach, które mają kontrakt z NFZ (lista placówek, które przystąpiły do programu profilaktycznego, znajduje się na stronie NFZ: <https://gsl.nfz.gov.pl/GSL/GSL/ProgramyProfilaktyczne>). Na badania w ramach programu przesiewowego może się zgłosić każda osoba w wieku od 50 do 65 lat, u której w ciągu ostatnich 10 lat nie była wykonywana kolonoskopia i u której nie występują objawy mogące świadczyć o raku jelita grubego. Z programu mogą skorzystać także osoby młodsze, w wieku od 40 do 49 lat, u których w najbliższej rodzinie (krewny pierwszego stopnia) rozpoznano przypadek nowotworu jelita grubego. W przypadku wystąpienia niepokojących objawów, takich jak krew w stolcu, zmiana rytmu wypróżnień, niedokrwistość niepoddająca się leczeniu, konieczna jest wizyta u lekarza POZ, który może wystawić skierowanie na kolonoskopię (bez względu na wiek pacjenta).

W Polsce wciąż problemem jest niska zgłaszalność na badania kolonoskopowe, która jeszcze bardziej spadła w okresie pandemii COVID-19, dlatego eksperci spodziewają się, że w najbliższych latach więcej nowotworów jelita grubego będzie rozpoznawanych w późniejszych stadiach. Wiele osób nie zgłasza się na badanie kolonoskopowe z obawy przed bólem. Warto jednak pamiętać, że to badanie może uratować życie, a można je też przeprowadzić – w zależności od wskazań medycznych – także w znieczuleniu miejscowym lub ogólnym. Zgodnie z Narodową Strategią Onkologiczną do końca 2024 r. ma być wprowadzony jako alternatywa do badań kolonoskopowych test FIT (przesiewowy test immunochemiczny na krew utajoną w stolcu). Dopiero jego pozytywny wynik mógłby kierować na kolonoskopię.



Radosław Wojtas

Kiedy na Nagasaki spadła bomba atomowa, w założonym przez misjonarza z Polski, a oddalonym zaledwie o kilka kilometrów od epicentrum wybuchu klasztorze tylko wypadły szyby z okien. W tym silnie doświadczonym przez człowieka i naturę japońskim mieście Polskę postrzega się w dużej mierze przez pryzmat pochodzących z naszego kraju zakonników

Gdyby jakiekolwiek miejsce mogło nosić blizny, to Nagasaki i najbliższy jego region miałyby ich dużo. Ran w swej historii miasto to odnosiło wiele. Czasem zadawała je natura. Jak podczas wielkiej powodzi, która nawiedziła Nagasaki w roku 1982. Jak wybuchy położonego w prefekturze Nagasaki wulkanu Unzen w latach 1922 i 1990. Jednak najgłębszą ranę zadał miastu człowiek, gdy 9 sierpnia 1945 r. tuż po godz. 11 nadleciał nad nie amerykański boeing B-29 Superfortress Bockscar z bombą Fat Man na pokładzie.

Bomba zawierająca ładunek plutonowy o mocy 21 kiloton TNT wybuchła na przedmieściach Nagasaki, dokładnie nad największą wtedy katedrą w Azji Wschodniej, zmiotając ją z powierzchni ziemi. Razem z modlącymi się w niej wiernymi, dziesiątkami tysięcy mieszkańców Nagasaki i połową miasta, które zostało zniszczone dlatego, że pierwotny cel ataku, miasto Kokura, w dniu zrzućtu bomby zasnuty był gęstymi chmurami. Klasztor założony w Nagasaki przez Maksymiliana Marię Kolbego ocalał, choć od epicentrum wybuchu dzieliło go ledwie kilka kilometrów.

Ta opowieść jest o „japońskim Niepokalanowie”. Nie brakuje w niej zdarzeń, które ktoś nazwie zbiegami okoliczności. Ktoś inny może jednak spojrzeć na nie z perspektywy bliższej bohaterowi tej historii, który powiedział kiedyś: „Nic nie

Samuraj Niepokalanej



Klasztor, który zakładał Maksymilian Maria Kolbe, funkcjonuje do dziś w odbudowanych po pożarze budynkach

FOT. EMIL TRUSZKOWSKI/POLONIKA

dzieje się bez woli Bożej, woli Niepokalanej. Nic też dobrego czy złego nie może się nam przydarzyć, jeśli On do tego nie dopuści, a jeżeli dopuszcza, to tylko i wyłącznie dla jak największej chwały Bożej i dla naszego dobra”.

NA WSCHÓD

Śledząc historię dzieł życia Maksymiliana Marii Kolbego, trudno nie odnieść wrażenia, że czegokolwiek się ten franciszkanin tknął, to efekty przerastały najśmielsze oczekiwania. Klasztor Niepokalanów zakłada Kolbe w 1927 r. na niezaoaranym ściernisku na ziemi подарowanej przez księcia Jana Druckiego-Lubeckiego. Kiedy zostaje jego pierwszym gwardianem, klasztor składa się z dwóch ojców i 19 braci. W roku 1939 jest to już najliczniejszy klasztor na świecie, w którym

żyją 762 osoby. Niepokalanów pod jego kierownictwem rośnie i rozwija się znakomicie, Kolbe uruchamia tam elektrownię, wprowadza dalekopis i myśli o uruchomieniu własnej telewizji, studia filmowego oraz lotniska! Gdy w styczniu 1922 r. zaczyna wydawać „Rycerza Niepokalanej”, pismo ma nakład 5 tys. egzemplarzy. W roku 1939 osiąga milionowy nakład. Sukces odnosi jego inicjatywa powołania do życia organizacji religijnej Rycerstwo Niepokalanej. Uruchamia Radio Niepokalanów, choć w przedwojennej Polsce nie pozwalała na to ówczesne prawo. Franciszkanin go nie łamie, ale sprytnie obchodzi – zostaje licencjonowanym krótkofalowcem i w ten sposób nadaje legalnie, obejmując zasięgiem niemal cały kraj.

Niepoślednie owoce przynosi jego działalność misyjna. Z jednym wyjątkiem.

W roku 1930 r. Kolbe wypływa z portu w Marsylii do Chin. Dociera do Szanghaju, gdzie wraz z czterema innymi zakonnikami próbuje założyć ośrodek misyjny. I jest to próba nieudana. Zbieg okoliczności? Maksymilian Maria Kolbe opisuje to tak: „Zaczynamy rozumieć, dlaczego Niepokalana nie pozwoliła, by Jej dom »Niepokalanów« został otwarty w chińskim Szanghaju. Ona wiedziała, że miał nadejść czas wojennych zniszczeń, z burzeniem licznych budynków i licznymi ofiarami”.

Efektem tej nieudanej próby jest podróż franciszkanina do Japonii. Wybór celu podróży w Kraju Kwitnącej Wiśni nie jest przypadkowy. Nagasaki ma najsilniejsze tradycje chrześcijańskie w kraju. Mimo tego Kolbe jest pełen obaw, które zapewne potęgują doświadczenia z Chin. Przyszły święty pisze: „Gdy z okrętem »Nagasaki« przybyłem do portu nagasackiego – pytałem sam siebie: jak mnie przyjmą w Japonii? Gdy przybyłem takśówką do kościoła w Oura, duża biała statua Matki Bożej z napisem u dołu »Matka Boska Japonii« zdawała się zapraszać, by wejść do kościoła. Zmęczony byłam chorobą morską, ale gdym zobaczył figurę, zniknęły zmęczenie i z radością wszedłem do kościoła”.

ŁUDZIOM WBREW

Sprawy w Japonii potoczyły się jak najlepiej. Maksymilian Maria Kolbe i jego towarzysze podróży – br. Zenon Żebrowski oraz br. Hilary Łysakowski – zostali ciepło przyjęci przez bp. Yanuario Hayasakę, który ugościł ich we własnym domu. Kolbe zaczął nawiązywać kontakty z lokalnymi kapłanami oraz misjonarzami posługującymi w Nagasaki i wykładać w seminarium. Już miesiąc po przybyciu do kraju samurajów polski misjonarz zaczął wydawać „Seibo no Kishi”, czyli japońskie wydanie „Rycerza Niepokalanej”. Pierwszy numer miał nakład 10 tys. egzemplarzy, z czego 2 tys. rozdano w Nagasaki, a 8 tys. rozesłano do katolików w całej Japonii. Kilka miesięcy później „Seibo no Kishi” wychodziło w nakładzie 25 tys. egzemplarzy, a po kilku latach drukowano 60 tys. egzemplarzy.



Maksymilian Maria Kolbe z japońskimi kapłanami. FOT. ARCHIWUM FRANCISZKANÓW W NIEPOKALANOWIE

Najważniejszym zadaniem na japońskiej ziemi było dla polskiego misjonarza stworzenie kolejnego Niepokalanowa. Poszukując odpowiedniego miejsca dla Mugenzai no Sono, czyli Ogrodu Niepokalanej, rozważano kilka opcji. Naturalną lokalizacją wydawała się dzielnica Urakami, najbardziej katolicka w całym mieście, gdzie mieszkało kilkanaście tysięcy katolików i gdzie od 1895 r. wierni gromadzili się w katedrze Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny. Tej samej, nad którą wybuchła bomba atomowa.

Miedzy innymi z korespondencji słanej przez Maksymiliana Kolbego wiemy, że podejmując decyzję, nie polegał on tylko na sobie i na przełożonych. „[...] trudno poznać, jak Niepokalana sobie życzy”, „Jak Najprzewielebniejszy O. Prowincjał odpisze, tak będę uważał za Wolę Niepokalanej” – pisywał. Bracia namawiali go na zlokalizowanie klasztoru nieopodal katedry, ale Kolbe miał odrzucić tę lokalizację, mówiąc: „Tu nie możemy

zbudować klasztoru. Wkrótce spadnie tu ognista kula i wszystko zniszczy”.

Zamiast tej i innych – zdawać by się mogło, bardziej rozsądnych propozycji – Kolbe wybrał zbocze góry Hikosan. Miejsce, w którym wedle lokalnych wierzeń budowa była niezgodna z naturą. Franciszkanie w kilka miesięcy zbudowali tam drewnianą świątynię w stylu zachodnim. Kościół konsekrowano 15 sierpnia 1934 r.

Maksymilian Maria Kolbe pracował w Japonii sześć lat, zostawiając tam po sobie prężnie działający ośrodek misyjny.

KLASZTOR DZIŚ

Zwęglone różańce – tylko tyle pozostało po ludziach modlących się w katedrze Urakami w chwili wybuchu nad nią Fat Mana. Drewniany kościółek i klasztor Franciszkanów przetrwały, mimo że od miejsca epicentrum dzieliło je 6 km. „Niezgodne z naturą” usytuowanie ocaliło te obiekty, góra osłoniła je przed falą uderzeniową. Po wybuchu franciszkanie ruszyli z pomocą mieszkańcom miasta, udostępniając swoje obiekty na szpital i sierociniec.

Czego nie zdołał zrobić wybuch atomowy, tego dokonał pożar, który strawił klasztor już po wojnie. Franciszkanie go odbudowali i dziś przy dużym zespole klasztornym działają wydawnictwo, szkoła, przedszkole oraz muzeum poświęcone św. Maksymilianowi Marii Kolbemu. Zgromadzono tam wiele cennych pamiątek po rycerzu Niepokalanej, w tym jego dziennik, habit, różaniec, przedmioty liturgiczne. Na wejściu do zlokalizowanego skromnie, na tyłach kompleksu klasztorowego muzeum, ustawiono figurę Matki Bożej. Będąc tak powitany u progu „pierwszego japońskiego domu” polskiego świętego, trudno nie wrócić do wspomnienia jego pierwszych dni w Kraju Kwitnącej Wiśni: „Duża biała statua Matki Bożej [...] zdawała się zapraszać, by wejść do kościoła. Zmęczony byłam chorobą morską, ale gdym zobaczył figurę, zniknęły zmęczenie i z radością wszedłem do kościoła”.



Jedną z rozważanych lokalizacji klasztoru założonego przez Kolbego były okolice katedry Urakami (na zdjęciu po wybuchu bomby atomowej) FOT. DOMENA PUBLICZNA

NASZ TEST: VOLVO S60 B4

Każdy wiek ma swoje przywileje. Jedną z zalet bycia kierowcą po czterdziestce jest to, że nikomu niczego nie trzeba już udowadniać (pomijając walczących z kryzysem wieku średniego tysiących panów w sportowych kabrioletach). Wówczas co najmniej na równi z dynamiką auta docenia się komfort i bezpieczeństwo jazdy.

Sylwetka S60 w połączeniu z nowoczesnymi reflektorami w kształcie młota Thora wygląda elegancko. Nie jest to co prawda flagowy model S90, ale i mniejsza wersja limuzyny szwedzkiej marki wygląda godnie, spełniając wymogi samochodu dla osób, które są z zawodu dyrektorem.

Dla tego typu klientów przygotowano również wnętrze auta. Starannie wykończone, stonowane, spokojne, minimalistyczne. Nie ma tu niepotrzebnych krzykliwych dodatków. Jasnobrązowa skóra, drewniane dekory, kryształowy drążek automatycznej skrzyni biegów dobrze się ze sobą komponują. Umieszczone za kierownicą cyfrowe zegary (o przekątnej 12 cali) są czytelne i funkcjonalne, choć niemieccy producenci oferują więcej możliwości personalizacji. Niepotrzebnie konstruktorzy Volvo upierają się też, by niemal wszystko, co się da, obsługiwać na jednym dużym ekranie przeznaczonym do obsługi systemu

multimedialnego.

Osobne przyciski do klimatyzacji sprawdzałyby się dużo lepiej.

Bardzo wygodne fotele można dopasować do własnych potrzeb za pomocą systemu elektrycznej regulacji. Dzięki dobremu wyciszeniu we wnętrzu nawet wielogodzinna jazda po autostradzie przestaje być morderką, a staje się okazją, by korzystając z głośników Harman Kardon, posłuchać w spokoju muzyki Ludovica Einaudiego czy któregoś z japońskich minimalistów.

Pod maską pracuje dwulitrowy benzynowy silnik o mocy 197 KM z układem miękkiej hybrydy. Autem bez problemu można pojechać szybko. Od zera do setki S60 przyspiesza w 7,6 s, a dzięki elektrycznemu wsparciu momentu obrotowego nie brakuje.

Dynamiczne pokonywanie zakrętów? Żaden problem. Warto jednak pamiętać, że zawieszenie

zostało stworzone raczej z myślą o komforcie, a nie szaleństwach na drodze. Średnie spalanie podczas testu (jazda po mieście, autostradzie i drogach krajowych) wyniosło zaledwie 6,9 l. Świetny wynik. Szkoda jednak, że bagażnik jest zbyt mały (ma 427 l pojemności).

Samochód wyposażony jest w różne systemy zwiększające bezpieczeństwo, które ostrzegają, że jakieś auto znajduje się w martwym polu lusterek bocznych, zaalarmują, gdy za bardzo zbliżamy się do poprzedzającego pojazdu lub gdy przypadkowo przekroczymy linię wyznaczającą nasz pas ruchu. Auto ostrzeże też przed ruchem bocznym podczas cofania (bardzo przydatne podczas wyjazdu z miejsc parkingowych). S60 potrafi też w razie potrzeby sam się zatrzymać.

Za Volvo S60 B4 trzeba zapłacić ok. 260 tys. zł.



INFINIX NOTE 30 PRO

Świetny ekran AMOLED, głośniki stereo, szybkie ładowanie oraz ładowanie indukcyjne, gniazdo jack 3,5 mm i bardzo dobry stosunek ceny do jakości – to największe zalety smartfonu chińskiej marki, która po tym, jak podbiła Afrykę, próbuje zdobyć rynki Europy Środkowej.

Biorąc pod uwagę półkę cenową, model, który swoją premierę nad Wisłą miał w czerwcu obecnego roku, zaskakuje bardzo pozytywnie. Wzornictwo jest nowoczesne. Tylna obudowa w promieniach słońca ładnie mieni się różnymi kolorami (od złotego do zielonego). Chromowana boczna ramka stara się wyglądać elegancko.

Smartfon ma wbudowany czytnik linii papilarnych, który działa bardzo szybko, a także skaner twarzy, który przeważnie też funkcjonuje bez zarzutu. Na dużą pochwałę zasługuje wyświetlacz AMOLED o przekątnej 6,78 cala, rozdzielczości Full HD+ (2400 x 1080 pikseli) i częstotliwości odświeżania na poziomie aż 120 Hz (można go też ustawić na 60 lub 90 Hz).

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (XZ)

Sercem testowanego egzemplarza jest procesor Mediatek Helio G99, który współpracuje z 16 GB pamięci RAM (8 GB + 8 GB). Do dyspozycji na oprogramowanie, zdjęcia filmy etc. jest 256 GB pamięci, którą można rozszerzyć za pomocą karty mi-



croSD. Dla użytkowników, którzy używają smartfona głównie do przeglądania mediów społecznościowych czy surfowania po Internecie, taka specyfikacja jak najbardziej powinna wystarczyć. Nic się nie zacina i nie zawiesza. Jest OK, choć miłośnicy nowoczesnych gier ten model powinni sobie odpuścić.

Główny aparat fotograficzny ma 108 Mpx i w dobrym oświetleniu robi przyzwoite zdjęcia.

Akumulator o pojemności 5000 mAh pozwala sięgać po ładowarkę co drugi, trzeci dzień. Dobre jest też to, że w pudełku znajdujemy szybką ładowarkę o mocy 68 W, podstawowe przewodowe słuchawki, silikonowe etui, a nawet folię ochronną na ekran.

Wady? Po pierwsze, smartfon mógłby być nieco cieńszy (ma 8,12 mm grubości). Po drugie, współczynnik ochrony IP 53 oznacza, że model jest odporny jedynie na zachlapania i drobne zanieczyszczenia. Dla porównania: dużo droższe flagowce mogą pochwalić się IP na poziomie 68, czyli są wodoszczelne i pyłoodporne. Po trzecie, Chińczycy mogliby się lepiej przyłożyć do tłumaczenia interfejsu na język polski. Po czwarte, głośniki stereo brzmią tak sobie, choć potrafią zagrać naprawdę głośno.

Mimo tych minusów stosunek ceny do jakości jest rewelacyjny. Za testowany model w wersji 8/256 GB trzeba zapłacić 1399 zł.

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ JACEK PRZYBYLSKI

DO RZECZY TYGODNIK LUSICKIEGO

WWW.DORZECZY.PL

eprasa.pl ed9685df9d



ANNA POPEK Z D. CHRZUZI
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRZUZI

SIOSTRY GOTUJĄ

Trele- -morele

Środek lata to idealny czas, aby zająć się owocami. Do jednych z naszych ulubionych zaliczają się morele. Nasza babcia robiła z nich kompoty na zimę oraz konfiturę, którą potem jadłyśmy z naleśnikami i białym serem.

Owoce moreli to niezastąpione źródło witamin. Są niskokaloryczne i zawierają dużo błonnika, a swój pomarańczowy kolor zawdzięczają żółtopomarańczowemu barwnikowi o nazwie beta-karoten. Te drogocenne wartości przeciwdziałają powstawaniu nowotworów, mają korzystny wpływ na kondycję skóry, paznokci oraz włosów. Ze względu na dużą zawartość witamin z grupy B zalecane są osobom podczas rekonwalescencji. Morele zawierają wiele potasu, przez co wspomagają usuwanie wody z organizmu, a to szczególnie przydatne dla kobiet w okresie menopauzy.

Morele możemy jeść na surowo, przyrządzać z nich kompoty, zapiekać pod kruszonką lub grillować i używać do sałatek czy deserów. My dziś proponujemy morele na dwa sposoby – z burrata i na słodko z jogurtem z pistacjami.

Sałatka z orzechami włoskimi, burrata i grillowanymi morelami

- 1 opakowanie mix sałat z rukolą
- 4 dojrzałe morele
- 1 burrata
- 1 czerwona cebula
- pomidorki koktajlowe – spora garść
- garść obranych i posiekanych orzechów włoskich

Sos:

- 1 łyżka miodu
- 1 łyżka octu balsamicznego
- 1/3 szklanki oliwy z oliwek
- 1/2 ząbka czosnku
- sól i pieprz do smaku

Morele kroimy na ćwiartki i grillujemy kilka minut z każdej strony na patelni grillowej. Odkładamy do przestygnięcia. Na dużym talerzu układamy sałatę, pokrojone pomidorki koktajlowe, palcami rozdieramy burratę, tak aby zawartość śmietanki znalazła się na samym środku talerza z sałatą, dodajemy posiekane orzechy włoskie, pokrojoną w piórka czerwoną cebulę i grillowane morele.

Sos: składniki sosu blendujemy. Polewamy sałatę. Podajemy z grzankami, bagietkę przekrawamy na połówki i grillujemy na tej samej patelni, co wcześniej morele, oczywiście na oliwie z oliwek.

Jogurt naturalny z morelami i pistacjami

- 1 opakowanie jogurtu greckiego gęstego
- 2 morele, które grillujemy na patelni, tym razem polewamy je łyżką miodu
- garść posiekanych pistacji niesolonych
- 2 łyżki miodu

Do naczynia wlewamy jogurt, układamy połówki moreli, posypujemy pistacjami i polewamy miodem. Ozdabiamy listkami mięty. © ©



FOT. ANDRZEJ STOK



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

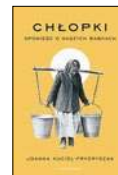
Chłopki

Bieda, bezrobocie, przeludnienie. Ciężar prowadzenia domu, oporządzania zwierząt, opieki nad młodszym rodzeństwem spoczywa na barkach kobiet. A te podlegają władzy mężczyzn: najpierw ojca, potem męża.

„Chłopki. Opowieść o naszych babkach” Joanny Kuciel-Frydryszak przeczytałam w trzy dni. Te „opowieści” to listy, dokumenty, bezpośrednie relacje starsuszek, ich wnuczek, wnuków, prawnuczek. Pochodzą z pierwszych trzech dekad XX w., spod Lwowa, z Wielkopolski, z Przemyśla, z Mazowsza. Żyją nędźnie, mieszkają nędźnie, jedzą nędźnie.

Każdy, kto będzie czytał tę książkę, złapie się za głowę: przecież to było tak niedawno! I trudno zaprzeczyć, że los większości tych ludzi odmienił się po wojnie w nowym ustroju. I trudno odmówić im racji, kiedy ten ustrój poparł. Jednak czytając „Chłopki”, nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że perspektywa lewicowo-feministyczna jest tu zbyt nachalna. Mamy schemat znany z lewicowej narracji: krzywdzona kobieta, mężczyzna ciemiężyciel, opresyjny Kościół, ucisk obszarników... Kto jako tako uczył się historii, wie, jak wyglądała wtedy polska wieś. Że nędzna, tak jak cały kraj, odzyskiwała siły. A potem ledwo co odrodzoną zaraz przydusił kryzys.

Wizualizację tego, o czym właśnie skończyłam czytać (przypadkowa zbieżność w czasie), zapewniła mi wizy-



JOANNA KUCIEL-FRYDRYSZAK
„CHŁOPKI.
OPOWIEŚĆ O NASZYCH
BABKACH”
MARGINESY 2023

ta w Muzeum Wsi Mazowieckiej w Sierpcu. Jeśli komuś będzie po drodze, to polecam, to bardzo ciekawa ekspozycja. Kilkadziesiąt autentycznych chat z Mazowsza zajmuje obszerny teren parku. Zagrody, stodoły, obory, kurniki. Są olejarnia, kapliczka, karczma, kościół, młyn. Wokół chałup ogródki. Kury beztrząsospa-cerują po zadbanym podwórku, są gęsi, owce i barany, nawet bociany wygrzebujące żaby z podschniętego (susza) rzyńska.

Myślę, że te wioski – Rzeszotary, Ligówko, Ostrów, Słupia – nie wyglądały tak idyllicznie w czasach, które opisuje Kuciel-Frydryszak. Było brudniej i biedniej. Mnie urządzenie chłopskich chałup przypominało lata 70. i 80., kiedy w Polsce nastała moda na domy letniskowe w przeniesionej lub opuszczonej drewnianej chałupie. Ta cepeliada była nawet autentyczna, bo artefakty, które dzisiaj oglądamy w skansenie, można było znaleźć na psich targach. Pierwsze pokolenie chłopów w mieście nie chciało mieć z glinianymi garnkami i koronkowymi obrusami nic wspólnego.

Ale historia zatoczyła koło. Kolejne pokolenie po „Chłopkach” odzyskuje świadomość pochodzenia. © ©



JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Iłża ogniem naznaczona

Jednym z urokliwych miasteczek południa dzisiejszego województwa mazowieckiego, a dawnego – sandomierskiego, jest Iłża, miasteczko z miniaturowym ryneczkiem, położona malowniczo, bo przytulona do góry, na której wznoszą się ruiny warowni wzniesionej ok. 1340 r. przez biskupa krakowskiego Jana Grota.

Iłża i nieodległy Skaryszew zostały zrujnowane w czasie dwóch pierwszych najazdów mongolskich – w latach 1241 i w 1259. W XIX w. uważano, że pozostałością po nich jest nazwa jednej z ulic, która zwana była Batowską, od Batu-chana, dowódcy oddziałów mongolskich, który choć zdobył Kijów, to jednak nigdy nie był w Polsce, dowodził bowiem częścią ordy, która skierowała się na Węgry. Naprawdę jednak nazwa jest późniejsza, ponieważ jeszcze w XVIII w. wspomniana droga nazywana była „badowska”.

Po zniszczeniach tatarskich Iłża została prawdopodobnie przeniesiona na dzisiejsze miejsce, niestety, padła ofiarą kolejnego pożaru pod koniec XIV w. Dlatego w 1413 r.

król Władysław Jagiełło nadał повторно miastu przywileje prawa magdeburskiego, utrzymane przez kolejnych królów.

Z kolei biskup krakowski Florian Mokrzycki między 1367 a 1380 r.

otoczył miasto murami, które prawie 100 lat później wzmocnił i przebudował kolejny biskup krakowski – Jan Konarski.

Jak wyglądała Iłża na przełomie wieków XV i XVI, można sobie tylko wyobrazić na podstawie późniejszych sztychów i opisów. Gdyby przetrwała, byłaby perełką w Koro-



FOT. BELLOT EGA NARCOWA

nie polskiej. Mury miejskie łączyły się z zamkiem, z miasta wychodziły trzy bramy wzniesione z wapiennego kamienia, od zachodu strzegła go baszta zwana Piekłem, ale bez przejazdu. Rozebrana wraz z resztą fortyfikacji ok. 1820 r. dostarczyła materiału na budowę tak samo nazywanej kamienicy.

W 1621 r. Iłża ponownie stała się ofiarą pożaru; jak podaje „Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich”, nie ocalał tutaj ani jeden budynek. Od tej pory historia miasta to pasmo kolejnych klęsk i zniszczeń. W czasie potopu szwedzkiego, w 1655 r., miasteczko i zamek obsadziły oddziały szwedzkie, które w roku następnym złupiły i spaliły Iłżę. Grozy zniszczeń dopełniły wojska polskie, które podłożyły ogień pod pozostałości miasta. Iłża stała się jednym wielkim pogorzeliskiem – kiedy w kolejnym roku nadciągnęły wojska Rakoczego, nie było już co łupić. Węgrzy zniszczyli zatem i zrabowali groby w kościołach i zamkowej kaplicy.

Odbudowujące się z trudem miasto spaliło się w kolejnym stuleciu, w 1744 r. W trzy godziny ogień pochłonął rynek i przedmieścia, cofając Iłżę w rozwoju o całą epokę. W 1788 r., po przyłączeniu dóbr

biskupich do rządowych, w Iłży było 30 domów murowanych, ale wszystkie zniszczone, i 160 drewnianych, ale prymitywnych, bez sieni, z kominami lepiionymi gliną. Mieszkało tutaj 840 mieszkańców.

Kolejny dramatyczny pożar miał miejsce 9 sierpnia 1831 r., kiedy w czasie powstania listopadowego gen. Samuel Józef Różycki pobił tutaj wojska rosyjskie, wciągając je w zasadzkę w mieście. Spaliło się wówczas 312 domów, pozostało zaś tylko dziewięć. Po kolejnym powstaniu – styczniowym – Iłża straciła prawa miejskie, już wcześniej rozpoczął się napływ ludności żydowskiej.

Dziś ciągle jest ciekawym miejscem do odwiedzenia, ale po murach, wieżach i ratuszu rozebranym na początku XIX w. pozostały już tylko wspomnienia. Osobliwością są zachowane wielkie piece garncarskie, Iłża słynęła bowiem ze swoich wyrobów jeszcze w XVII w. Garnki iłżeckie wysyłano aż do Krakowa, a na północ – nawet do Szwecji. Inne osobliwości to kościół farny Wniebowzięcia Marii Panny, pochodzący jeszcze z XIV w., aczkolwiek wielokrotnie odnawiany po zniszczeniach i pożarach. A także druga świątynia – Świętego Ducha z 1448 r., także kilkakrotnie przebudowywana. ©



RYS. MART

I RZECZYPOSPOLITA

Iłża



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Przymierzalnie w aptekach

Do konsultacji publicznych trafił projekt rozporządzenia mego ukochanego Ministerstwa Zdrowia, dotyczący... obowiązku zainstalowania w aptekach przymierzalni. Tak, tak. Zaraz wytłumaczę, o co chodzi. Otóż nowe rozporządzenie ma regulować aranżację pomieszczeń aptecznych w związku z ich przeznaczeniem.

Ponieważ w 2024 r. wchodzi refundacja m.in. takich produktów, jak pończochy i rajstopy uciskowe czy rękawy lub podkolanówki na owrzodzenie żył, to trzeba do tego przystosować apteki. To znaczy – w rekomendacjach jest napisane, że należy wtedy zorganizować przymierzalnie dla takich produktów.

Jak było do tej pory? Ano jakoś się obchodzono bez przymierzalni i kwestia refundacji nie miała i nie ma tu żadnego znaczenia. Jak były nier refundowane, to można było nie przymierzać, a jak są refundowane, to bez przymierzania ani rusz?

Co to spowoduje? Ano mamy dwie możliwości: apteka się zawężmie i wykroi jakąś przymierzalnię. Postuluję, że likwidując przyległą kanciapę na dorabianie na szczepieniach, bo to teraz (na razie, na razie) katastrofa i zieleń one pustkami dawnych wzmogów historycznych. Niektóre apteki się nie zmieszczą, bo większość jest i tak na wcisk, a więc nie zrobią przymierzalni.

Druga opcja wynika z tej pierwszej. Aby uniknąć tych

wszystkich kłopotów, aranżacji i remontów, po prostu nie będzie się handlowało takimi produktami. Apteki nie będą zamawiać, a więc dostępność potrzebującym zostanie ograniczona. A więc nie pierwszy raz ministerstwo wylewa dziecko z kąpielą. Chce cenowo, poprzez refundację, powiększyć dostępność jakiegoś produktu i „dla dobra” pacjentów wprowadza takie udogodnienia (wymóg przymierzalni), tak że ta dostępność spadnie, bo sieć nie będzie chciała ściągać na siebie kłopotów.

Ministerstwo nie rozumie zasady istniejącej od lat w handlu – ile przychodów z półki. Po prostu wynajem i ekspozycja to określone koszty, które mają wyprodukować określone przychody. Te drugie, odjęte od tych pierwszych, dopiero generują zysk, to znaczy – ile przedsiębiorcy zostaje z takiego procesu. I możemy sobie pomnożyć liczbę metrów przeznaczonych na przymierzalnie versus marża na wymienionych produktach. Gwarantuję, że wynik jest ujemny, a więc nie będą zamawiać. I gdzie pójdzie taki chory, gdy zabraknie poszukiwanych przez niego produktów, nawet w miejscach, gdzie je zawsze kupował?

No to, panie Niedzielski, kandydacie PiS z Piły, znowu tak pomogliście, że lepiej było w ogóle nie zaczynać. Jak z COVID. Przydałyby się opaski przeciw żylakom – na mózgu... ©©



JAN POSPIESZAŃSKI

#WARTO

Kłopotliwe „priorytety” PiS

Warszawie, 27 i 29 lipca, odbywały się ogólnopolskie spotkania przedstawicieli organizacji prorodzinnych. Wśród inicjatorów były m.in. organizacja z Wrocławia Rodzice Chronią Dzieci, ogólnopolski Ruch Ochrony Szkoły, Odpowiedzialny Gdańsk i Ordo Iuris. Cykl wydawniczy tygodnika sprawia, że nie znam konkluzji spotkań. Wiemy jednak, że organizacje prorodzinne, obok omówienia sytuacji w Polsce w kontekście mijających dwóch kadencji PiS, chcą m.in. zająć stanowisko wobec inicjatywy „Chrońmy dzieci, wspierajmy rodziców” oraz wobec edukacji włączającej. Według przedstawicieli ruchów prorodzinnych obie kwestie niosą poważne zagrożenia.

To, że spotkanie odbywa się przed startem kampanii wyborczej, ma ogromne znaczenie. W sierpniu 2015 r., na fali sprzeciwu wobec genderowej polityki rządu PO-PSL, prorodzinne środowiska poparły gremialnie Zjednoczoną Prawicę. Po dwóch kadencjach, jest okazja, by podsumować politykę w zakresie ochrony rodziny, młodzieży i dzieci przed niszczącymi ideologiami, jakie niesie ze sobą globalna rewolucja kulturowa.

Bilans nie jest optymistyczny. Sprzeczny z Konstytucją RP bubel prawny – groźny projekt ideologiczny, czyli konwencja stambulska – nadal obowiązuje. Ochrona uczniów przed seksualizacją nie była szczelna.

Sprzeciw kurator Barbary Nowak wyglądał na samotną walkę, bo ze strony MEiN częściej mogła się spodziewać krytyki niż wsparcia. Postępująca radykalizacja środowisk genderowych na uczelniach nie spotyka się z mocną reakcją resortu. Wręcz przeciwnie, inicjatywy „antydiskryminacyjne” korzystają oficjalnie z publicznych środków. W sejmowej zamrażarce lub w komisjach leży od lat osiem inicjatyw złożonych przez organizacje prorodzinne. Ich celem jest m.in. ochrona przed pornografią, ograniczenie korzystania ze smartfonów w szkołach, ochrona przed seksualizacją.

Kilka miesięcy przed wyborami powstaje inicjatywa obywatelska ogłaszana przez PiS, o podobnej nazwie do stowarzyszenia Rodzice Chronią Dzieci. Projekt dubluje sporo pomysłów zawartych w inicjatywach złożonych przez organizacje rodzicielskie, czyli m.in. obowiązek opiniowania przez rodziców szkoleń i zajęć wprowadzanych przez edukatorów zewnętrznych do szkół, lecz niestety ma kilka włączeń, które ustawie wyrywają zęby, czyniąc ją kompletnie nieszczelną.

Przykład szybkiego i „po łebkach” załatwiania tak fundamentalnej kwestii w przedwyborczej gorączce kompromituje obóz władzy. Pokazuje, że dla Zjednoczonej Prawicy ochrona rodziny przed zagrożeniem, którym jest niszczący, ideologiczny napór ze strony UE i ONZ, nie jest priorytetem. ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Róże

i inne wonie

Zmarła świetna wokalistka i całkowicie pogubiony człowiek – Sinead O'Connor. Stop. Zdarza się, że śmierć próbują wykorzystać politycy, niestety. Stop. Krzysztof Śmiszek z Lewicy napisał na portalu X: „Ona jako jedna z pierwszych ukazała światu zło Kościoła i obnażyła haniebne milczenie głuchego na to zło katolickiego przywódcy”. Stop. Nie zmieściło mu się we wpisie, że przeszła na islam, w którym homoseksualizm karze się śmiercią, torturami i więzieniem. Stop.

Dość znany adwokat Miłkołaj Marecki (reprezentował m.in. Magdalenę Filiks) został przyłapany przez służbę więzienną na wynoszeniu z aresztu grypsów klienta. Stop. W sumie nie byłoby o czym pisać, gdyby nie to, że grypsy wynosił w majtkach. Stop. Kiedyś w korespondencji umieszczało się płatki róż, perfumowało się papier, ale czasy się zmieniają. Stop.

Sąd w Londynie oczyścił Kevina Spaceya ze wszystkich zarzutów dotyczących przestępstw seksualnych, których miał dopuścić się wobec kilku mężczyzn lata temu. Stop. Fajnie, fajnie, tyle że jego kariera raz na zawsze została zniszczona. Stop. Efekt hysterii i oszustów.

Sprawa pani Joanny z Krakowa, która wzięła tabletkę „dzień po”, a potem dzwoniła do psychiatry, a potem została fatalnie potraktowana przez policję, a potem została instrumentalnie

wykorzystana przez opozycję i media, a potem w tych mediach brylowała, a potem brała udział w demonstracji przed komendą policji, lekko się komplikuje. Stop. Przez nieco odrażające wystąpienia i przeszłość za bardzo performerki. Stop. Zapowiadany „Marsz miliona serc” opozycji już został przechrzczony na „Marsz miliona żelków”. Stop. Frekwencji nie wróżę.

Z powodu śmierci legendy polskiej fantastyki Lecha Jęczyka przypomniano jego wspomnienia m.in. o Kuroniu. Stop. Oto fragment: „Rektor w obecności mamy poprosił o moją teczkę, zajrzał do środka i stwierdził: »Z taką opinią syn nie dostanie się na żadne studia«. Oprócz świadectwa maturalnego, piątkowego w moim przypadku, w teczce figurowała opinia polityczna ze Związku Młodzieży Polskiej. W mojej dzielnicy, na warszawskim Żoliborzu, opinie takie wystawiał wszystkim maturzystom szczególnie zajądły bolszewik (potem nawrócił się na trockizm), niejaki Jacek Kuroń”.

Spółdzielniowcy co jakiś czas przypominają stary dialog Lecha Wałęsy z internautą „Brunem Walickim”. Stop. Lech Wałęsa: „Już dziś o 16 live stream na Facebooku. Pytania można zadawać, wykorzystując #WeThePeople”. Stop. Pierwsze pytanie „Bruna”: „Jakim drutem watować bezpiecznik szesnastkę, żeby nie wywaliło na pionie?”. Stop. ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ
WIEROMEJCZYK

SPODE ŁBA

Zadyma
w jamie

Ciekawym przemianom ulega na naszych oczach język polskiego sporu politycznego. Liderzy obu dominujących obozów poddali się już właściwej wiekowi nostalgii za podwórkowymi harcami dzieciństwa, modyfikując odpowiednio swoje słownictwo. Pokolenie wychowane na znakomitych powieściach Edmunda Niziurskiego skorzystać może w politycznych debatach z dziedzictwa językowego pozostawionego przez autora „Sposobu na Alcibiadesa” i „Siódmego wtajemniczenia”. Skąd jednak mają czerpać politycy młodszej generacji, niedysponujący odpowiednim zasobem podwórkowych obelg? Czy skazani będziemy na poruszanie się w kręgu argumentacji politycznej, wytyczonej biegunami „ryżego” i „kurdupla”? Monotonia jest dla debaty politycznej zabójcza.

Poręcznymi synonimami dla słowa „ryży” wydają się przede wszystkim „ceglany” i „wiewiór”. Osoby niskiego wzrostu nazwać można, w poetyce politycznego wiecu, „konusem”, „knyplem”, a okazując znajomość literatury fantasy, „niziołkiem”. Łysego polityka językiem żoliborskiej inteligencji określimy „księżycem”, „pałą”, „żarówką” lub „glacą”, okularnika nie tylko „pinglarzem”, lecz także „czterookim” – co zresztą wprowadzi wątek dwulicowości adwersarza. O osobie w podeszłym wieku można tajemniczo napomknąć „po-

siwiał w rozpuście”, nadużywanego „grubasa” zastąpić „utuczonym na krzywdzie”. Dla określenia przeciwnego obozu politycznego „bandycka jama” brzmi nowatorsko i świeżo, z czasem zastąpić ją może „złodziejska klika” lub – choć tu zalecam ostrożność – „sitwa dewiantów”. Ważne, by nie powtarzać jak papuga sformułowań otoczonych szacunkiem liderów, a rozwijać je twórczo, korzystając z indywidualnych predyspozycji.

Nie do pozazdrośczenia wydaje się sytuacja uczonych profesorów, pisarzy erudyty i akademików europostów. Ich obecność w szeregach obu wiodących partii była dotąd nie tylko listkiem figowym, lecz także dowodem intelektualnych aspiracji plemiennych ugrupowań. Dziś, gdy polityczni liderzy postawili na język „solowy pod trzepakiem”, dyskusje o „nicości” straciły rację bytu. Przywodzi to na myśl bohatera jednej z nowelek wchodzących w skład filmu braci Coen „Ballada o Buste-rze Scruggsie”. Opowiada on o talentowanym inwalidzie deklamującym w jarmarcznej budzie podniosłą poezję romantyczną – poemat Shelleya „Ozymandias”. Zatrudniający go przedsiębiorca orientuje się nagle, że niewymagająca publiczność bardziej zainteresowana jest potrafiącym liczyć kurczakiem. Ma to dla natchnionego deklamatora nieoczekiwane, choć logiczne, niestety, konsekwencje. ©©

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Gorzej niż Grupa Webera

GRZEGORZ
KUCHARCZYK

Kolejny temat rocznicowy. I raz kolejny dotyczący Niemiec. Sto lat temu, w sierpniu 1923 r., tekę ministra spraw zagranicznych republikańskiej Rzeszy Niemiec po raz pierwszy objął Gustav Stresemann związany z liberalną Demokratyczną Partią Ludową. Ugrupowanie nawiązywało do dawnych narodowych liberałów z czasów cesarskiej Rzeszy, których polityczna genealogia sięga parlamentu frankfurckiego (1848) i proklamowanej wówczas przez jednego z liberalnych polityków zasady „zdrowego egoizmu narodowego”.

W poprzednim felietonie wspominałem o hucznych obchodach w Niemczech 175. rocznicy zwołania parlamentu frankfurckiego jako „początków niemieckiej demokracji”. Nie wiem, czy szykują się obchody stulecia przejęcia kierownictwa niemieckiej dyplomacji przez liberalnego polityka, który za swój najważniejszy priorytet uważał rewizję postanowień traktatu wersalskiego dotyczących przebiegu granicy polsko-niemieckiej. Bo Gustav Stresemann przejął się credo wyrażonym w okresie Wiosny Ludów w świątyni niemieckiej demokracji, a głoszącym prymat zasady „zdrowego egoizmu narodowego”.

Jednak jest wysoce prawdopodobne, że jakieś obchody i upamiętnienie będą, wszak Stresemann to laureat Pokojowej Nagrody Nobla z 1925 r. Dostał ją wspólnie ze swoim francuskim odpowiednikiem Aristidem Briandem, z którym w tym samym roku doprowadził w szwajcarskim Locarno do podpisania układu – gwarantowanego przez Wielką

Brytanię i Włochy – w którym Niemcy solennie potwierdzały respektowanie nienaruszalności granicy niemiecko-francuskiej i niemiecko-belgijskiej, natomiast głośno milczały na temat granicy z Polską. W domyśle tutaj wszystko było jeszcze otwarte, a na to zgadzał się nasz „wypróbowany sojusznik” – Francja.

Stresemann, zwieńczony pokojowym Noblem prekursorem niemiecko-francuskiego „rdzenia Europy”. Ba, prekursor Ostpolitik. To przecież liberał Stresemann zawarł w 1926 r. układ ze Stalinem przewidujący ścisłą współpracę polityczną i wojskową demokratycznych Niemiec z totalitarnym Związkiem Sowieckim. A to wszystko po to, by powstrzymać „awanturników” rządzących w Warszawie, co rusz ulegających swojemu „dziecinnemu patriotyzmowi”. Stresemann prawie jak Gerhard Schröder. Kogoś takiego nie upamiętnić byłoby czymś niezrozumiałym w kraju myślicieli, filozofów i członków rad nadzorczych rosyjskich spółek gazowych.

Każdy z XX-wiecznych niemieckich laureatów Pokojowej Nagrody Nobla charakteryzował się umiłowaniem pokoju, którego swoistość można porównać do umiłowania przyzwoitości przez wspomnianego przed chwilą byłego socjaldemokratycznego kanclerza Niemiec. Weźmy Alfreda Hermana Frieda, przywódcę niemieckiego ruchu pacyfistycznego (Nobel w 1911 r.), który w 1919 r. w niemieckim parlamencie gardłował przeciw ratyfikacji przez republikańską Rzeszę Niemiecką wersalskiego traktatu pokojowego. Traktat ten m.in. sankcjonował

w świetle prawa międzynarodowego powrót niepodległej Polski na mapę Europy. Dla pacyfisty Frieda był zaś „próbą zamknięcia wielkiego narodu w żelaznej klatce”. Niemiecki pacyfista uhoonorowany pokojowym Noblem znał tylko jeden „wielki naród”. Ten sam, któremu liberałowie już dawno wskazali drogę „zdrowego egoizmu narodowego”.

W 1971 r. laureatem Pokojowej Nagrody Nobla został socjaldemokratyczny kanclerz RFN Willy Brandt. Ta „szlachetna postać”, jak mówi o nim prof. Anna Wolff-Powęska z UAM, firmowała tzw. nową politykę wschodnią, która zaowocowała w sierpniu 1970 r. porozumieniem ze Związkiem Sowieckim de facto legitymizującym obowiązywanie „doktryny Breżniewa”. Ostpolitik Brandta i skorelowana z nią seria układów handlowych niemiecko-sowieckich („rury za gaz”) były kroplówką przedłużającą żywot totalitarnego „imperium zła”. Już po opuszczeniu urzędu kanclerskiego w 1974 r. pokojowy noblista Brandt, podobnie jak cała jego formacja polityczna, wystrzegł się podejmowania jakichkolwiek „konfrontacyjnych” kroków, które mogłyby zakłócić atmosferę współpracy i rozumienia ze Związkiem Sowieckim. A więc żadnego potępienia stanu wojennego w Polsce. Żadnej deklaracji wspierającej Solidarność. Jeszcze w 1989 r., kilka miesięcy przed upadkiem muru berlińskiego, Brandt przekonywał sowieckich interlokutorów, że w jego ocenie sprawa zjednoczenia Niemiec to odległa przyszłość.

Pokojowi nobliści z Niemiec – brrr. To już zdecydowanie lepszy nasz „człowiek sukcesu Tysiąclecia”. ©

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Przyleciałem do Polski. Jest uroczno. Mam gospodarstwo i żniwa, mieszkam na wsi i opowiadam Państwu historyjkę z mojej wsi na Kociewiu. Rano jemy jajecznicę z kurkami (chodzi o grzyby). Wieczorem palimy ogniska, wędzimy węgorze, popijamy trzy trunki i siedzimy do białego rana.

Dawno temu trunki były trzy i teraz nadal są trzy: piwo, wino, gorzałka – co kto lubi i „czego ci polać?”. Etykiety się zmieniły. A etykiety są dwie – jedna to ta naklejka na flaszkę, druga to dopuszczalne sposoby zachowań, czyli etykieta towarzyska.

Włączyłem polski telewizor i widzę, że etykieta zachowań uległa zmianie. Kiedyś wrzask w TV był niedopuszczalny (poza horrorami). Teraz patrzę na osoby w garniturach i pod krawatem, a oni wrzeszczą jak przekupy: „JA PANU NIE PRZERYWAŁEM”.

A co to ma do rzeczy? Jeżeli ktoś gada głupoty, to odruchem naturalnym jest, że mu przerywam. A ponieważ w tej audycji wszyscy kandydaci wszystkich partii opowiadali głupoty, to się wcale nie dziwię, że każdy każdemu przerywał. Tylko po co oni wrzeszczą, skoro KAŻDY opowiada głupoty?

Zmieniłem kanał.

Na kolejnym kanale pogodynka.

Interesuje mnie, bo mam żniwa i chcę wiedzieć, kiedy będzie padać.

Pogoda jest teraz taka, jak zawsze o tej porze roku. Mam już tyle lat, że jestem w stanie ocenić cykl obejmujący okres od roku 1930. Nie chodzi o to, że żyję tak długo, lecz o to,



że coś widziałem osobiście, a o czymś opowiadał mi dziadek. Gdy na tym samym polu żniwowaliśmy w latach 70. i były upały, ktoś ze starszych mówił (wtedy), że tak samo było w roku 1930 – stąd wiem, że identyczne upały były tu w latach 1930, 1970 i są teraz.

No ale w telewizji widzę zmianę w podejściu do pogody. Dawniej o pogodzie opowiadano w tonie umiarkowanym i z uśmiechem na twarzy: jest deszcz, jest upał, jest susza, są ulewki... Dawniej o pogodzie opowiadał facet o pseudonimie Wicherek lub babeczka nazywana Chmurką – teraz o pogodzie opowiada reporter wojenny; wszystko odbywa się w formie WRZASKU, afery, sensacji i katastrofy klimatycznej.

„Upały są takie, że eksplodują panele słoneczne” – wrzeszczy neo-Chmurka. To akurat prawda – panele słoneczne nie lubią, gdy jest zbyt dużo słońca plus upał. Panele się wtedy zapalają, a jeżeli jakiś głupek zainstalował je na dachu kościoła w Sosnowcu, to właśnie spalił kościół. I taniej byłoby palić kościół inaczej niż za pomocą paneli na dachu. Patron kościoła nie jest w stanie pomóc na głupotę proboszcza, bo św. Florian jest od pożarów, a od szaleńców (zakochanych w foltowaltce) jest św. Walenty.

„Do pożaru kościoła pw. św. Floriana doszło w środę 21 czerwca. Dach spalił się doszczętnie i wpadł do wnętrza świątyni. Strażacy walczyli z żywiołem całą noc”. Sam kościół był tak brzydką bryłą (przypominał elewator zbożowy skrzyżowany z dworcem), że strata estetyczna nie

wystąpiła. Może gdy odbudują, będzie bardziej przypominał świątynię, a mniej elewator.

Zauważyli Państwo, jak radykalnie zmieniły się mapy pogody pokazywane w TV? (Wiele osób to obśmiewa w sieci).

Manipulacja mapami pogody to akcja skoordynowana. Podam przykład z Niemiec. Ten sam dzień, kilka lat różnicy:

- w 2017 r. temperatura 33–35 to „norma latem”,
- w 2022 r. całą mapę pogody pokolorowano na czerwono i nawet temperatura 22 st. C to „czerwona lawa zalewająca kraj”.

Prognoza pogody zrobiła się sensacyjna i katastroficzna.

W ramach rozkręcania paniki o „globalnym ociepleniu” we wszystkich krajach Europy nagle pozmieniali mapy pogody. I tak jak kiedyś była normalna zielona mapa Polski i na niej napisane temperatury, tak teraz pokazują mapy czerwone, rozpalone i opowiadają o tym, jakie to KATASTROFALNE, że jest lato – takie samo jak w latach 1930, 1970...

Generują psychozę. Równolegle w wielu krajach. Akcja skoordynowana. Ludzie myślący i podejrzliwi wobec propagandy to widzą i wytykają – sporo komentarzy i parodii w Internecie.

A jak ta psychoza jest nakręcana? Niedawno zmienili sposób mierzenia temperatury (nowe oszustwo). Dotychczas mierzono temperaturę powietrza 2 m nad ziemią –

teraz mierzą temperaturę tuż przy ziemi. Czyli w powietrzu 2 m nad ziemią jest 35 stopni, natomiast asfalt ma 48 i oni podają w TV, że gdzieś tam we Włoszech przekroczono wszelkie rekordy, bo... NAGLE jest 48 stopni, podczas gdy normalni ludzie mierzą temperaturę po staremu i pokazują, że jest 35 stopni – jak zawsze o tej porze roku.

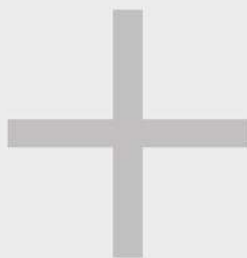
I jeszcze straszą kolejną pandemią. „Z powodu ocieplenia klimatu grozi nam fala komarów i eksplozja DENGÉ”. Denga to (mówiąc na skróty) coś podobnego do malarii – „gorączka krwotoczna”. Znam ją z Paragwaju, gdzie jest zawsze. Objawy są grypowe, a cechy wyróżniające to ból kości oraz pocenie się krwią. Krew robi się rzadka. Jeżeli ktoś poda pacjentowi w gorączce krwotocznej aspirynę, to zbije temperaturę, ale jeszcze bardziej rozrzedzi krew i zabije pacjenta. Dlatego warto rozpoznać, że to denga, i zamiast aspiryny podać paracetamol. Większość populacji po tygodniu wróci do normalnego życia.

Jak zwalczają dengę w Paragwaju (gdzie denga atakuje każdego dnia, odkąd pamiętam)? Prewencja polega na koszeniu trawników w miastach i sprzątaniu. Bo stara opona porzucona w trawie to doskonała wylęgarnia komarów – po deszczu w oponie zostaje bajorko wody i tam lęgną się komary. W Paragwaju (kraj Trzeciego Świata, gdzie produkują naczynia do picia yerba mate) nauczyli się kosić trawniki i sprzątać śmieci, które gromadzą deszczówkę. W Polsce w wielu miastach nie kosi się trawników „z powodów ekologicznych”. Prezydent miasta, gdzie nie koszą trawników, pracuje na epidemię dengi. Czyli jest BANDYTA. ©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



~~492~~zł

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

SŁAWOMIR KOPER:

„MISTRZOWIE POLSKIEGO
KABARETU”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

215,00zł

OSZCZĘDNOŚĆ 277zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@mpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl ed9685df9d



ROAMER
OF SWITZERLAND

7 YEAR
WARRANTY